

ŚWIAT, SPOŁECZEŃSTWO, SZTUKA, SPORT
Bajon, Bator, Bralczyk, Kurek, Person, Skarżyńska, Zagumny

nr 4 (27), 2018

KWARTALNIK

Teraz Polska

KREATYWNA POLSKA / NOWOCZESNY BIZNES / ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ / EDUKACJA

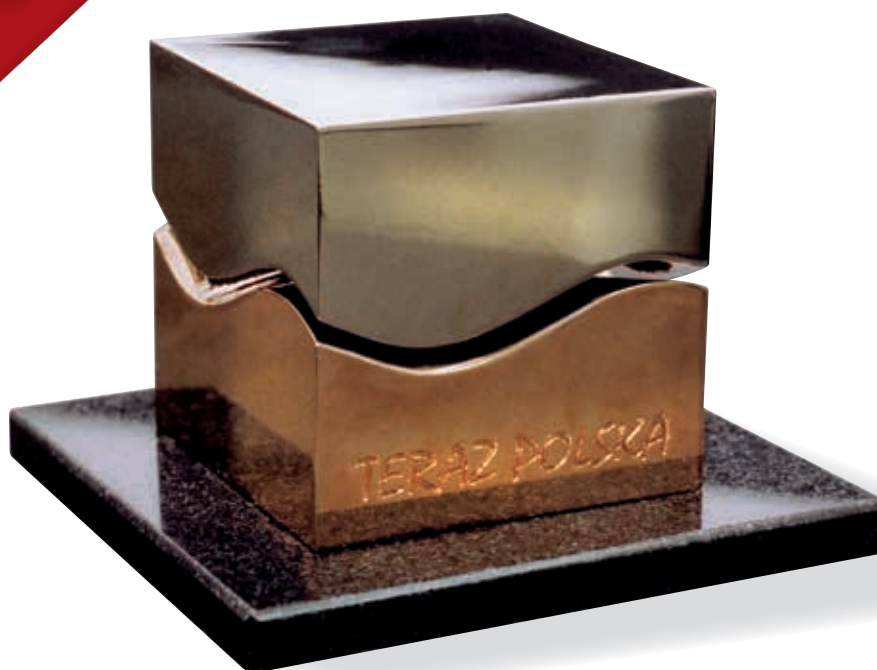


ISSN 2299-1395





www.terazpolska.pl



PROMUJEMY POLSKIE MARKI
TERAZ POLSKA

XXIX EDYCJA KONKURSU

Termin zgłoszeń: do 25.01.2019 r.



Najważniejsze jest znaczenie

Godło „Teraz Polska” istnieje w powszechnej świadomości od niemal 30 lat. Jest znakiem. A czymże jest znak? Czy to wydruk na białej kartce, do którego sporządzenia wystarczy odrobina czerwonego tuszu? Czy to dodatek na opakowaniach produktów albo część folderu reklamowego? Nic z tych rzeczy, wspomniane przykłady to tylko zewnętrzna manifestacja znaku.

Może więc Godło „Teraz Polska” należy pojmować w kategoriach marketingowych – jako narzędzie, swoiste turbodoładowanie, zwiększające sprzedaż produktów i usług? Na pewno ono tak działa, rokrocznie potwierdzamy ten fakt badaniami, zaś wyniki ich ostatniej edycji można poznać, zagłębiając się w lekturę naszego pisma. Ale nie to jest najważniejsze.

W znaku najważniejsze jest znaczenie. Od lat zajmujemy się kształtowaniem znaczenia znaku „Teraz Polska”, a poprzez to również słowa „Polska”. Mam na myśli nie tylko Fundację Polskiego Godła Promocyjnego, lecz również wszystkich laureatów Konkursu „Teraz Polska”. Jasne jest, że znak „Teraz Polska” wspiera biznes. I odwrotnie – solidność laureatów, ich skupienie na wysokiej jakości oraz realizacja postulatów dobrej roboty wspierają znak „Teraz Polska”.

Działamy, aby wciąż dodawać nowe, dobre znaczenia do słów „Teraz Polska” i „Polska”. Jest to ważne szczególnie z perspektywy obchodzonej w tym roku

100. rocznicy odzyskania niepodległości. Niewykluczone, że właśnie przyrost takich dobrych znaczeń w głównym stopniu determinuje rozwój naszego kraju. Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego przyznaje znak jakości – Godło „Teraz Polska”, ale poszukuje również wspólnego frontu ze wszystkimi, którzy kumulują dobre znaczenia wokół słowa „Polska” i budują wartości.

Wyjątkowa w tej kwestii jest rola sportu. Ta dziedzina życia nie tylko dostarcza wzruszeń czy emocji. Gdybyśmy wszyscy chcieli nauczyć się od siatkarzy kooperacji, siły, swoistego zarządzania psychiką – przyniosłoby to szybko zauważalne efekty. Aby lepiej zrozumieć, w jaki sposób wartości przenikają ze sportu do życia społecznego, rozpoczynamy cykl rozmów z uczonymi, przyjaciółmi sportu i samymi sportowcami.

Sport to nie tylko rywalizacja czy biznes, lecz także przestrzeń budowania wspólnoty i jedności społecznej. Wszak wszyscy zgodzą się, że dobrze jest wygrywać. Chciałbym zatem życzyć Państwu spokojnych i rodzinnych Świąt, a w Nowym Roku... wygrywania. Nie wszyscy od razu mogą być najlepsi, ale warto do czegoś dążyć i brać z kogoś przykład.

Zachęcam Państwa do przeczytania, a następnie przekazania swoim przyjaciołom naszej publikacji – magazynu „Teraz Polska”. Zapraszam do lektury.

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”*

Temat numeru

- 6 **Patriotyzm obywatelski wymaga czasu i wysiłku.** O źródłach agresji, również politycznej, narcyzmie kolektywnym i różnych formach tożsamości narodowej z prof. **Krystyną Skarżyńską** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 11 **Amerykanin w wolnej Polsce. Hugh Gibson** – ambasador USA i kronikarz pierwszych lat odrodzonej Rzeczypospolitej. *Kamil Broszko*
- 16 **Krzycząc: Polska! Niepodległa 1918.** Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Idee

- 20 **O wartościach i sporcie** rozmawiają prof. **Jerzy Bralczyk**, **Andrzej Person**, **Stefan Szczepłęk** i **Krzysztof Przybył**.
- 24 **Orężem, piórem i pazurem.** Stulecie uzyskania przez kobiety w Polsce praw wyborczych. *Marzena Tataj i Kamil Broszko*
- 28 **Już jesteśmy stąd.** *Wojciech Kucharski, Andrzej Sakson, Piotr Sroka, Grzegorz Strauchold, Ryszard Tomkiewicz*
- 32 **Radio na zimnej wojnie.** O Radiu Wolna Europa z **Andrzejem Mietkowskim** rozmawia *Kamil Broszko*.

Polacy

- 38 **Mogę bezkarnie tworzyć nowe światy.** O inspirujących paradoksach losu i tajemnicach warsztatu filmowego z **Filipem Bajonem** rozmawiają *Kamil Broszko i Marzena Tataj*.
- 45 **W sztuce nie ma jednej dobrej odpowiedzi.** Z **Lechem Batorem**, młodym polskim malarzem, którego jelenie zawojowały świat, rozmawiają *Marzena Tataj i Kamil Broszko*.
- 49 **Skazany na siatkę.** O odporności psychicznej, graniu w barwach narodowych i o szacunku dla rywali z **Bartoszem Kurkiem**, najlepszym siatkarzem Europy, rozmawia *Kamil Broszko*.
- 50 **Niektóre szczyty można zdobyć tylko razem.** O czynnikach sukcesu rozmawiają ludzie sportu: **Jacek Sęk**, **Ryszard Bosek**, **Paweł Zagumny** i **Marek Magiera**.
- 53 **Polacy stulecia.** Przedstawiamy paletę niezwyklej postaci, które w minionym stuleciu miały największy wpływ na Polskę i Polaków. *Marzena Tataj i Kamil Broszko*

Gospodarka

- 57 **Biznes z natury.** O pracy zbieraczy i sprzedawaniu ziół z **Mirosławem Angielczykiem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 60 **Cena, jakość, patriotyzm.** Wyniki badań Fundacji „Teraz Polska”. *Dr Jarosław Górski*
- 62 **Inside Trends** – 8 najważniejszych wniosków
- 64 **Bez badań nie ma biznesu.** *Elżbieta Czerniec*
- 66 **Nieziemskie sukcesy łazików.** O kosmicznych projektach studentów z Politechniki Białostockiej z prof. **Andrzejem Sewerynem** rozmawia *Kamil Broszko*.

- 69 **Wielki handel a małe firmy.** Felieton *Adama Szejnfelda*

- 70 Wydarzenia

nr 4 (27), 2018



© LECH BATOR

MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO

www.terazpolska.pl

Magazyn
TERAZ POLSKA

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadzący:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko,
Justyna Kwaśniok
Projekt okładki:
Lech Bator

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.terazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Justyna Kwaśniok

Druk:
Miller Druk Sp. z o.o.
www.m-druk.pl

XXIX EDYCJA KONKURSU TERAZ POLSKA



Warto ubiegać się o Godło „Teraz Polska”

Każdy przedsiębiorca potrzebuje rozpoznawalnej marki i pomysłu, jak ją promować. Marka jest nie mniej ważna niż oferowanie wysokiej jakości produktu bądź usługi. Na decyzję zakupową składa się nie tylko ocena walorów produktu, ale także emocje. Klienci wybierają marki, za którymi stoją wartości czy historie wspólne z ich oczekiwaniami, pragnieniami, potrzebami. Marki sprawiają, że z jednej strony odnajdujemy satysfakcję, a z drugiej – stajemy się bardziej aspirujący.

Nie jest łatwo wykreować rozpoznawalną markę. Pracuje się na nią długo, a w jej budowaniu niezbędne są wizja, konsekwencja i czas. I narzędzia. Jednym z nich jest z całą pewnością Godło „Teraz Polska”. To synonim najwyższej polskiej jakości oraz potwierdzenie przynależności do prestiżowego grona posiadaczy jedynego w swoim rodzaju biało-czerwonego oznaczenia.



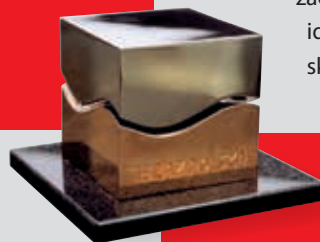
Janusz Komurkiewicz, Fakro

Godło „Teraz Polska” zdobyliśmy w 1996 roku i od tego czasu rozpoczęliśmy ekspansję na rynki zagraniczne. Dzisiaj możemy się pochwalić, że m.in. dzięki współpracy z Fundacją „Teraz Polska” jesteśmy firmą globalną i jako wicelider rynku okien dachowych osiągnęliśmy 15-proc. udział w światowej sprzedaży.



Czesław Lang, Tour de Pologne

Godło „Teraz Polska” to wyjątkowe wyróżnienie i jesteśmy zaszczytzeni faktem, że znaleźliśmy się w gronie uhonorowanych. Tour de Pologne to nasz narodowy wyścig z piękną tradycją, sięgającą 1928 roku. Dziś łączy sportową rywalizację na najwyższym poziomie z promocją Polski, co idealnie wpisuje się w cele i wartości Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.



Jak przebiegają kolejne etapy Konkursu „Teraz Polska”

1

Zgłoszenia do XXIX edycji Konkursu „Teraz Polska” będą przyjmowane do **25 stycznia 2019 roku**.

Następnie Branżowe Komisje Ekspertów (powołane we współpracy z instytutami badawczymi oraz wyższymi uczelniami) dokonają oceny zgłoszeń. Zgodnie z kryteriami Konkursu szczególnie wysoko punktowane będą: jakość produktu/usługi, jego/jej nowoczesność i innowacyjność, efektywność działania firmy.

2

Najwyżej ocenione przez ekspertów produkty i usługi zostaną nominowane do Godła „Teraz Polska”. Spośród nich w kwietniu 2019 roku Kapituła Konkursu pod przewodnictwem prof. Michała Kleibera wyłoni laureatów. Posiedzenie Kapituły będzie poprzedzone wystawą prezentującą nominowanych (udział w wystawie jest dobrowolny).

3

Zakończenie XXIX edycji Konkursu „Teraz Polska” odbędzie się 3 czerwca 2019 roku podczas prestiżowej Gali w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie. Laureaci Konkursu odbiorą statuetki „Teraz Polska” z rąk osobistości świata kultury, nauki, mediów i polityki.

Korzyści dla laureatów

Laureaci mogą używać Godła „Teraz Polska” przez okres 12 miesięcy, z możliwością przedłużenia na kolejny okres po ponownej weryfikacji poziomu jakości nagrodzonego produktu lub usługi. Warunki używania Godła określa umowa zawierana z laureatem.

Laureatom Konkursu „Teraz Polska” przysługują również dodatkowe korzyści:

- oznakowanie Godłem „Teraz Polska” nagrodzonego produktu/usługi;
- możliwość umieszczania Godła „Teraz Polska” wraz z informacją „Laureat Konkursu” obok nazwy i logo firmy we wszystkich materiałach promocyjnych oraz prawo posługiwania się Godłem w kampaniach reklamowych;
- promocja na łamach kwartalnika „Teraz Polska”;
- promocja podczas debat i konferencji organizowanych przez Fundację;
- członkostwo w Klubie „Teraz Polska”.

Patriotyzm obywatelski

O źródłach agresji,
również politycznej,
narcyzmie kolektywnym
i różnych formach
tożsamości narodowej
z prof. Krystyną Skarżyńską
rozmawia Kamil Broszko.



Kamil Broszko: Czym jest agresja?

Krystyna Skarżyńska: Psychologowie ujmują agresję jako bardzo szeroką klasę zachowań, których cechą wspólną jest intencja wyrządzenia komuś krzywdy czy spowodowania straty materialnej, fizycznej lub psychologicznej. Bliskie temu pojęciu są dwa inne: wrogości i przemocy. Najogólniej mówiąc, przemoc jest kumulacją różnych form agresji skłaniających – w zamierzeniu sprawcy – do uległości wobec stosującego przemoc. Wrogość jest natomiast rozumiana jako stała gotowość do zachowań agresywnych, wyrażająca się uogólnionym negatywnym nastawieniem do świata i ludzi.

KB: Jakie są źródła agresji?

KS: Formy czy przejawy agresji są bardzo różne i mogą mieć różne źródła. Napisano na ten temat tysiące prac, których efektem jest między innymi wskazanie kilku podstawowych, w pewnym

sensie uniwersalnych źródeł agresji oraz wykazanie zmienności historycznej i kulturowej jej form i poziomu społecznej akceptacji. Przez kilka ostatnich lat – w ramach grantu Narodowego Centrum Nauki – prowadziłam badania nad akceptacją agresji, zwłaszcza agresji w polityce, przez Polaków. Ich wyniki dowodzą między innymi istotnej roli przekonań jako źródła agresji i jej akceptacji. Okazało się bowiem, że poziom akceptacji agresji w polityce – kierowanej przez obywateli na polityków oraz między politykami – jest silniej związany z przekonaniem, że agresja jest społeczną normą, oraz z wizją świata społecznego jako dżungli, w której silny wykorzystuje słabszego, niż z przeżywaniem emocji gniewu czy złości. Nawet dość stała skłonność do przeżywania negatywnych emocji, traktowana jako dyspozycja osobowościowa, prowadzi do akceptacji agresji interpersonalnej, również politycznej, dopiero wtedy, gdy towarzyszy jej negatywny obraz świata.



wymaga czasu i wysiłku

Prof. zw. dr hab. Krystyna

Skarżyńska – psycholog społeczny, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się analizą zachowań oraz postaw społecznych i politycznych, zwłaszcza w kontekście zadowolenia z życia i ze społeczno-politycznego status quo. W latach 2014–2016 kierowała projektem badawczym pt. „Akceptacja agresji w życiu społecznym i politycznym. Rola struktur poznawczych, indywidualnej agresywności i czynników sytuacyjnych”, finansowanym ze środków NCN. Autorka licznych publikacji w czasopismach naukowych. Napisała kilkanaście książek, m.in. „Spostrzeganie ludzi” (1981), „Psychospołeczne aspekty decyzji alokacyjnych” (1985), „Konformizm i samokierowanie. Struktura wartości i funkcje” (1991), „Człowiek a polityka. Zarys psychologii politycznej” (2011). Pod jej redakcją naukową ukazały się książki: „Orientacje społeczne jako element mentalności” (1990), „Understanding Social Change. Political Psychology in Poland” (2006), „Konflikty międzygrupowe” (2008), „Demokracja w Polsce. Doświadczenie zmian” (2004), „Przekonania w życiu jednostek, grup, społeczności” (2009), „Między przeszłością a przyszłością. Szkice z psychologii politycznej” (2009) oraz „Między ludźmi... oczekiwania, interesy, emocje” (2012). Ostatnio uczestniczyła w pracach Społecznej Rady Programowej przygotowującej interdyscyplinarną publikację „Polska 100 lat” (album i eseje), wydaną przez Wydawnictwo BOSZ. Kieruje Katedrą Psychologii Społecznej na Uniwersytecie Humanistyczno-społecznym SWPS w Warszawie.

Wracając do pytania – współcześnie wyróżnia się cztery kategorie źródeł agresji (zarówno interpersonalnej, jak i międzygrupowej): realizację interesów indywidualnych lub grupowych (często nazywaną agresją instrumentalną, pozbawioną negatywnych emocji agresora do ofiary); zagrożony egotyzm, narcyzm indywidualny lub grupowy (rozumiany jako tendencja do nadmiernie pozytywnej samooceny i dążenie do jej podtrzymywania i wzmacniania, niezależnie od poziomu jej uzasadnienia); nierealistyczne, utopijne ideologie (na przykład wizje idealnego państwa proponowane przez faszyzm i komunizm, w imię których mordowano miliony ludzi) oraz procesy afektywne związane z potrzebą redukcji pobudzenia lub dostarczenia stymulacji. Takie ujęcie głównych „korzeni zła”, proponowane na podstawie analizy historycznej, jak i empirycznych badań nad agresją i przemocą, pozwala wyjaśnić zarówno rzezie międzygrupowe, jak i bicie dziecka. Sprawcy masowych morderstw mogą to czynić dlatego, że mają taką wizję swojego państwa, która nakazuje im pozbyć się „gorszych” sąsiadów, zaś na przykład ojcowie biją dziecko, bo nie jest „idealnym synem”.

KB: Czy dziś agresji jest więcej niż kiedyś?

KS: Mamy tendencję, by tak myśleć. Badania historyczne i socjologiczne dowodzą, że we współczesnym świecie, zwłaszcza w krajach demokratycznych, przemoc jest mniej; jest też zdecydowanie mniej aprobaty dla wszelkich form agresji – od wojen poczynając, a na molestowaniu kobiet i biciu dzieci kończąc. Przekonujące dowody na ten temat przedstawił Steven Pinker w książce „The better angels of our nature. Why violence has declined” (2011). Pokazuje on, jak na przestrzeni dziejów zmieniał się stosunek do stosowania przemocy nie tylko w ramach relacji rodzinnych, między nauczycielami a uczniami, przełożonymi a podwładnymi, ale także wobec osób naruszających prawo czy osadzonych w więzieniach. W XX w. wyraźnie zmniejszyła się aprobaty dla wojen jako metody zdobywania przewagi politycznej czy ekonomicznej. Prawo międzynarodowe chroni – choć często nieskutecznie – rannych, jeńców, szpitale i ludność cywilną przed agresją wojenną. Nasze potoczne przekonanie, że dzisiaj agresji jest więcej niż kiedyś, wiąże się po pierwsze z większą dostępnością informacji o różnych aktach agresji, nie tylko dokonywanych na masową skalę, ale też dotyczących przemocy w rodzinie, molestowania seksualnego dzieci, przejawów mowy nienawiści w realu i Internecie. Po drugie, w naszej percepcji rzeczywi-

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

stości jesteśmy nastawieni na dostrzeganie tego, co groźne, co może nam samym wkrótce szkodzić czy zagrażać; przeceniamy więc skalę agresji, a media także – choć z innych powodów – częściej pokazują akty przemocy niż działania prospołeczne. Warto jednak dostrzec, że pewien rodzaj agresji rzeczywiście notowany jest dzisiaj częściej niż kilka lat temu. Statystyki policyjne informują o wzroście zgłoszeń tzw. przestępstw z nienawiści (głównie skierowanych przeciwko „obcym”, inaczej wyglądającym czy mówiącym w innym niż polski języku), a badacze Internetu donoszą o hejcie, kierowanym nawet wobec kolegów z klasy. Badania wskazują także na to, że nie doceniamy skali agresji i wrogości w najbliższym środowisku: w rodzinie i wśród bliskich znajomych. Statystyki pokazują, że pewne rodzaje przemocy – na przykład akty fizycznej agresji, przemoc ekonomiczna wobec osób starszych i niepełnosprawnych oraz molestowanie seksualne dzieci – są częstsze w rodzinach i w kręgach znajomych, natomiast respondenci, proszeni o oszacowanie skali agresji w różnych sferach życia, wskazują, że wśród bliskich jest najmniej agresji. Polacy najwięcej widzą jej w Internecie i w polityce.

KB: Co skłania do agresji w Internecie?

KS: Przede wszystkim pozorna anonimowość, która zwykle obniża samokontrolę i sprzyja przejawianiu różnych form agresji. Dowodzą tego zarówno obserwacje w warunkach naturalnych, jak i wyniki eksperymentów, w których okazywało się, że osoby jednakowo ubrane i mające zakryte twarze wyraźnie częściej wymierzają silne szoki elektryczne swoim rzekomym uczniom niż będące w analogicznej sytuacji eksperymentalnej osoby z odkrytymi twarzami i mające naklejone kartki z własnymi imionami (są to wielokrotnie replikowane w różnych krajach wyniki znanego eksperymentu Stanleya Milgrama). Dla ograniczenia agresji nie jest więc bez znaczenia zakaz zakrywania twarzy podczas ulicznych manifestacji. Z kolei wybór wieczorowej pory na demonstracje ułatwia zachowanie anonimowości agresywnie zachowujących się uczestników i sprzyja aktom przemocy.

W Internecie agresorzy mają poczucie bezkarności także dlatego, że nie mają przed sobą żywego człowieka, ofiary, która niewerbalnie okazuje swoje emocje mogące wyhamować agresję. Ponadto internetowy agresor wie, że jego ofiara musi mieć dużo energii i czasu, aby legalną drogą doszło do jego ukarania. Wydaje się także, że zwłaszcza wśród uczniów wytworzyła się swoista norma: agresja internetowa jest powszechna, w takim razie ja nie tylko mogę, ale muszę wysyłać ośmieszające kolegów filmiki, bo inaczej będę klasowym odmieńcem. Możemy więc przypuszczać, że dziecięca agresja internetowa nie wiąże się z nienawiścią ani z innymi negatywnymi emocjami, lecz jest wyrazem konformizmu wobec norm grupy.

KB: Czy można szukać wyjaśnienia poziomu agresji i sposobów jej ekspresji w różnicach kulturowych?

KS: Tak, istnieje pewne zróżnicowanie kultur ze względu na natężenie i akceptację różnych form agresji. Statystyki zabójstw

wskazują, że pod koniec pierwszej dekady XXI w. ta forma przemocy najczęściej stwierdzana była w Kolumbii (61,7 zabójstw na 100 tys. mieszkańców), następnie w Afryce Południowej (49,6), na Jamajce (32,4), w Wenezueli (31,6) i w Rosji (20,2). Stany Zjednoczone – choć są postrzegane jako kraj o wysokim nasileniu przemocy – w tym samym czasie miały wyraźnie niższą statystykę zabójstw (4,3 osoby na 100 tys.), ale wyższą niż inne kraje demokratyczne Europy (np. w Norwegii i Finlandii – około 1 osoby na 100 tys.). Na podstawie tych statystyk można bronić tezy, że system demokracji liberalnej wyraźnie sprzyja ograniczeniu drastycznych form przemocy. Jednak trzeba na te statystyki patrzeć także z innego punktu widzenia, uwzględniającego kulturową normę definiowania agresji. To, co w kulturach zachodnich jest agresją – bo czyni szkodę czy przynosi stratę osobie/grupie, na którą jest skierowana – w innych może być legitymizowaną społecznie formą zachowania. Zabójstwo w obronie honoru rodziny lub atak fizyczny jako odpowiedź na zaczepkę są aprobowane w tzw. kulturach honoru, zarówno w Czeczenii, jak i w południowych stanach USA (więcej danych na ten temat podają Nisbett i Cohen, 1999). Ostre uwagi krytyczne wypowiediane publicznie wobec podwładnego są oceniane jako obelga, obraza, naruszenie praw i godności pracownika, czyli przejaw agresji ze strony szefa – tak jest to widziane w kulturach równościowych o niskim dystansie władzy. Ale taka sama publiczna krytyka w kulturach hierarchicznych o dużym dystansie władzy może być postrzegana jako wyraz troski o pracownika. Okazuje się, że przemoc w rodzinie jest wyższa w tych kulturach, gdzie wysoko cenione są wartości kolektywistyczne, takie jak lojalność i poświęcanie się dla rodziny, wypełnianie obowiązków rodzinnych, a także wywiera się presję na kobiety doznające przemocy w rodzinie, by nie opuszczały swoich partnerów. Kulturze honoru poświęcono dużo uwagi w ramach międzykulturowych studiów nad agresją. Ten rodzaj kultury może mieć rozmaite wersje. Wielu badaczy wiąże ją ze środowiskami bezprawia lub słabego prawa, gdzie jednostki same muszą dbać o siebie i swoją rodzinę, a także same karać tych, którzy je oszukują, lekceważą, nie spłacają długów, zabierają ich własność czy znieważają najbliższych. W tych kulturach mężczyźni, którzy nie reagują agresją na zniewagi i nie szukają odwetu, postrzegani są jako ludzie bez honoru. Tracą reputację, jeżeli nie pokażą swojej „twardości”. Co więcej, uważa się, że w ten sposób zachęcają wrogów do dalszych ataków. Ten typ kultury ciągle dominuje w basenie Morza Śródziemnego, w południowych stanach USA, ale także wśród Masajów w Afryce Wschodniej, na stepach Azji Centralnej czy wśród Indian w Ameryce Północnej.

Można jednak wskazać nieco inną formę kultury honoru, skoncentrowaną na podkreślaniu wagi należytego respektu i wizerunku własnej osoby lub grupy, z którą się identyfikujemy. Od kilku dekad psychologowie społeczni posługują się terminem „narcyzm kolektywny” (lub grupowy), by wskazać jeszcze jedno ważne źródło agresji, zwłaszcza agresji międzygrupowej.

KB: Czym jest narcyzm kolektywny?

KS: Formą tożsamości grupowej, specyficznym sposobem myślenia o własnej grupie. Może dotyczyć zarówno własnego narodu, partii czy innej organizacji, do której należymy, jak i grupy zawodowej, korporacji, rodziny. Charakterystyczne dla tej tożsamości jest idealizowanie, gloryfikacja własnej grupy, przekonanie o jej nadzwyczajnych wartościach i zasługach dla świata połączone z potrzebą ciągłego, płynącego z zewnątrz, potwierdzania tej wielkości. Badania wykazują, że wynika to z wątpliwości – niekoniecznie uświadomianej – czy rzeczywiście moja grupa jest taka wspaniała. Narcyzm kolektywny uzależnia samoocenę grupową od zewnętrznych ocen. Dlatego narcystyczne grupy przesadnie reagują na krytykę ze strony innych grup, traktując ją jako zagrożenie dla ich pozytywnego wizerunku, a nawet formę ataku na dobrostan grupy własnej. Skoncentrowane na obronie honoru grupy mają tendencję, by stosować wobec potencjalnych krytyków „agresję wyprzedzającą”, czyli z góry dewaluować tych, którzy nie zgadzają się z naszymi grupowymi opiniami czy krytykują nasze decyzje. W konsekwencji grupy takie utwierdzają się w swoim wyłącznie pozytywnym wizerunku, nie widzą lub bagatelizują własne błędy i krzywdy czy straty wyrządzane innym grupom. A jednocześnie czują się zagrożone, żyją niczym w oblężonej twierdzy. Narcyzm kolektywny jest podobny do bezkrytycznego, ślepego patriotyzmu – często opisywanego w literaturze w kontekście postaw narodowych – który cechuje silne egocentryczne przywiązanie do własnej grupy, skupienie uwagi członków grupy wyłącznie na własnych potrzebach i wartościach, podejrzliwe odnoszenie się do „obcych”, długie pamiętanie doznanych krzywd, niechętnie wybaczenie oraz niechęć do przyjmowania zbiorowej winy i płacenia odszkodowań za straty i krzywdy wyrządzane innym powiązana z domaganiem się odszkodowań za stare krzywdy doznane od innych grup. Nasze badania nad tożsamością narcystyczną Polaków pokazują, że towarzyszy jej silne poczucie strat i krzywd odniesionych w przeszłości, roszczeniowość wobec innych grup oraz ksenofobia i agresja wobec różnych „obcych”.

KB: Czy istnieje forma tożsamości narodowej wspólna dla większości Polaków?

KS: W sferze kolektywnej tożsamości narodowej także jesteśmy różni. Badania, prowadzone przez różne zespoły naukowców i rozmaite ośrodki badawcze, pokazują jedynie przewagę tzw. tożsamości symbolicznej nad racjonalną czy obywatelską. Również w badaniu Fundacji „Teraz Polska” (patrz str. 60 – przyp. red.), odpowiadając

Częściej chwali się
oddawanie życia
za ojczyznę niż
mądre rządzenie
krajem tak, by nie
trzeba było za niego
umierać. Niepokojące
jest podkreślanie
wyjątkowości
naszej historii
bez odniesienia
do dziejów innych
krajów.

na pytanie, czym jest patriotyzm dzisiaj, więcej Polaków wskazuje na aspekt symboliczny (znajomość i szacunek dla symboli narodowych, śpiewanie hymnu, odwiedzanie ważnych dla naszej historii miejsc) niż obywatelski (wzmacnianie instytucji państwowych, kontrola władzy, dbanie o środowisko, płacenie podatków). Patriotyzm symboliczny jest łatwiejszy, nie lekceważyłabym go, bo wzmacnia więzi wewnątrzgrupowe. Ale bywa niebezpieczny, gdy łączy się z wykluczaniem ze wspólnoty tych, którzy odwiedzają inne miejsca pamięci, czczą pamięć innych bohaterów i lubią śpiewać inne pieśni. Patriotyzm obywatelski wymaga więcej czasu, wysiłku, inwencji; czasem wiąże się z wchodzeniem w konflikty z administracją lub sąsiadami czy z poczuciem niepowodzenia. Przy wspólnym śpiewaniu jest cieplej i przyjemniej. Pewne straty mogą ponieść tylko ci, którzy mają profesjonalny słuch muzyczny. (*śmiech*) Narodowy narcyzm,

połączony z poczuciem wyjątkowej martyrologii, też nie jest dominujący w polskim społeczeństwie. Nasze badania różnych grup wykazały, że ani wiek, ani wykształcenie nie różnicują istotnie siły tej tożsamości. Istotnym czynnikiem jest natomiast niska samoocena indywidualna: im bardziej ktoś nisko ocenia siebie, swój życiowy status, dorobek i cechy osobiste, tym bardziej wierzy, że Polska jest nadzwyczajnie dobra, wielka, bezgrzeszna i niezwykle boleśnie doświadczona, powinna być więc nadal czujna i nieufna wobec obcych, którzy od wieków nas krzywdzili i nadal mają wobec nas złe zamiary. Taki sposób myślenia o polskości jest też silnie związany z symbolicznym patriotyzmem. Obie formy myślenia o polskości były częściej deklarowane przez badanych bezpośrednio po katastrofie smoleńskiej.

KB: Czy oficjalny przekaz związany

z setną rocznicą odzyskania niepodległości promuje jakąś spójną wizję polskości?

KS: Tu także nie ma jedności wśród różnych opcji politycznych odnośnie tego, co i jak należy „promować” przy tej okazji. Zapewne stąd między innymi chaos organizacyjny, różne marsze, różne sposoby świętowania. Narodowcy chcą wielkiej Polski, ale tylko dla Polaków, co nie jest możliwe w dzisiejszych realiach mieszania się kultur, wędrowek milionów ludzi, otwartych granic, swobody wyboru miejsca zamieszkania. Są agresywni w sposobie wyrażania opinii o innych, cenią symbole bohaterstwa, sami siebie widzą jako ofiary historii i systemu politycznego. Obecne władze państwowe w zasadzie podzielają tę wersję polskości, ale nie wyrażają jej w tak agresywny sposób. Jednak w całej retoryce rządzącej dziś Zjednoczonej Prawicy nie tylko od święta słychać dumę z historii. Częściej chwali się oddawanie życia za ojczyznę niż mądre rządzenie krajem

tak, by nie trzeba było za ojczyznę umierać. Niepokojący jest egocentryzm narodowy polskiej konserwatywnej prawicy, podkreślanie wyjątkowości naszej historii, bez odniesienia do dziejów innych krajów. Jak inni mają nas rozumieć, skoro my nie chcemy poznać i zrozumieć innych? W dodatku nasza prawica uważa, że wszystko, co było złe dla Polski, niszczyło ją, zabierało życie i wolność, pochodziło z zewnątrz. My – samo dobro – niczego własnymi rękami i głowami nie zniszczyliśmy. Tymczasem rok 1918 przyniósł nam niepodległość, bo taka była sytuacja międzynarodowa, zaś przywódcy innych państw – w tym Woodrow Wilson, ówczesny prezydent USA – dobrze pamiętali nasze starania i bojowe czyny. To właśnie Wilson już w styczniu 1918 r., przedstawiając w orędziu do Kongresu USA swój program pokojowy, stwierdził, że „należy stworzyć niezawisłe państwo polskie [...], którego niezawisłość polityczną i gospodarczą oraz integralność terytorialną należy zagwarantować paktem międzynarodowym”. W pewnym sensie niepodległość przyszła z zewnątrz. I w dodatku nie wtedy, gdy najwięcej polskiej krwi za nią przelano. To może być trudne do zniesienia dla wielu prawicowych narcyzów. I może dlatego nie bardzo starają się, by 100-lecie niepodległości hucznie i pięknie świętować.

Lewicowo-liberalna część społeczeństwa i jej elita świętują i podkreślają polskość obywatelską, prodemokratyczną, starając się wyrównywać szanse wszystkich obywateli. Odsłonięcie pomnika Ignacego Daszyńskiego jest tu trafnie wybranym sposobem świętowania. Ta część społeczeństwa dostrzega zło, które w niepodległej Polsce robiliśmy sami sobie bądź innym: morderstwo prezydenta Narutowicza, wielkie nierówności ekonomiczne, krwawe konflikty etniczne, odejście od demokracji, getto ławkowe, pogromy, aneksję Zaolzia. Nie gloryfikuje Polski, ale czerpie satysfakcję z postępu edukacyjnego, modernizacji, wzrostu ekonomicznego, pokojowego przejścia od realnego socjalizmu i rządów autorytarnych do demokracji i gospodarki rynkowej. Dziś też chce świętować, chociaż zapewne dla wielu osób z tej grupy niepodległość państwa ewidentnie nie jest – moim zdaniem słusznie – tożsama z wolnością i pełnią praw obywatelskich.

KB: Skoro tak odmienne grupy chcą świętować to samo, choć z zupełnie różnych pobudek, może rocznica odzyskania niepodległości ma potencjał, by stać się mitem?

KS: Nie mówiłabym o micie odzyskania niepodległości, bo to przecież był fakt historyczny. Polska w 1918 r. stała się państwem suwerennym. Żadne zewnętrzne mocarstwo nie narzucało nam sposobu rządzenia, choć oczywiście szerszy kontekst polityczny i ekonomiczny na świecie miał wpływ na to, jak Polska radziła sobie z odzyskaną państwowością. Trzeba pamiętać, jak bardzo różnicowani kulturowo, etnicznie, cywilizacyjnie, politycznie, religijnie, a nawet językowo byli obywatele na początku budowania II RP. Można być dumnym, że mimo tych różnic i antagonizmów z nich wynikających w miarę szybko zaczęły funkcjonować instytucje

państwowe, takie jak sejm (otwarty dla szerokiej publiczności), prasa, uniwersytety, i powstawała wspólna tożsamość państwowa. Już w 1918 r. przyznano prawa wyborcze kobietom oraz realizowano duże projekty modernizacyjne (Gdynia, Centralny Okręg Przemysłowy, rozbudowa przemysłu maszynowego i chemicznego). W okresie PRL mitologizowano całe dwudziestolecie międzywojenne, nie dostrzegając poważnych błędów i nieszczęść, jakie sami sobie zgotowaliśmy. Dzisiaj znajomość faktów z tamtego – bynajmniej nie bezgrzesznego – okresu naszej niepodległości jest dużo lepsza. Społeczna pamięć tamtych czasów nie jest już tylko nostalgiczna, choć można znaleźć bezkrytycznych miłośników Piłsudskiego. Wydaje mi się, że dzisiaj mit szczęśliwego dwudziestolecia zaczyna być zastępowany sentymentem do PRL. Można powiedzieć, że im bardziej oficjalna propaganda narzuca Polakom krytyczny obraz jakiejś epoki, tym silniejsza jej społeczna akceptacja. Lubimy mieć swoje zdanie tym bardziej, im silniej władza usiłuje je zmienić.

KB: Czy w takim razie cechą Polaków jest szczególna potrzeba wolności? I co dla nas dzisiaj znaczy wolność?

KS: Sprzeciw wobec narzucania nam, co mamy myśleć, nie jest typowo polski – jest dość uniwersalnym zjawiskiem, psychologicznie nazywają je reaktancją. Gdy mamy poczucie odbierania nam swobody wyboru (zachowania, sądu, decyzji), powstaje przykre napięcie, które usiłujemy zredukować oporem wobec nakazu i jego źródła. Przykładem uniwersalności reaktancji jest wzrost spożycia (lub tylko zakupu) alkoholu w okresach reglamentacji jego sprzedaży lub prohibicji. Jeżeli idzie o wartość wolności dla współczesnych Polaków, to oczywiście lubimy myśleć, że jesteśmy – a z pewnością byliśmy – gotowi za nią umierać, że ją kochamy i rozumiemy. Ale gdy pytamy, co jest dla pana/pani warunkiem szczęśliwego, dobrego życia – wolność jest na dalekim miejscu. W 2016 r. Polacy najczęściej deklarowali, że czują się wolni, kiedy mogą wyrażać swoje wartości i potrzeby w sposób nienaruszający praw i wartości innych ludzi. Potwierdzają to nasze badania na reprezentatywnej próbie dorosłych (N = 1063). Okazało się również, że tak rozumiana wolność pozytywnie wiąże się z akceptacją reguł liberalnej demokracji oraz z odrzuceniem władzy autorytarnej. Ale byli i tacy respondenci – częściej młodszy niż starsi i gorzej wykształceni – którzy mówili, że czują się wolni, gdy mogą mówić i robić, co chcą, bez żadnych ograniczeń, bez względu na to, co inni myślą i czują. Ten rodzaj pojmowania wolności wiązał się z mniejszą akceptacją demokracji liberalnej oraz większą akceptacją autorytarnej władzy. Nie jest więc tak, że każde pragnienie wolności sprzyja demokracji. Potrzeba wolności nieograniczonej, pozbawionej wszelkich zewnętrznych barier, nieliczącej się z prawami i potrzebami innych ludzi, może – co wydaje się paradoksalne – wzmacniać poparcie takiej władzy, która także nie uznaje żadnych ograniczeń, realizuje swoją wolę, nie licząc się ani z prawem, ani z potrzebami obywateli.



Hugh Gibson

© BIBLIOTEKA KONGRESU

Amerykanin w wolnej Polsce

Piłsudskiego uważał za osobowość najsilniejszą w obozie władzy, Paderewskiego codziennie spotykał na schodach Bristolu, zaś Grabskiego miał za szkodnika i siewcę chaosu. Środkami dyplomatycznymi walczył o większą rolę mocarstw w odbudowie Polski. Badał przypadki przemocy skierowanej wobec Żydów. **Hugh Gibson** był amerykańskim ambasadorem, ale też kronikarzem pierwszych lat odrodzonej Rzeczypospolitej. Z jego pism, listów i analiz wyłania się obraz dramatycznych wyzwań, przed jakimi stanęła Polska po odzyskaniu niepodległości.



Prof. Włodzimierz Borodziej, dr Sławomir Dębski, Jan-Roman Potocki, Piotr Długołęcki

Kamil Broszko

Hugh Gibson był ambasadorem USA w Polsce w latach 1919–1924, czyli w krytycznym momencie historii naszego kraju. Odtworzone państwo dążyło do ustanowienia i zabezpieczenia władz oraz niezależności granic, zaś wokół szerzyły się polityczne napięcie i chaos. Przemyślana i obiektywna analiza ambasadora Hugh Gibsona pozwala lepiej zrozumieć zmiany zachodzące w kraju tuż po odzyskaniu niepodległości. Artykuł powstał na podstawie debaty zorganizowanej przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych w związku z wydaniem książki „Amerykanin w Warszawie. Niepodległa Rzeczpospolita oczami pierwszego ambasadora Stanów Zjednoczonych”. W spotkaniu udział wzięli: Piotr Długołęcki, historyk MSZ; Jan-Roman Potocki, współautor książki, absolwent stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Cambridge, przedsiębiorca; dr Sławomir Dębski, historyk i politolog, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych; Włodzimierz Borodziej, historyk, profesor nauk humanistycznych, redaktor naczelny serii „Polskie Dokumenty Dyplomatyczne”.

Początek misji

Piotr Długołęcki: Ambasador Hugh Gibson przyjechał do Polski wiosną 1919 r. Z punktu widzenia polskich władz było to niezmiernie ważne wydarzenie, ponieważ owe władze zabiegały o międzynarodowe uznanie. W 1918 r. depesza notyfikacyjna informująca o istnieniu państwa polskiego została generalnie zignorowana. Dopiero przyjazd amerykańskiego ambasadora oznaczał potwierdzenie polskiej państwowości. Gibson był wtedy dyplomatą stosunkowo młodym, miał 36 lat. Dysponował doświadczeniem

w służbie dyplomatycznej Stanów Zjednoczonych, bywał na różnych placówkach, m.in. w Ameryce Południowej i Europie Zachodniej. Natomiast najważniejszym jego doświadczeniem z punktu widzenia misji dyplomatycznej w Polsce było uczestniczenie w akcji pomocowej w trakcie I wojny światowej. Przyjazd Gibsona do Polski spotkał się z zainteresowaniem polskich dyplomatów. Józef Wielowieyski, który był sekretarzem generalnym Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu i żelazną ręką trzymał na konferencji w Wersalu polski aparat urzędniczy, stwierdził, że skoro Gibson zajmuje się sprawami polskimi, to i nim należy się zająć. Wielowieyski dostrzegał też kontekst gospodarczy, postulując, aby sekcja propagandy ekonomicznej zastanowiła się, komu powierzyć opiekę nad ambasadorem. Po przyjeździe do Warszawy Gibson spotyka się z władzami, ma dostęp do najważniejszych osób w państwie, m.in. Józefa Piłsudskiego i Ignacego Paderewskiego. Jest postacią zauważalną. Znaczna część jego działalności w pierwszym okresie dotyczy zarówno kwestii politycznych, jak również humanitarnych.

Włodzimierz Borodziej: W 1919 r. Polska wciąż jest potwornie zniszczona przez Wielką Wojnę. Szerzą się nędza, choroby, nie ma ustalonych granic. Gibson uważa, że ogromną rolę w stabilizacji tego dużego państwa będą musiały odegrać mocarstwa. I wychodzi z sympatycznego, ale naiwnego założenia, że Polska jest gotowa do kooperacji z wielkimi mocarstwami, zaś te są zainteresowane stabilną sytuacją w Polsce. Chyba nieco lekceważy rozbieżności interesów mocarstw. Pomniejsza rolę Francji, o Wielkiej Brytanii pisze trafnie, natomiast Stanom Zjednoczonym wytyka rezygnowanie ze strategicznych interesów w tej części Europy.

Departament Stanu USA postrzega Polskę jako potencjalnego importera kapitału i technologii, które pomogą w odbudowie. To oznacza głębokie niezrozumienie specyfiki peryferii. Co ciekawe, Gibson ma fatalną opinię o Władysławie Grabskim, którego przedstawia jako człowieka siejącego chaos i niemającego pojęcia o ekonomii. Wiemy jednak z historii, że było dokładnie odwrotnie.

Sławomir Dębski: Rzeczywiście Polska jawi się w opisach Gibsona jako kraj niezwykle wyniszczony, który na dodatek z różnych obcych tradycji usiłuje zbudować własną tożsamość państwową. Przytoczę anegdotę z maja 1919 r. Gibson wraz ze swoimi współpracownikami przyjeżdża do radiostacji, aby nadać depešę do delegacji amerykańskiej w sprawie granicy wschodniej. I co widzi? Na rozpadającym się budynku umieszczono orły rosyjskie, obok doczepiono orły niemieckie, a do tego – polskie orły. Całość wyglądała jak klatka dla ptaków. Dostępu do budynku strzeże 17-letni żołnierz, który nie mówi po angielsku, ale słysząc obcy język, szybko się zniechęca i wpuszcza delegację. Gibson konstatuje, że czasem dobrze, gdy ktoś nie zna języków obcych. Z jego licznych komentarzy wyłania się również obraz polskiej elity politycznej. Oczywiście jest skłócona, ale nie sposób żadnej ze stron odmówić patriotyzmu – tylko dzięki temu udało się zbudować własne niepodległe państwo. Wiedza ambasadora wynikała z faktu, że miał stały, właściwie nieograniczony dostęp do najważniejszych osób w państwie. Z Paderewskim mijali się na schodach, bo obaj mieszkali w Bristolu.

Amerykańska pomoc Hoovera

Jan-Roman Potocki: Ameryka trochę się wycofała ze spraw europejskich i polskich – w 1920 r. Gibson został sam na placówce. Wielokrotnie pisał w sprawie Polski, ale rzadko otrzymywał odpowiedź z Waszyngtonu. Sytuację zmieniła niesłyszana cenna działalność Herberta Hoovera. To prezydent, który zapisał się w historii jako pomagający polskim dzieciom. Jednak jego pomoc była podyktowana celem strategicznym – miała utrzymać państwo, które było na granicy upadku. Polska była kompletnie zniszczona okupacją niemiecką. Kiedy Rosjanie wycofywali się ze swojego zaboru, dosłownie wyrzucili z domów 3 mln osób, zaś wszystko na swej drodze niszczyli i palili. Natomiast Niemcy w sposób bardzo systematyczny wysysali wszelkie zasoby ludzkie, żywnościowe, materiałowe itd. Gdy Polska odzyskała niepodległość, połączono trzy części kraju – nie do końca ze sobą zgrane i mocno wyczerpane. Rozmowy w Wersalu określiły kształt granic z Niemcami, jednak granice na wschodzie nie zostały ustalone. Pomoc i wizja Hoovera były podszyte walką z bolszewizmem; uważał on, że można z nim wygrać tylko „dzięki mące” – poprzez nakarmienie ludzi. To była strategiczna wizja Hoovera, a skoro został on potem prezydentem USA, to można ją określić mianem amerykańskiej strategii. Wsparcie dotyczyło żywności, ale także technologii, węgla, kolei itp. Moim zdaniem Polska nie przetrwałaby, gdyby nie pomoc Hoovera. On sam znał biedę, był sierotą, wiedział, jak to jest być wychowywanym bez rodziców. Zdobył jednak stypendium na Stanfordzie i dorobił się wielkiej fortuny. W wieku 40

lat posiadał spory jak na owe czasy majątek – wart milion dolarów. Dobrze poznał świat, jako inżynier pracował w kopalniach w Rosji, w Australii i innych odległych zakątkach globu. Jeśli zaś chodzi o Hugh Gibsona, on sam nie zaznał biedy, ale to nie zmienia faktu, że ówczesne polskie potrzeby znał bardzo dobrze. Na przykładzie działalności Hoovera i Gibsona widać, że w ówczesnym świecie sfery działalności humanitarnej i politycznej były ze sobą mocno powiązane.

Sławomir Dębski: Kiedy analizuje się akcję pomocową Herberta Hoovera, warto wspomnieć, w jaki sposób Hoover z Paderewskim się poznali. Kiedy Hoover studiował na Stanfordzie, postanowił zorganizować występ Paderewskiego. Koncert się nie sprzedał. W związku z tym napisał do Paderewskiego, że bardzo przeprasza, ale niestety nie udało się koncertu zorganizować, mimo iż bardzo się starał. Na to Paderewski odpowiedział, że w takim razie on sam w całości sfinansuje wydarzenie. I koncert na Uniwersytecie Stanforda się odbył. Tak rozpoczęła się przyjaźń między Hooverem i Paderewskim. Ten przykład świetnie pokazuje, że w ramach dyplomacji warto inwestować w obiecujących studentów. Nigdy nie spotkałem się z wyliczeniem, ile dokładnie wagonów żywności, odzieży, środków chemicznych czy urządzeń przesłali Amerykanie do Polski, ale wiadomo, że były to gigantyczne ilości.

Stosunki polsko-żydowskie

Piotr Długolecki: W 1919 r. w Polsce, głównie na terenach wschodnich, dochodzi do pogromów Żydów, co wywołuje skrajnie negatywne reakcje, głównie mediów zachodnich. Do Polski przyjeżdża amerykańska komisja na czele z Henrym Morgenthauem seniorem, zaś Hugh Gibson staje się jednym z jej najważniejszych informatorów. Wzbudza to wiele emocji, zarówno wśród jego zwolenników, jak i przeciwników. On sam nie jest od nich wolny, chociaż wydaje się, że zachowuje możliwie duży obiektywizm w tej sprawie.

Włodzimierz Borodziej: Od 1914 r. w społeczeństwie upowszechnia się przekonanie, że jedynymi, którym się dobrze wiedzie, są chłopci (i to akurat prawda, że wiodło im się lepiej niż ludności miejskiej) i Żydzi, którzy robią karierę finansową na nędzy. Dziś wiadomo, że w latach 1918–1919 w Polsce było około 300 ofiar pogromów. Na Ukrainie w podobnym okresie liczba ofiar pogromów jest pięć- albo sześciocyfrowa. Tylko że tam nie dotarli korespondenci „New York Timesa”. Pogromy oczywiście fatalnie odbijają się na reputacji Polski za granicą. Natomiast w innych krajach regionu – na wspomnianej Ukrainie, na Węgrzech czy w Rumunii – skala zjawiska jest nieporównywalnie większa. Niemniej jednak w Polsce ono występuje i wymaga wyjaśnienia. Jeśli chodzi o udział w pogromach regularnych oddziałów armii polskiej, szczególną rolę odgrywają tutaj hallerczycy i pułki wielkopolskie. Wytlumaczenie zjawiska jest o tyle trudne, że zarzut dotyczy ludzi, którzy nie przeżyli nędzy wojennej, a nienawidzą Żydów jako tych, którzy rzekomo wygrali I wojnę światową. Istnieje teoria – w którą ja osobiście nie wierzę – że żołnierze pułków

wielkopolskich, czyli po części również żołnierze Hallera, będący żołnierzami armii pruskiej i rekrutowani we Francji, nauczyli się antysemityzmu od swoich niemieckich towarzyszy broni.

Sławomir Dębski: W 1919 r. doszło do trzech zbrodni na Żydach. Mamy sprawę Pińska. Miasto w tym czasie przechodziło z rąk do rąk i w pewnym momencie zastosowano tam karę doraźną – rozstrzelano kilkudziesięciu Żydów za rzekome sympatyzowanie z bolszewikami. Później doszło do wydarzeń w Wilnie, podczas których w walkach o miasto zginęło trzydziestu kilku Żydów. Jest też sprawa Częstochowy, w której hallerczycy pobili Żydów i kilku z nich zabili. Trzeba jeszcze wspomnieć o wydarzeniach we Lwowie, jednak one miały miejsce w listopadzie 1918 r. Za zbrodnie w Pińsku winę ponoszą pułki wielkopolskie, w Częstochowie – hallerczycy, natomiast w Wilnie – ani jedni, ani drudzy. W literaturze tłumaczy się postawę żołnierzy pułków wielkopolskich tym, że w Wielkopolsce mieli oni kontakt z Żydami zasymilowanymi, nieortodoksyjnymi, zaś w Galicji i centralnej Polsce spotkali się ze społecznościami wyizolowanymi, wyglądającymi inaczej, niemówiącymi po polsku. Jeden z raportów Hugh Gibsona zawiera charakterystykę czterech postaw społeczności żydowskiej wobec państwa polskiego. Wyróżnia Żydów zasymilowanych, którzy współpracują z rządem, polskich patriotów. Kolejna grupa to Żydzi ortodoksyjni, którzy – ogólnie rzecz biorąc – są niechętni jakiegokolwiek państwu: polskiemu, rosyjskiemu i innym. Wiemy, że dziś Izrael ma ze swoimi Żydami ortodoksyjnymi problem, bowiem odmawiają oni służby wojskowej, świadczeń na rzecz państwa itd. Trzecia grupa to syjoniści, którzy starają się zachęcić Żydów do idei zbudowania własnego państwa. Czwartą grupę opisaną w raporcie Gibsona stanowią kryminaliści.

Ciekawe są uwagi Hugh Gibsona na temat propagandy, jaka się rozpętuje w wyniku wydarzeń na terenie Polski. Departament Stanu USA znajduje się pod wpływem presji wywieranej przez lobby żydowskie. Prasa amerykańska dopomina się jakiejś reakcji. Na Times Square w Nowym Jorku protestuje 25 tys. Żydów, co jest rezultatem artykułów na temat pogromów w Polsce. Gibson usiłuje przekonać Departament Stanu, że istnieje potężny rozziw między wydarzeniami w Polsce i ich percepcją w USA. Z tego powodu wielu historyków zarzuca mu antysemityzm. Jednak z materiałów obecnie publikowanych wynika, że oskarżenie to jest niesłuszne. Wydaje się, że Gibson starał się obiektywnie relacjonować sprawę. Fakt, że sprzeciwiał się wersji zdarzeń w Polsce propagowanej w USA, nie jest wystarczającą przesłanką do zarzucenia mu antysemityzmu.

Jan-Roman Potocki: Chciałbym wrócić do kwestii hallerczyków. Pochodzili z Francji i Ameryki. Dokonywali nadużyć, trudno mi

mówić o powodach. Wiem natomiast, że już wcześniej były tarcia między wspólnotą żydowską i polską w Chicago na tle konkurencji ekonomicznej. Hallerczycy pochodzący ze Stanów mogli niejako przywieźć do Polski tendencje do rywalizowania z Żydami (zresztą również emigrantami z Polski lub Rosji). Trzeba pamiętać, że było to pierwsze pokolenie polskich emigrantów. Kiedy doszło do pogromów w Polsce, wciąż trwała konferencja wersalska. Negocjowano m.in. kwestię praw politycznych i praw do reprezentacji politycznej dla mniejszości narodowych w Polsce, na czele z Ukraińcami i Żydami. Równocześnie trwała rozgrywka polityczna. Wiadomo, że członkowie komisji żydowskiej w Wersalu byli w większości syjonistami, więc pokazanie Polski jako otoczenia nieprzyjaznego mogło im być na rękę. Ich punkt widzenia mógł być propagowany przez

media w USA. Wracając na grunt polski i do działalności komisji Morgenthaua – jej lokalni szefowie bardzo dobrze ocenili pomoc Hugh Gibsona i jego dążenie do odkrycia prawdy. Moim zdaniem książka „Amerykanin w Warszawie” może przekonać amerykańskich historyków, że oskarżenie Gibsona o antysemityzm jest bardzo niesprawiedliwe.

Włodzimierz Borodziej: Ja bym do wątku żydowskiego dorzucił trzy kwestie. Po pierwsze, Żydzi w 1919 i 1920 r. są podzieleni, tak samo jak Polacy, Niemcy i inne nacje. Zrównuje ich i czyni jedną grupą sytuacja, w której stają się ofiarami. Bo czy hallerczycy obcinają brodę i wyrzucają z pociągu syjonistę, tradycjonalistę, czy jeszcze innego Żyda, to nie odgrywa żadnej roli – wyrzucają go, bo jest Żydem. Hugh Gibson nie był antysemitą, tylko starał się sprawić, aby do opinii publicznej do-

cierała prawda. Jeżeli gazeta pisała, że w wyniku pogromu w Pińsku było 500 ofiar, to on czuł się w obowiązku zweryfikować ten fakt. Gdy przybył na miejsce, okazało się, że ofiar było trzydzieści kilka. Amerykański ambasador bardzo dobrze wypełniał swoje obowiązki, co było przez różne środowiska żydowskie rozmaicie przyjmowane. Jedni widzieli w tym potwierdzenie złego stosunku do syjonizmu, drudzy utwierdzali się w przekonaniu, że dla Żydów nie ma miejsca w Europie.

Sławomir Dębski: Z konkluzji komisji Henry'ego Morgenthaua dowiadujemy się, że zdarzenia w Pińsku, Częstochowie i Wilnie nie były inspirowane przez polskie władze, mało tego, Polska próbowała przeciwdziałać tym incydentom. Gibson odbył ciekawą rozmowę z Józefem Piłsudskim. Marszałek twierdził, że incydenty antyżydowskie, które są skandaliczne i nie powinny mieć miejsca, szkodzą sprawie polskiej, zaś antysemityzm należy potępić pod każdą postacią i ostro mu przeciwdziałać.

Piotr Długolecki: Spokojne, zrównoważone stanowisko Gibsona często było postrzegane jako niechęć do współpracy

Marszałek twierdził,
że incydenty
antyżydowskie,
które uważał
za skandaliczne,
szkodzą sprawie
polskiej,
zaś antysemityzm
pod każdą postacią
należy potępić
i ostro mu
przeciwdziałać.

albo wybielanie zbrodni, podczas gdy on – w przeciwieństwie do wielu komentatorów – zadawał sobie trud, aby pojechać do Wilna i porozmawiać z osobami, które ucierpiały w wyniku zająć antyżydowskich.

Władza i państwo w oczach ambasadora

Piotr Długolecki: W ciągu pięciu lat widać ewolucję jego poglądów. Początkowo, po przyjeździe do Polski, opisując polskich polityków, nie szczędził pochwał. Z biegiem czasu gorzknije, jego oceny stają się coraz bardziej krytyczne, szczególnie w odniesieniu do Piłsudskiego. Natomiast bardzo chwali Paderewskiego, a także polskich ministrów spraw zagranicznych. Pisze pozytywnie o ministrze Eustachym Sapiesze, o Konstantym Skirmuncie, Gabrieli Narutowiczu, później wybranym na prezydenta. Gibson formułuje też bardzo krytyczne uwagi ogólne na temat Polaków. Pisze, że rzecz wymagałaby umiejętności współdziałania, której Polacy nie posiadają, za to mają tendencję do popadania ze skrajnego optymizmu w skrajną rozpacz, zaś brak jedności ma charakter historyczny. Ambasador skarży się na biurokrację, łapówki, które są wymuszane na nim i wielu innych dyplomatach, również na poziom kadry urzędniczej w Polsce. Warto przytoczyć jedną z opinii, sformułowaną pod koniec 1921 r.: „Polityka zagraniczna Polski mająca tak podstawowe znaczenie w ciągu tych wczesnych lat była żałośnie głupia, a niekiedy zabójcza. Rząd popełniał jeden po drugim błęd po drugim, a faktycznie żadnym zagadnieniem o większym znaczeniu nie zajęto się w sposób delikatny i zgodny ze zdrowym rozsądkiem”.

Włodzimierz Borodziej: Bardzo trafna wydaje mi się charakterystyka Piłsudskiego jako osobowości najsilniejszej. Wadą marszałka było to, że ze względu na dominującą rolę jego otoczenie składało się głównie z miernot i wykonawców poleceń. Zaskoczył mnie w fakt, że Gibson mało pisze o Dmowskim oraz o konflikcie między lewicą i prawicą – a właściwie między trzema wizjami, gdyby doliczyć jeszcze pogląd stronnictw chłopskich – odnośnie tego, jaka ma być Polska. Ambasador w raporcie z 1921 r. bardzo trafnie uchwycił, z czego wynikały tutejsze kłopoty. Pierwsza część mówi o dziedzictwie pozaborczym – trzech nieprzystających do siebie społecznościach i wyeksploatowanym terytorium. Zaborcy mają potężny udział w dysfunkcjonalności państwa polskiego, ale jest też bardzo długi rejestr zaniechań po 1918 r. Szczególnym problemem był stosunek społeczeństwa do administracji, którą cały czas traktowano jako obcą. Myślę, że diagnoza Gibsona jest w dużej mierze trafna. Z tym zastrzeżeniem, że do 1922 r., do konwencji górnośląskiej, nie było wiadomo, jak będą przebiegały wszystkie

granice kraju, co utrzymywało destabilizację. Ambasador, choć ma tego świadomość, ulega narastającemu zniecierpliwieniu. To mi przypomina list Ralfa Dahrendorfa do jednego z opozycjonistów, wysłany na początku lat 90. ubiegłego wieku. Dahrendorf pisał, że aby stworzyć konstytucję, potrzeba sześciu miesięcy; aby stworzyć gospodarkę rynkową, potrzeba sześciu lat; a żeby powstało społeczeństwo obywatelskie, czyli takie, które szanuje własną administrację, potrzeba 60 lat. Zaś Gibson był w Polsce tylko pięć lat. W kwietniu 1919 r., równocześnie z Gibsonem, choć oczywiście niezależnie od niego, przyjeżdża do Warszawy kapitan Charles de Gaulle. Szkolił tu polskich oficerów i tak jak ambasadora USA denerwowała go bylejakosć polskiej administracji. Niedługo po przyjeździe, gdy się już zorientował w sytuacji, pisał w raportach o mobilizacji armii

Hallera i konstatował, że oznacza to rychły wymarsz Polaków na wschód. Takie analizy są Gibsonowi kompletnie obce.

Jan-Roman Potocki: Gibson od razu po przybyciu do Polski docenia kwalifikacje starych urzędników, szczególnie austro-węgierskich, którzy stawili się do służby dyplomatycznej w nowej Polsce. Ogólnie ówczesne sfery władzy podzieliłbym na idealistów i realistów. Gibson wołał tych pierwszych, a za największego idealistę uważał Paderewskiego – bohatera Polaków, ale też Amerykanów, którzy doceniali jego poświęcenie dla idei wolnej Polski. Do idealistów zaliczał też Sapiechę i Narutowicza. Uważał, że służyli z obowiązku, bez ambicji politycznych; doceniał ich fach i szerokie horyzonty, dobrze się z nimi dogadywał. Największym realistą był Piłsudski.

Gibson ocenia go surowo, mając mu za złe, że doprowadził do upadku rządu Paderewskiego. W 1922 r. mówi coś bardzo ciekawego: „Nie wątpliwie dopóki marszałek Piłsudski pozostaje u władzy, będzie on elementem stale budzącym niepokój i niepewność, szczególnie niepożądane, gdy tej części świata jest potrzebny pokój i wiara w niego. Z drugiej strony, jeżeli marszałek utraci stanowisko, jest mało prawdopodobne, że zadowolony się spokojną emeryturą. Jego potrzeba działania, intryg i podnieć jest silna, a sądząc po jego przeszłości, zapewne można założyć, że byłby gotowy wywołać konflikt wewnętrzny, aby realizować swoje zamierzenia”. Wynika z tego, że Gibson z dużą dokładnością przewidział, co się stanie w 1926 r. Ambasador USA nie do końca rozumiał sposób prowadzenia polityki, zaszłości historyczne, plany rozwoju Polski, sytuację na wschodniej granicy. Ale odczytuję jego krytykę jako formułowaną w duchu przyjaźni. Na końcu książki jest bardzo śmieszna uwaga. Przed objęciem placówki w Bernie Gibson pisze, że cieszy się z wyjazdu z Warszawy, ponieważ jest ona dla niego za droga, zaś w Szwajcarii jest dużo taniej niż w Polsce.

Ambasador
w raporcie z 1921 r.
trafnie uchwycił,
z czego wynikały
tutejsze kłopoty.
Pisze o dziedzictwie
pozaborczym – trzech
nieprzystających
do siebie
społecznościach
i wyeksploatowanym
terytorium.

Krzycząc: Polska! Niepodległa 1918

Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie



1

Jak wyglądała droga do niepodległości widziana oczami artystów? Ekspozycja „Krzycząc: Polska! Niepodległa 1918” zestawia artystyczne przedstawienia wydarzeń historycznych i politycznych dwóch pierwszych dekad XX w. z przemianami polskiej sztuki u progu odrodzonego państwa. Dziełom ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie towarzyszą prace współczesnych twórców – Piotra Ukleńskiego i Przemysława „Trusta” Truścińskiego, podejmujące dialog z tematyką wojny, niepodległości, sztuki narodowej. Wystawa „Krzycząc: Polska!” wieńczy obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości w Muzeum Narodowym w Warszawie.



© KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

2

Na wystawie można zobaczyć powstałe na początku XX w. prace przybliżające nieoczywisty i bolesny proces odzyskiwania niepodległości. Kurator ekspozycji starał się stworzyć obraz bliski emocjom, jakie towarzyszyły świadkom tamtych wydarzeń, a zarazem odmienny od ukształtowanego przez ostatnie kilkadziesiąt lat stereotypu. Narracja wystawy jest również zaproszeniem do udziału w debacie na temat kształtowania tożsamości narodowej po I wojnie światowej i poszukiwania form i treści dla sztuki narodowej.

Dziesięć części ekspozycji ułożono w porządku chronologicznym i tematycznym. Wystawę rozpoczynają lata 1905–1907 i okres Wielkiej Wojny, zamykają zaś wydarzenia związane z walkami

Władysław Skoczylas,
„Święty Boże (Wojna)”,
drzeworyt, papier, 1916 r.

1

Ludomir Sleńdziński,
„Piłsudski pod Wilnem”,
olej, płótno, 1927 r.

o granice odrodzonej Rzeczypospolitej, wyłonieniem Sejmu Ustawodawczego i wyborem na prezydenta Gabriela Narutowicza.

Przygotowania do realizacji ekspozycji ujawniły wiele prac ważnych, a niepokazywanych od niemal stu lat. Są to m.in. rzeźby przedstawiające Józefa Piłsudskiego, dzieła dokumentujące losy ludności cywilnej podczas Wielkiej Wojny, wśród nich obraz

„Uchodźcy” Jana Rembowskiego z 1915 r. i wypożyczone z Żydowskiego Instytutu Historycznego cykle Abła Panna i Wilhelma Wachtla, a także zapomniane malarskie wizje Stanisława Fabijańskiego, prezentujące wojenny dramat, czy fotografie Jana Neumana. Na wystawie można również zobaczyć jeden z nielicznych polskich obrazów w stylistyce futurystycznej – „Szarżę” Jerzego Hulewicza.



1

Prezentowane fragmenty „Wesela” w reżyserii Andrzeja Wajdy, rejestracja spektaklu „Wielopole, Wielopole” Tadeusza Kantora oraz nowe realizacje Piotra Ukłańskiego i Przemysława „Trusta” Truścińskiego stanowią artystyczne interwencje w zespoły dzieł dawniejszych. Wątki niepodległościowe zestawiono z nowymi, dynamicznie rozwijającymi się tendencjami artystycznymi. Koniec I wojny światowej zwiastował wzrost zainteresowania sztuką narodową łączącą nowoczesność z elementami tożsamościowymi, lokalnymi. Obok dzieł twórców związanych z ugrupowaniami awangardowymi, jak Bunt i Formiści, na wystawie można zobaczyć prace artystów ukraińskich związanych ze środowiskiem lwowskim oraz przedstawicieli awangardy żydowskiej, aktywnych w Łodzi, Warszawie i innych miastach Polski.

Wystawa „Krzyżując: Polska! Niepodległa 1918” rozpoczyna się tam, gdzie przed 40 laty kończyła się w Muzeum Narodowym w Warszawie ekspozycja „Droga do niepodległości. Wystawa malarstwa, rysunku i grafiki XIX i pocz. XX w. zorganizowana dla uczczenia 60. rocznicy odzyskania niepodległości” (jej kuratorami byli Agnieszka Morawińska i Andrzej Rottermund).

We wstępie broszury towarzyszącej wystawie z 1978 r. dyrektor Stanisław Lorentz pisał: „Cofamy się tą wystawą w przeszłość, w długi okres niewoli, trwający od roku 1795 do 1918, a więc ponad 120 lat. [...] Sześćdziesiątą rocznicę tego wydarzenia uznaliśmy za okazję do pokazania w rzadko u nas stosowanym porządku tematycznym, a nie chronologicznym, dzieł [...], które odzwierciedlają dzieje narodowej myśli, rozwój wydarzeń

2



© PIOTR LIGIER/Muzeum Narodowe w Warszawie



© KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/MUZEUUM NARODOWE W WARSZAWIE

1

Zygmunt
Rozwadowski,
„Bitwa I Brygady
Legionów z wojska-
mi rosyjskimi
w Urzędowie
w lipcu 1915 roku
(Belina pędzi Moska-
li z Urzędowa)”,
olej, płótno, 1938 r.

2

Tytus Czyżewski,
„Madonna”,
olej, płótno,
ok. 1920 r.

3

Zdzisław Jasiński,
„Burza”,
olej, płótno, 1925 r.



© PIOTR LIGIER/MUZEUUM NARODOWE W WARSZAWIE

3

i wyobraźni artystycznej, etapy trudnej polskiej drogi do niepodległości”. Kuratorski zabieg zmniejszył niebezpieczeństwa związane z politycznie ryzykowną tematyką, budzącą wzmożone zainteresowanie cenzury. Porozbiorowe rozterki zostały wówczas ledwie zasygnalizowane poprzez dzieła polskich mistrzów: Stanisława Wyspiańskiego, Jacka Malczewskiego, Witolda Wojtkiewicza, Andrzeja Wajdy. To różnica podstawowa w stosunku do obecnej wystawy – najważniejsza część „Krzyżując: Polska!” dotyczy okresu Wielkiej Wojny, lat odzyskania niepodległości i walk o kształtowanie granic Rzeczypospolitej oraz narodzin nowej estetyki.

Ostatnim dziełem tamtego pokazu był obraz „Polonia” Jacka Malczewskiego, symbol walki i nadziei. Obecną ekspozycję zamykają natomiast trzy nieproporcjonalnie reprezentowane w sztuce tematy: powołanie Sejmu Ustawodawczego, polityczne zabójstwo pierwszego prezydenta RP oraz wszechobecny kult marszałka Józefa Piłsudskiego, z oczywistych powodów na poprzedniej wystawie pominięty.

Prace prezentowane na wystawie „Krzyżując: Polska!”, obrazy, rzeźby, grafiki i rysunki, niemal w całości pochodzą ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie. Ekspozycję uzupełniają dzieła wypożyczone z Muzeów Narodowych w Kielcach, Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu, Muzeum Wojska Polskiego, Lwowskiej Galerii Narodowej, krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz Biblioteki Jagiellońskiej.

Krzyżując: Polska! Niepodległa 1918, wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie, 26 października 2018–17 marca 2019, kurator wystawy: dr Piotr Rypson, p.o. dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie.

Wystawa pod honorowym patronatem Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. dra hab. Piotra Glińskiego. Projekt „3 × Niepodległa w Muzeum Narodowym w Warszawie” pod patronatem narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w stulecie odzyskania niepodległości.

Cykl „3 × Niepodległa w Muzeum Narodowym w Warszawie”, realizowany w ramach Programu Wieloletniego „Niepodległa” na lata 2017–2022.



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

o wartościach i sporcie

Część I

Czy sport jest spoiwem narodowym i wpływa na myślenie polityczne? Czy Churchill przedkładał nadeń cygara i whisky? I czy kolarz Stanisław Królak podczas Wyścigu Pokoju bił Rosjan pompką, torując sobie drogę do zwycięstwa? Na te i wiele innych pytań odpowiadają prof. Jerzy Bralczyk, językoznawca, specjalista z zakresu języka mediów, reklamy i polityki, sympatyk sportu; Andrzej Person, były senator RP i dziennikarz sportowy; Stefan Szczepiek, dziennikarz i komentator sportowy; oraz Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego, redaktor naczelny kwartalnika „Teraz Polska”.

Krzysztof Przybył: Dzisiejsza rozmowa zapoczątkowuje cykl dyskusji pt. „O wartościach i sporcie”. Raz na kwartał Fundacja „Teraz Polska” i magazyn „Teraz Polska” będą organizowały kameralne spotkanie intelektualistów, sportowców i przyjaciół sportu. Chcemy zachęcić naszych gości do rozważań na temat roli sportu, jednak w zupełnie nowy sposób. Sport jest niezwykle istotną i wpływową dziedziną życia. Ze względu na swoje kanony, idee, ale także swą dynamikę sport generuje wiele treści i staje się przez to źródłem wartości życia społecznego. Naszym celem jest przeanalizowanie owych wartości. Na pierwszym spotkaniu, ze względu na 100-lecie niepodległości Polski, chciałbym poprosić o rozpatrzenie następującego problemu: czy sport wpływa na nasze myślenie polityczne i czy może być traktowany jako spoiwo narodowe?

Jerzy Bralczyk: W ostatnim czasie polityka zastępuje sport. W polityce, jak w sporcie, najważniejsze jest, którzy to nasi i kto kogo. Kiedy w „Klubie Pickwicka”, pierwszej powieści Karola Dickensa, ścierają się dwa stronnictwa – niebieskich i żółtych – i zapytano pana Pickwicka, z kim krzyczeć, poradził: „Krzyczcie z silniejszymi”. Rywalizacja dla samej rywalizacji jest wprawdzie pewną wartością, ale musi mieć podbudowę, która obiektywizuje i legitymizuje nasze zaangażowanie. Jesteśmy za „nimi”, bo są słuszniejsi albo piękniejsi.

Andrzej Person: Albo wyżsi. Nie wiem, czy zwrócili panowie uwagę, że po II wojnie światowej każdy następny prezydent USA był wyższy od kontrkandydata.

Stefan Szczepłęk: Podobna sytuacja ma miejsce w „Podróżach Guliwera”, gdzie również napotykamy dwie frakcje, spierające się, z której strony należy jeść jajko: od okrągłego czy spiczastego czubka.

JB: Szukamy różnic, a w gruncie rzeczy chcemy znaleźć podobieństwa, wokół których możemy się zintegrować. Przy czym owa integracja następuje wyłącznie w opozycji do innych. Szukamy przeciwieństw nie dla kasy, ale dla zgody.

SS: Radę „krzyczcie z silniejszymi” można odnieść do sytuacji klubów o dużej liczbie kibiców i do polityków, którzy zabiegają o głosy wyborców. Zauważmy, że w Warszawie politycy zawsze zwracają się do legionistów, bo Legia jest silniejszym i większym klubem niż Polonia i zapewnia większy elektorat.

JB: Warto przytoczyć również zdanie Talleyranda, który obserwując zamieszki, zwrócił się do stojącej obok damy: „Nasi górą”. „A którzy są nasi?” – zapytała dama. „Ci, którzy są górą, oczywiście” – odpowiedział Talleyrand.

AP: Czy człowiek nie rodzi się z przekonaniem, że powinien „krzyczeć z silniejszymi”? Mój sześciolatek wnuczek kibicuje z ojcem Realowi Madryt, nawet zakłada koszulkę Realu. Kiedyś oglądał ze mną mecz Realu z Barceloną. Gdy zobaczył, że na boisku źle się dzieje i Barcelona wygrywa, zapytał mnie: „Dziadku, a ty

za kim jesteś?”. „Zawsze za Barceloną” – odpowiedziałem. „To ja też” – zdecydował.

JB: Przytoczę przypowieśćkę Mikołaja Rodocia-Biernackiego, poety i satyryka, która pokazuje, że mamy naturalną skłonność do pomagania słabszemu, w myśl zasady „bij mistrza”:

Pan Ambroży jest mocny, pan Barnaba słaby,
Walczą, ale ja stoję po stronie Barnaby.
Może los Ambrożego na ziemię położy,
Dobrze, wtedy tam stanę, gdzie leży Ambroży.
Mówią, że tym sposobem można dostać w skórę,
Cóż, kiedy taką głupią mam naturę.

AP: Kompletnie nie rozumiem, dlaczego wszyscy uważają czwarte miejsce za najgorsze. Być czwartym na stu startujących to przecież wyczyn.

SS: A o zdobywcy srebrnego medalu Amerykanie mówią „pierwszy przegrany”. Zaraz wytłumaczę na swoim przykładzie. W 1967 r. brałem udział w Varsoviadzie, która po dziś dzień jest rozgrywana jako igrzyska studentów pierwszego roku uczelni warszawskich. Wydarzeniem kulminacyjnym był bieg na jedną milę, w którym zająłem czwarte miejsce na ponad stu startujących. Było to dla mnie bardzo bolesne doświadczenie, bo widziałem, jak trzej koledzy, którzy dobiegli przede mną, wchodzą na podium, odbierają dyplomy i nagrody rzeczowe. Na przykład zdobywca trzeciego miejsca dostał koszulkę, której bardzo mi zazdrościłem, bo sam miałem wtedy może ze dwie.

AP: Znana jest historia o Churchill, który – pytany o swoją długowieczność i dobrą kondycję – zwykł odpowiadać: „No sports, just whisky and cigars”. Mijał się przy tym nieco z prawdą, gdyż w młodości zwyciężył w szkolnych zawodach szermierczych. Uprawiał też pływanie, jazdę konną, a do 51. roku życia grywał w polo. Codziennie też grał w golfa na polu w Walton Hills, na którym nawet mimo wojny odbywały się posiedzenia rządu. Zatem zasada „zero sportu” była tylko chwytliwym hasłem marketingowym.

SS: Co więcej, w 1943 r. Churchill razem ze starszą córką monarchy, czyli obecnie panującą królową Elżbietą II, poszedł na mecz na Wembley. Chciał pokazać narodowi, że choć w 1940 r., kiedy obejmował urząd premiera, obiecywał mu „krew, znoj, łzy i pot”, to również doceniał funkcję sportu w jednoczeniu narodu i podniesieniu go na duchu.

JB: Zatem zgadzamy się na rywalizację w kategoriach klasowych i sportowych. Jedni walczą o podium, inni o jak najlepsze, punktowane miejsce.

AP: Ciekawa historia wydarzyła się na olimpiadzie w Salt Lake City w 2002 r. podczas zawodów w short-tracku na 1000 metrów. W kategorii najbardziej szczęśliwie wywalczonych złotych medali

startujący w łyżwiarstwie na krótkim torze Australijczyk Steven Bradbury bije wszystkich na głowę. W ćwierćfinale Bradbury (znany wcześniej jedynie z osiągnięć w rywalizacji drużynowej – brąz w 1994 r. w Lillehammer) zajął trzecie miejsce, ale awansował dalej, bo rywala zdyskwalifikowano. W półfinale jechał ostatni, ale trzech przeciwników przewróciło się, więc dostał się do finału. Przed decydującą rozgrywką uznał, że nie ma szans wyprzedzić mocnych konkurentów i lepiej jechać trochę z tyłu, liczył bowiem, że przynajmniej dwóch z czterech rywali zderzy się i upadnie. I tak właśnie się stało. Jakieś 50 metrów przed końcem biegu komplet konkurentów wylądował na lodzie, a zdumiony Bradbury przejechał pierwszy linię mety. Nawet sędziowie nie do końca wiedzieli, co począć w tej sytuacji, i naradzali się wyjątkowo długo. Ostatecznie uznali, że złoto należy do Bradbury'ego.

Ciekawa sytuacja miała też miejsce na igrzyskach w Moskwie. Do kobiecych zawodów hokeja na trawie zgłosiło się tylko pięć drużyn. Wobec tego władze polityczne zdecydowały, że pojadą tam nasze laskarki, choć były o kilka klas słabsze od swoich rywali. Naszą reprezentację tworzyła drużyna z Krapkowic. Janek Ciszewski ze swadą podsumował zawody, siedząc w moskiewskim studiu telewizyjnym: „Niestety, nasze wspaniałe laskarki przegrały z czarnoskórymi pięknosciami z Zimbabwe”. W ogóle nie widział meczu, więc nie mógł zaobserwować, że w drużynie z Zimbabwe... nie było ani jednej czarnoskórej zawodniczki.

SS: Sport był niewątpliwie spoiwem narodowym zarówno w okresie zaborów, jak i PRL, kiedy trzeba było pokazać jedność narodu i jego istnienie na arenie międzynarodowej.

AP: Antoni Słonimski mówił: „Świat nie jest piłką futbolową, świat się podbija głową! Głową!”. Sport ma dzisiaj ogromne znaczenie. Istnieje sportowa polityka państwa, a pozytywny wizerunek kraju najłatwiej i najtaniej tworzy się przy pomocy sportu.

JB: W czasie stanu wojennego szukano obszaru, w którym można byłoby budować wspólnotę. Wtedy takim obszarem okazało się dbanie o język. Wydaje się, że dzisiaj sport – przy całej agresji, którą czasem wywołuje – mógłby być przestrzenią budowania wspólnoty. Zapewne wszyscy zgodzą się, że dobrze jest wygrywać. Niestety, jeżeli wygrywamy, kiedy rządzą „nie nasi”, to cieszymy się, ale jednocześnie trochę martwimy, że owo zwycięstwo może pomóc „nie naszym” rządzącym. Zatem sportowe zwycięstwo może zostać upolitycznione, zamiast pozostać jedynie płaszczyzną jednoczenia.

Wydaje się, że dzisiaj sport – przy całej agresji, którą czasem wywołuje – mógłby być przestrzenią budowania wspólnoty. Zapewne wszyscy się zgodzą, że dobrze jest wygrywać.

SS: Tak właśnie było podczas mistrzostw świata w piłce nożnej w 1982 r. Do awansu do czołowej czwórki wystarczał Polakom remis z drużyną radziecką. Z uwagi na trwający stan wojenny mecz ten miał również wymiar polityczny. Dodatkowo atmosferę podgrzewały wywieszane transparenty Solidarności. Z tego spotkania w pamięci kibiców zapisał się głównie Włodzimierz Smolarek, który w końcowych minutach nieco niesportowo przetrzymywał piłkę w narożniku boiska, zyskując w ten sposób cenne sekundy, aby utrzymać „zwycięski” remis, kwalifikujący do półfinału. Historię tamtej reprezentacji Polski przedstawia film dokumentalny z 2012 r. w reżyserii Michała Bielawskiego zatytułowany „Gra o wszystko”. Pokazano w nim wypowiedzi piłkarzy, trenerów i siedzących w więzieniu na Białoleścu opozycjonistów. Wszystkim zależało na zwycięstwie drużyny, każdy się identyfikował z piłkarzami. Orzeł na piersi przepełniał dumą i chęcią pokazania jak najlepszej gry. Naród ucieszył się z trzeciego miejsca na świecie, ale liczył na

spektakularną demonstrację piłkarzy po powrocie do kraju, na przykład nieprzyjęcie orderów państwowych. Niestety, nic takiego się nie stało. To już okazało się za trudne.

JB: Każde zwycięstwo tworzy nastrój wewnętrznej radości. Potencjał optymizmu, nawet odłożony w czasie, może owocować w innych, zupełnie niespodziewanych sferach. Cieszymy się, że nie jest tak źle i damy radę. A może z tego zwycięstwa narodzi się coś innego pozytywnego? Choć wiemy, że już samo uczestnictwo uszlachetnia, to jednak sukcesy pomagają i za nimi tęsknimy.

AP: Baron Pierre de Coubertin, założyciel nowożytnego ruchu olimpijskiego, nawoływał do uczestnictwa w walce o zwycięstwo, a nie do przejażdżki autobusem z napisem

„koniec wyścigu”. Baron mawiał: „Istotą igrzysk nie jest zwyciężyć, ale wziąć udział. Nie musisz wygrać, bylebyś walczył dobrze”.

KP: Społeczeństwo dzieli się na spolaryzowanych, zaangażowanych politycznie i na pozostałych, których jest większość, a którzy kochają Polskę i cieszą się z każdego zwycięstwa, niezależnie od tego, czy zostało wywalczone w koszulce z orzełkiem w koronie, czy bez. Siła tej drugiej grupy jest najcenniejsza.

JB: Od razu przypomniał mi się spór o stylizowanego orzełka na koszulkach piłkarzy i sposób śpiewania hymnu. Jaka gorąca wtedy była dyskusja! Ostatecznie i bezapelacyjnie okazało się, że orzeł to ma być n a s z orzeł, bez udiwnień, a hymn to ma być n a s z hymn – nuta w nutę.

AP: Czasami narzekamy na kibiców z „żyłety” i ich zachowanie na meczach, ale nie ma większych od nich purystów, jeżeli chodzi o hymn. Wiele osób śpiewa: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”, podczas gdy poprawną formą jest: „kiedy my żyjemy”. Kibice Legii przygotowali wielki baner wyjaśniający tę kwestię. Akcja #kiedymyżyjemy i jej oprawa jest wkładem kibiców Legii Warszawa w celebrowanie obchodów Święta Niepodległości.

SS: Władysław Komar, kiedy grał w piłkę w drużynie dziennikarskiej FC Publikator (założonej w 1973 r. przez Macieja Petruczenko), każdego nowego zawodnika przepytował z hymnu, i to z pełnej, pięciozwrotkowej wersji. Kto nie znał – nie miał prawa grać.

JB: Rzadko kto zna całość, a jeszcze rzadziej rozumie znaczenie. Ojciec Basi z czwartej zwrotki hymnu nie był zapłakany – to Basia była zapłakana. „Już tam ojciec do swej Basi mówi zapłakanej”. W wielu gwarach końcówce „-ej” było wymawiane i zapisywane jako „-y”, stąd i taka pisownia użyta w hymnie.

SS: Kiedy w 2012 r. odbywały się mistrzostwa Europy w piłce nożnej, prezydent Komorowski przyjął w Pałacu Prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu naszą reprezentację i wręczył Franciszkowi Smudzie, ówczesnemu trenerowi-selekcjonerowi, biało-czerwoną flagę z prośbą, aby towarzyszyła piłkarzom w szatni podczas każdego meczu reprezentacji. Ten zwyczaj jest nadal kultywowany, mimo że zmienił się i prezydent, i trener.

AP: Kiedy zwiedzałem Stadion Narodowy z prezydentem Bronisławem Komorowskim, wysłuchałem jego wspomnień. Opowiadał, jak niegdyś przybył na Stadion Dziesięciolecia, aby zobaczyć Stanisława Królaka, który podczas Wyścigu Pokoju bije Rosjan pompką, torując sobie drogę do zwycięstwa. Ta legenda przylgnęła do Królaka, choć wiele razy ją prostował. Przede wszystkim nie miał przy rowerze pompki, a poza tym nigdy nie wygrał etapu na Stadionie Dziesięciolecia. Prezydent Komorowski był umiarkowanym kibicem, ale Wyścig Pokoju utknął mu w pamięci. Z kolei prezydent Lech Kaczyński wspominał kiedyś legendarny mecz lekkoatletyczny Polska – USA, rozgrywany w 1958 r. również na Stadionie Dziesięciolecia. Był na nim razem z ojcem.

JB: Sport powinien być spoiwem narodowym, ale degeneruje go wszechobecna komercjalizacja. Dla kibiców czasem ważniejsze jest, kto ile zarabia, niż jaki wynik osiąga. Coraz mniej jest sa-

tysfakcji z przeżywania sukcesów polskich sportowców, a coraz więcej zainteresowania pieniędzmi, jakie pojawiają się w sporcie. Bicie rekordów zaczyna być równoznaczne z biciem rekordów finansowych.

SS: W sporcie powinniśmy szukać romantyki, autentycznej rywalizacji, tego, co było tak bliskie Bohdanowi Tomaszewskiemu. Z jednej strony nie interesują mnie zarobki Roberta Lewandowskiego, a z drugiej... dobrze byłoby wiedzieć.

AP: Z perspektywy obecności za kulisami piętnastu igrzysk olimpijskich i prawie stu mistrzostw różnych dyscyplin sportu widzę, że sportowiec, stając na boisku, bieźni czy na macie, myśli wyłącznie o jak najlepszym wyniku. Nie zapomnę łez Zosi Klepackiej, chuliganki z Marszałkowskiej – jak sama mówi o sobie – podczas odbierania brązowego medalu na igrzyskach w Londynie. Była wzruszona, bo miała zaszczyt reprezentować Polskę i dla niej zdobyła upragniony krążek.

SS: Ja jednak wątpię, aby piłkarz, wychodząc na murawę boiska, nie myślał o zarobkach. Mam nadzieję, że w trakcie gry o nich nie myśli. Ale na pewno po meczu liczy premie i bonusy.

JB: Wszystko zaczyna się psuć dużo wcześniej. Dziecko z predyspozycjami fizycznymi nie wybiera sobie dyscypliny sportu, która je interesuje, ale tę, w której będą największe możliwości finansowe. I to pewnie się dzieje pod wpływem rodziców.

AP: Kiedy zapytałem pływaką Bartoszę Kizierowską, który zawsze wychodził na pływalnię z biało-czerwoną flagą, czy nie zamieniłby jej na medal olimpijski pod innym sztandarem – bo miał takie propozycje – zawsze twardo odpowiadał: „Nie, bo dla mnie najważniejsza jest

biało-czerwona”. Bez takiej wrażliwości nie ma szans na wielkie sukcesy.

Boniek nie miał korków, nie mógł korzystać z orlików, a został fantastycznym piłkarzem. Kiedyś ze wsi można było się wyrwać poprzez sukcesy sportowe. Popatrzmy choćby na kariery Ryszarda Szurkowskiego czy Czesława Langa. Obecnie rodzice myślą raczej o dobrym wykształceniu i dobrej pracy, bo nie wierzą, że można zarabiać, uprawiając na przykład skok o tyczce. Tak więc niezależnie od liczby uruchomionych orlików trzeba będzie jeszcze trochę poczekać na polskiego Messiego.

KP: Dziękuję za dzisiejsze spotkanie i ciekawe rozważania. Ciąg dalszy z pewnością nastąpi.

Coraz mniej
jest satysfakcji
z przeżywania
sukcesów polskich
sportowców,
a coraz więcej
zainteresowania
pieniędzmi, jakie
pojawiają się
w sporcie.

Oreżem, piórem i pazurem

Stulecie uzyskania przez kobiety w Polsce praw wyborczych to doskonała okazja, aby opowiedzieć o bohaterkach i historii ich walki. W tym celu Dom Spotkań z Historią, Fundacja na rzecz Równości i Emancypacji „Ster” oraz Fundacja Warszawa Jest Kobietą zorganizowały wystawę „Nasze bojownice”.

Ochotnicza Legia Kobiet
we Lwowie



Tytuł nawiązuje do książki prozaiczki i publicystki Cecylii Walewskiej „W walce o równe prawa. Nasze bojownice”, wydanej w Warszawie w 1930 r. Walewska opisuje w niej drogę Polek do emancypacji. – *Pokazała nasze bojownice jako żywioł zawsze czujny, pełen pomysłowości, karmiony kulturą zachodnią, który wprowadził do nas niejedną instytucję, stworzył niejedną organizację stanowiącą zarodek tego, co powstaje dziś w wolnej Polsce. Niczym na dawnych zjazdach kobiecych, chciała-bym dzisiaj zawołać: cześć i chwała naszym bojownicom!* – mówi Agnieszka Grzybek, współautorka wystawy.

Początkowo dążenia emancypacyjne Polek skupiały się głównie na uzyskaniu samodzielności ekonomicznej poprzez dostęp do edukacji i pracy zarobkowej. W żadnym z trzech zaborów kobiety nie mogły studiować, miały jedynie namiastkę studiów wyższych:

Wyższe Kursy dla Kobiet Adriana Baranieckiego w Krakowie (od 1868 r.) i założony przez Jadwigę Szczawińską-Dawidową tajny Uniwersytet Latający w Warszawie (1885–1906), zwany „babskim”, przekształcony w 1905 r. w Towarzystwo Kursów Naukowych. Pozbawione możliwości kształcenia i dostępu do zawodu, kobiety na ziemiach polskich były skazane na nędzę, o ile nie mogły znaleźć oparcia w rodzinie. Od lat 70. XIX w. na łamach prasy żywo dyskutowano tzw. kwestię kobiecą; postulowano reformę kształcenia dziewcząt, umożliwienie kobietom studiowania i wykonywania zawodów zastrzeżonych dotychczas dla mężczyzn, co miało prowadzić do osiągnięcia przez nie niezależności ekonomicznej.

Dopiero w 1905 r. na Zjeździe Kobiet Polskich w Krakowie przegłosowano postulat przyznania kobietom praw wyborczych. Delegatki opowiedziały się za „powszechnym, równym, tajnym, bezpośrednim,



© BIBLIOTEKA NARODOWA

Uniwersytet Latający

Początkowo tak nazywano spontanicznie organizowane, konspiracyjne kursy dla kobiet, które Jadwiga Szczawińska-Dawidowa przekształciła w spójną strukturę, nadając jej ujednolicony program nauczania. Studia trwały od pięciu do sześciu lat i obejmowały cztery kierunki: nauki społeczne, nauki filologiczno-historyczne, pedagogikę i nauki matematyczno-przyrodnicze. Wśród wykładowców znaleźli się wybitni naukowcy, którzy gwarantowali tak wysoki poziom nauczania, że na zajęcia zaczęli uczęszczać również studenci Uniwersytetu Warszawskiego. Najsłynniejszą absolwentką Uniwersytetu Latającego była przyszła noblistka Maria Skłodowska-Curie. Do tej tradycji wrócili opozycjoniści z Komitetu Obrony Robotników, kiedy jesienią 1977 r. w mieszkaniach prywatnych organizowali wykłady z zakresu nauk humanistycznych i społecznych pod historyczną nazwą Uniwersytetu Latającego.

Agnieszka Grzybek

czynnym i biernym prawem wyborczym bez różnicy płci". Kobiety włączyły się też w działalność konspiracyjną i działania zbrojne, które miały doprowadzić do odzyskania przez Polskę niepodległości.

Dekret z 28 listopada 1918 r. o ordynacji do Sejmu Ustawodawczego, przyznający prawa wyborcze wszystkim obywatelom Polski, wieńczył długoletnią walkę kobiet o powszechne prawo wyborcze. Tym sposobem w latach 1919–1922 w Sejmie Ustawodawczym znalazło się osiem posłanek, które pozostawiły po sobie ważki dorobek polityczny. Były to: Gabriela Balicka-Iwanowska, Zofia Moraczewska, Jadwiga Dziubińska, Zofia Sokolnicka, Irena Kosmowska, Franciszka Wilczkowiakowa, Anna Piasecka, Maria Moczydłowska. Reprezentowały różne stronnictwa polityczne, ale potrafiły działać ponad podziałami i stworzyć prężną grupę. Występowały z interpelacjami przeciw dyskryminacji kobiet

w prawie cywilnym i pracowniczym. Walczyły także o prohibicję, aby przeciwdziałać powszechnemu alkoholizmowi.

Ale zanim pierwsze posłanki mogły zasiąść w ławach sejmowych, wiele protagonistek ruchu kobiecego na ziemiach polskich walczyło o prawa kobiet orężem, piórem i pazurem. Nieśluszenie przyjmuje się, że prawa wyborcze kobiety otrzymały w prezencie. – *Był to efekt długiej walki, jaką prowadziły od lat 90. XIX w. Wówczas sytuacja Polski była zróżnicowana, inna w każdym z zaborów. Choć w austriackim autonomia była największa, to kiedy zaborcy dawali Polakom pewne swobody, dotyczyły one wyłącznie mężczyzn. Podobnie było w zaborze rosyjskim. W 1905 r. w wyniku rewolucji doszło do złagodzenia reżimu i car powołał Dumę, jednak prawo kandydowania i głosowania otrzymali znów tylko mężczyźni* – twierdzi Grzybek.

Przedstawiamy sylwetki pięciu bohaterek, które najlepiej ukazują, z jakimi problemami musiały mierzyć się kobiety i jak ogromną pracę wykonały, aby ich głos został usłyszany.



Kazimiera Bujwidowa

Całe życie walczyła, by kobiety mogły studiować, choć jej samej nie było dane ukończyć studiów wyższych. W XIX w. bramy polskich uczelni były zamknięte dla kobiet, zaś te, które chciały się dalej kształcić, musiały wyjeżdżać za granicę, na przykład do Francji, jak Maria Skłodowska-Curie. – W 1894 r. Kazimiera Bujwidowa zainicjowała akcję pisania podań do władz Uniwersytetu Jagiellońskiego z prośbą o przyjęcie kobiet na studia. Dzięki temu przyjęto na farmację trzy pierwsze studentki w charakterze hospitantek. Trzy lata później, w 1897 r., władze monarchii austro-węgierskiej przyjęły prawo, które umożliwiała kobietom studiowanie. Jednak władze niektórych wydziałów były nieugięte. Tak było na przykład w przypadku Wydziału Lekarskiego, którego dziekan, prof. Ludwik Rydygier, był zagorzałym przeciwnikiem równouprawnienia kobiet w kwestii dostępu do zawodu lekarskiego i w 1897 r. zagłosowała przeciw kobietom studentkom. Mawiał: „Prędeż mi włosy na dłoni urosną, niż kobieta zostanie lekarzem”. Na własny koszt zamieszczał w prasie ogłoszenia: „Precz z Polski z dziwolągami kobiety lekarza!”. Kobiety mogły studiować medycynę od 1900 r., a wydziały prawa wpuściły kobiety na sale wykładowe dopiero w niepodległej Polsce – mówi Agnieszka Grzybek.

by walczyć o prawa kobiet. W 1908 r. wystartowała w wyborach do Sejmu Krajowego we Lwowie, mimo że kobiety nie mogły kandydować i głosować. Przeprowadziła regularną kampanię wyborczą, organizowała wiece, głosiła program. Co prawda otrzymała tylko 511 głosów, które unieważniono, ale wykorzystała tę okazję, by mówić o prawach kobiet. – To ona powiedziała, że nie staniemy się wolnym narodem, jeżeli ponad połowa polskiego społeczeństwa, czyli kobiety, będzie pozbawiona praw politycznych, praw wyborczych. Była partnerką życiową Marii Konopnickiej, która wspierała ją w działalności społecznej, organizując wiece i spotkania wyborcze – mówi Grzybek.

czywiście kobiety powinny mieć prawa wyborcze, bowiem uważała, że są konserwatywne i w związku z tym będą głosowały na konserwatywne ugrupowania – mówi Agnieszka Grzybek. Przypomina również anegdotę. Pewnego dnia Piłsudska wraz z koleżanką przeżyły broń. Ta druga ukryła oręż w pantalonach podwiązanych pod kolanami. W pewnym momencie tasienki puściły i naboje wysypały się spod długiej sukni. Wszystko to działo się w Alejach Jerozolimskich opodal carskiego wartownika. Na szczęście udało im się zbiec.



Maria Dulębianka

Odważmy się być wolnymi, poznajmy własną siłę!

Nie mogła podjąć studiów w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, która przyjmowała w swe szeregi wyłącznie mężczyzn. Odbiła więc studia w Paryżu i Wiedniu, a w Polsce uczyła się u Jana Matejki w Krakowie i Wojciecha Gersona w Warszawie. Zrezygnowała jednak ze sztuki,

by walczyć o prawa kobiet. W 1908 r. wystartowała w wyborach do Sejmu Krajowego we Lwowie, mimo że kobiety nie mogły kandydować i głosować. Przeprowadziła regularną kampanię wyborczą, organizowała wiece, głosiła program. Co prawda otrzymała tylko 511 głosów, które unieważniono, ale wykorzystała tę okazję, by mówić o prawach kobiet. – To ona powiedziała, że nie staniemy się wolnym narodem, jeżeli ponad połowa polskiego społeczeństwa, czyli kobiety, będzie pozbawiona praw politycznych, praw wyborczych. Była partnerką życiową Marii Konopnickiej, która wspierała ją w działalności społecznej, organizując wiece i spotkania wyborcze – mówi Grzybek.



Aleksandra Piłsudska

Orężem w czynie niepodległościowym walczyła o prawa kobiet. – Znamy ją głównie jako żonę marszałka, natomiast mało kto wie, że aktywnie działała w PPS i POW. Uważała, że „dynamit znakomicie nadaje się do gorsetu”. Przemyciała broń, brała udział w zamachach bombowych i w akcjach militarnych. Dowodziła oddziałem zwiadowczym kurierów w Legionach Polskich, przyczyniając się do powodzenia wielu akcji zbrojnych. Pozostaje trochę w cieniu marszałka, ale wieść głosi, że to właśnie ona przekonała Józefa Piłsudskiego, by podpisał dekret o ordynacji wyborczej. Marszałek miał wątpliwości, czy rze-

by walczyć o prawa kobiet. W 1908 r. wystartowała w wyborach do Sejmu Krajowego we Lwowie, mimo że kobiety nie mogły kandydować i głosować. Przeprowadziła regularną kampanię wyborczą, organizowała wiece, głosiła program. Co prawda otrzymała tylko 511 głosów, które unieważniono, ale wykorzystała tę okazję, by mówić o prawach kobiet. – To ona powiedziała, że nie staniemy się wolnym narodem, jeżeli ponad połowa polskiego społeczeństwa, czyli kobiety, będzie pozbawiona praw politycznych, praw wyborczych. Była partnerką życiową Marii Konopnickiej, która wspierała ją w działalności społecznej, organizując wiece i spotkania wyborcze – mówi Grzybek.



Paulina Kuczalska-Reinschmit

Prawo głosowania jest powszechnym dopiero wówczas, kiedy i kobiety głosują!

Była publicystką, założycielką i redaktorką naczelną „Steru”, jednego z pierwszych czasopism feministycznych, wydawanego w latach 1895–1897 we Lwowie, a potem,

w latach 1907–1914, w Warszawie. – Była też jedną z twórczyń Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich, jednej z pierwszych organizacji kobiecych na ziemiach polskich walczących o prawa

Komentarz

Dopiero teraz odkrywamy pełną historię kobiet. Byłyśmy właściwie tej historii pozbawione. Wiele z nas nie miało pojęcia, że ruch feministyczny i emancypacyjny w Polsce był tak mocno rozwinięty, skuteczny i tak bardzo powiązany z ruchem międzynarodowym. To są wielkie odkrycia. Mamy powody do dumy i mamy na czym budować. Wierzę, że wystawa „Nasze bojownice” odegra ważną rolę w edukacji społecznej i wszyscy dowiemy się więcej na temat ruchu kobiecego sprzed stu lat.

Wanda Nowicka



Anna „Che” Czerwińska
i Agnieszka Grzybek,
autorki wystawy.

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

wyborcze – opowiada Grzybek. Bodaj jako pierwsza sformułowała postulaty kobiece odrębnie od kwestii narodowyzwoleńczych. Stanowisko to zaprezentowała między innymi podczas warszawskiego wiecu Demokracji Postępowej w 1906 r. Polemizowała z Elізą Orzeszkową, która proponowała samoposwięcenie kobiet. Kuczalska-Reinschmit wskazywała na konieczność wywalczenia praw kobiet jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości.

Justyna Budzińska-Tylicka

Lekarka, społeczniczka, w latach 1919–1935 radna Warszawy z ramienia PPS. Studia medyczne ukończyła w Paryżu i tam rozpoczęła praktykę lekarską, pokonując niechęć męskiego środowiska. Założyła rodzinę i przeprowadziła się do Krakowa, a później do Warszawy. Swoją pracę zawodową łączyła z działalnością społeczną na rzecz prawnej i medycznej ochrony

macierzyństwa, kontroli urodzin, zwalczania alkoholizmu i biedy. Podczas I wojny światowej organizowała kursy pierwszej pomocy i prowadziła szpital polowy dla żołnierzy. Była pionierką w dziedzinie propagowania higieny i zdrowia kobiecego. Założyła

i prowadziła w Warszawie pierwszą w Polsce klinikę świadomego macierzyństwa, współpracując na tym polu z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim i Ireną Krzywicką. Zaangażowała się w działalność na rzecz równouprawnienia kobiet i w ruch feministyczny. – *Odegrała znaczącą rolę w końcowym etapie walki o prawa wyborcze. Kiedy było już wiadomo, że po I wojnie wyłoni się niepodległe państwo polskie, zaczęto przygotowywać projekty ustaw, które nie uwzględniały czynnego i biernego prawa wyborczego kobiet. Wówczas Budzińska-Tylicka wystąpiła o zwołanie zjazdu kobiet, który odbył się 8 i 9 września 1917 r. w Warszawie; uczestniczyło w nim ponad tysiąc kobiet. Znane było jej motto: „My, Polki, nie chcemy być biernymi widzami”. Podjęto szereg uchwał i powołano komitet, który miał przekonywać polityków, by w przygotowywanych projektach ustaw znalazły się prawa kobiet. To Budzińska-Tylicka była przewodniczącą delegacji, która udała się do Piłsudskiego, by z nim rozmawiać o prawach wyborczych kobiet* – mówi Grzybek.

Marzena Tataj, Kamil Broszko

Wystawa „Nasze bojownice. 100-lecie praw wyborczych Polek”,
Galeria W-Z, pl. Zamkowy w Warszawie

Organizatorzy: Dom Spotkań z Historią, Fundacja na rzecz Równości i Emancypacji

„Ster”, Fundacja Warszawa Jest Kobietą

Autorki: Agnieszka Grzybek, Anna Czerwińska

Kuratorzki: Kinga Sochacka, Alicja Smotryś

Rysunki: Beata Sosnowska

Projekt graficzny: Karolina Sosnowska

Redakcja: Marcin Czajkowski

Przybysze z Zaleszczyk
przed swoim domem
w Radówku na Ziemi
Lubuskiej, 1947 r.

© INSTYTUT ZACHODNI



Już jesteśmy stąd

Przesunięcie w 1945 r. granic Polski pociągnęło za sobą konsekwencje polityczne, gospodarcze, ale przede wszystkim społeczne. Odbudowa wojennych zniszczeń i więzi społecznych, oswojenie obcej przestrzeni i kultury składają się na proces wrastania mieszkańców w „nową” Polskę.

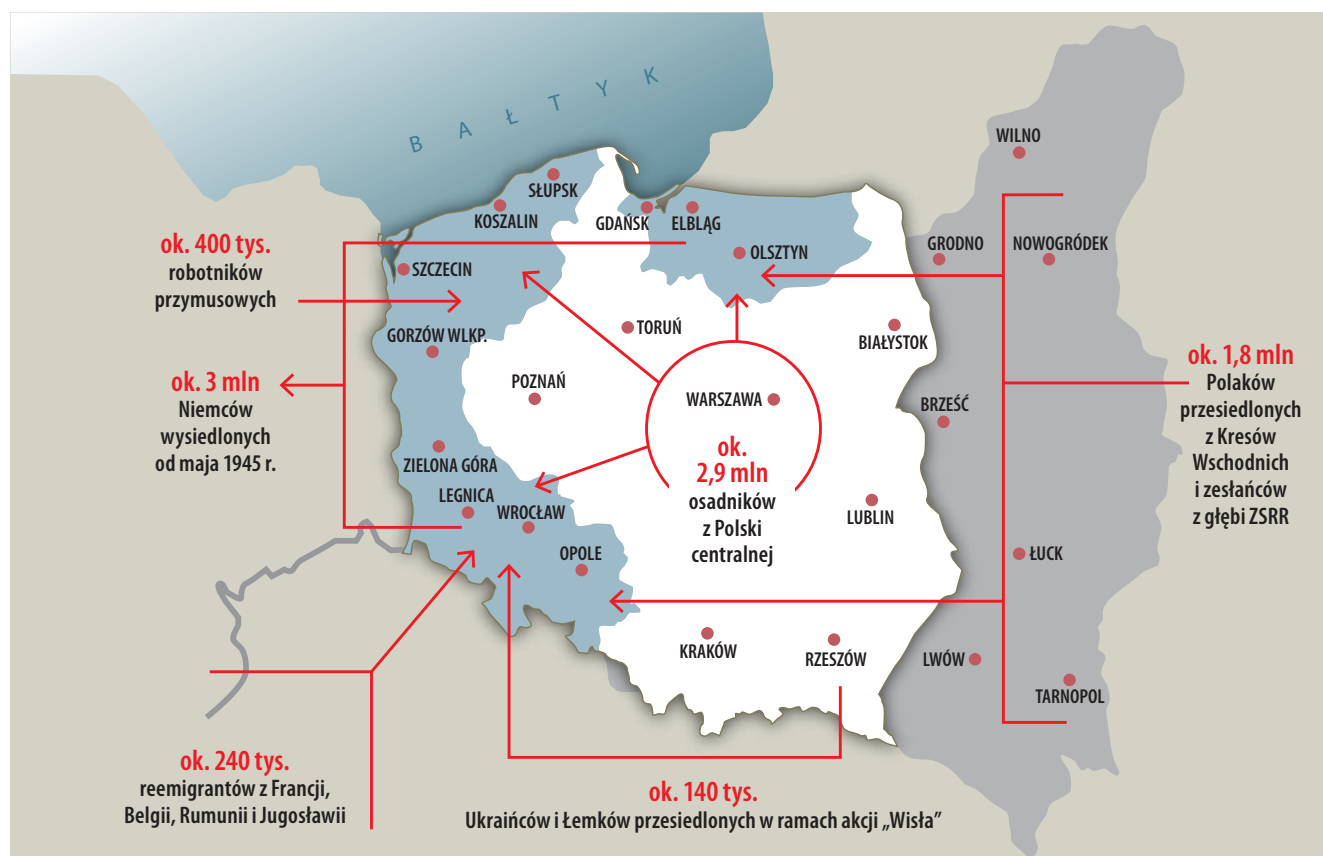
W 1945 r., na skutek II wojny światowej i decyzji zwycięskich mocarstw, powstały nowe granice Polski. W wyniku uzgodnień alianckich w Poczdamie polska granica zachodnia została oparta na linii wskazanej niemal pół wieku wcześniej przez geografa Wacława Nałkowskiego, a teoretyczne rozważania polskich badaczy zostały wykorzystane przez komunistów w późniejszej propagandzie Ziem Odzyskanych. Od końca XIX w. w kręgach niepodległościowych toczyła się dyskusja nad kształtem przyszłej granicy zachodniej z Niemcami. Najwięcej uwagi temu zagadnieniu poświęciła Narodowa Demokracja. Zgadzano się, że oś przyszłej granicy winna stanowić co najmniej linia Odry. W początkach XX w. Wacław Nałkowski wskazał linię rzek Odry i Nysy Łużyckiej jako optymalny, teoretyczny przebieg przyszłej granicy. W odrodzonej Polsce ośrodek myśli zachodniej znajdował się w Poznaniu, a kierował nim prof. Zygmunt Wojciechowski. Wykryształizowała się w nim koncepcja koniecznego przesunięcia granicy polsko-niemieckiej na Pomorzu i Śląsku.

W 1945 r. odebrano Polsce 52 proc. przedwojennego obszaru i włączono do niej dużo mniejsze terytoria niemieckie. W tej sytuacji elity polityczne – na czele z komunistami z Polskiej Partii Robotniczej – przeprowadziły w latach 40. XX w. wielką akcję propagandową

podkreślającą, że Polska odzyskała na zachodzie swe dawne ziemie, utracone kilkaset lat temu w wyniku agresywnej polityki niemieckiej. Stosując prymitywną propagandę, przekonywano ludność o dokonującej się sprawiedliwości dziejowej i powrocie na dawne ziemie Piastów. Czyniły to również liczne wydawnictwa popularnonaukowe i naukowe. Wspomniana sprawiedliwość dziejowa była według nich możliwa dzięki sojuszowi zawartemu przez polskich komunistów ze Związkiem Radzieckim. Z ziem włączonych do Polski na zachodzie i północy przymusowo wysiedlono ludność niemiecką. Na miejscu pozostało około miliona dawnych mieszkańców pochodzenia etnicznego polskiego, a także ci Polacy, których zastał tu koniec wojny, jak więźniowie obozów koncentracyjnych i robotnicy przymusowi. Dołączyła do nich ludność polska napływająca z utraconych na rzecz Związku Radzieckiego Kresów Wschodnich oraz z ziem centralnych, a także z Jugosławii, Francji, Belgii, Niemiec, Anglii i Rumunii. Osiedlili się tam również Żydzi, obywatele polscy, którzy przetrwali wojnę w ZSRR. W latach 1947–1950 na owe tereny przymusowo przesiedlono z południowo-wschodniej Polski Ukraińców i Łemków. W końcu lat 40. XX w. osiedli też na nich uchodźcy – kombataneci wojny domowej w Grecji. Niezależnie od kierunków, z których przybywali, oraz motywów, jakie ich prowadziły, wszystkich łączyła nieznajomość nowej przestrzeni i wynikające z tego poczucie obcości

oraz wykorzenienia. Stało się ono udziałem również tych, którzy żyli tu od pokoleń, a dookoła których nagle zmieniła się rzeczywistość. Dochodziło do zderzeń ideologii „zdobywców” i „przegranych”, „szabrowników” i „pionierów”. Dla wielu była to swoista ziemia przeklęta. Na niektórych obszarach lawinowo narastały krzywdy, zarówno jednostek, jak i całych społeczności oraz grup narodowych. Zanikały kultury, wyjeżdżali i przybywali nowi ludzie, którzy przez długi czas byli sobie obcy. „Chłopi, nie musicie już emigrować za morze. Chcecie chleba – na zachodzie jest chleb. Chcecie ziemi – na zachodzie jest ziemia. Zasiane łany zbierzemy do własnych stodół i spichlerzów. Miejska ludność znajdzie na zachodzie porzucone przez Niemców placówki rzemieślnicze i sklepy. Inteligencja zawodowa – pracę w biurach i urzędach” – głosiła odezwa Centralnego Komitetu Przesiedleńczego z 1945 r. Zmiany społeczne zachodzące po 1945 r. na Ziemiach Zachodnich i Północnych charakteryzowały się niezwykle intensywnością i złożonością. Procesom integracyjnym na skalę całego przyłączonego obszaru w pierwszych latach po wojnie nie sprzyjała ogólna atmosfera tymczasowości i prowizoryczności. Dopiero w sierpniu 1945 r. została ustalona północna granica państwa między Polską a Związkiem Radzieckim; istniał wówczas okręg mazurski, który dopiero w 1946 r. przekształcono w województwo olsztyńskie. Ludność rodzima otrzymywała „tymczasowe” zaświad-

Ziemie Zachodnie i Północne – migracje



Wystawa

O trudnym procesie wrastania powojennych mieszkańców w „nową” Polskę opowiada wystawa „Wrastanie. Ziemie Zachodnie i Północne. Początek”, objęta patronatem narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w stulecie odzyskania niepodległości.

– *Wystawa opowiada o pierwszych powojennych latach, w których rozpoczął się proces wielowymiarowego zakorzenienia się przybyszów (nie tylko Polaków) ze wszystkich stron świata w nowym miejscu, ale też tych, którzy na Ziemiach Odzyskanych mieszkali jeszcze przed wojną, a później musieli się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Jest to też opowieść o trudnych i często heroicznych początkach budowy nowej tożsamości, pokazana z perspektywy losów „zwykłego człowieka”* – mówi dr Katarzyna Bock-Matuszyk, autorka

scenariusza wystawy.

– *Celem wystawy jest pobudzenie refleksji nad tym, czy i od kiedy dzisiejsi mieszkańcy Ziemi Zachodnich i Północnych czują się „u siebie” i „stąd” oraz jaki jest ich stosunek do wielowiekowego i różnorodnego dziedzictwa kulturowego, z którym spotykają się na co dzień* – dodaje dr Wojciech Kucharski, kurator wystawy. Wystawa zajmuje powierzchnię 200 m kw. Ma formę przestrzennej instalacji o wysokości ponad pięciu metrów, a zwiedzający wchodzi niejako do labiryntu, w którym

może zobaczyć ponad 300 archiwalnych zdjęć i filmów oraz nagrania relacji świadków historii. W poszczególnych sekcjach wystawy znalazły się elementy interaktywne, wśród nich specjalna mapa, na której można zaznaczyć swoje aktualne miejsce zamieszkania oraz – za pomocą symbolu lokomotywy – miejsce, z którego przodkowie trafili na Ziemie Zachodnie i Północne. Wystawa „Wrastanie. Ziemie Zachodnie i Północne. Początek” powstała w ramach współpracy realizowanej przez instytucje wchodzące w skład Sieci Ziem Zachod-

nich i Północnych. Autorami koncepcji merytorycznej są dr Katarzyna Bock-Matuszyk i dr Wojciech Kucharski z Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”, zaś w skład zespołu autorskiego wchodzi specjalista ze wszystkich instytucji Sieci Ziem Zachodnich i Północnych oraz Uniwersytetu Wrocławskiego. Projekt scenograficzny wystawy stworzyła firma JAZ+ Architekci. Wernisaż odbył się 6 listopada 2017 r. we Wrocławiu, a następnie wystawa eksponowana była w Szczecinie, Opolu, Zielonej Górze, Olsztynie, Warszawie i Poznaniu.



czenia o przynależności do narodu polskiego, a osadnicy – „prowizoryczne” potwierdzenia własności gospodarstw i budynków. Pierwsze akty notarialne pojawiły się w 1955 r., a rolnicy na Ziemiach Zachodnich i Północnych dostali takie same prawa jak w innych regionach kraju dopiero w 1957 r. Nie bez znaczenia była też atmosfera zimnej wojny, podczas której różne siły podawały w wątpliwość trwałość polskich granic na zachodzie i północy. Jeszcze innym symptomem tamtego czasu były liczne uprzedzenia i stereotypy, które znajdowały wyraz w sposobie nazywania poszczególnych grup („szwabów”, „Niemców”, „luteraków” – o Niemcach i ludności rodzimej; „bose antki”, „centralaki”, „złodzieje” – o osadnikach z Polski centralnej; „Ruski”, „parsuki”, „hadzianie”, „zabugole” – o wysiedleńcach z Kresów Wschodnich; „Ukraińcy”, „chachły”, „kacapy” – o ludności ukraińskiej). Wraz z upływem lat zmieniały się czynniki wpływające na poczucie stabilizacji i kształtowanie się nowych więzi społecznych na Ziemiach Odzyskanych. Procesy te przebiegały ze zmiennym natężeniem na wielu płaszczyznach: kulturowo-językowej, polegającej na przyswajaniu przez mieszkańców wzorów kulturowych i języka ogólnopol-

skiego (głównie poprzez szkołę, instytucje oświatowe, środki masowej komunikacji, Kościoły, a także więzi sąsiedzkie, zawodowe i międzypokoleniowe); strukturalno-instytucjonalnej, dotyczącej organizacji społecznych i politycznych; małżeńskiej, wyrażającej się w licznych małżeństwach zawieranych przez przedstawicieli różnych grup oraz w wychowywaniu dzieci w nowym, wspólnym duchu; osobowościowej, polegającej na eliminowaniu wzajemnych uprzedzeń i stereotypów międzygrupowych oraz na braku poczucia drugorzędności w społeczeństwie; identyfikacyjno-obywatelskiej, wyrażającej się w poczuciu odpowiedzialności za państwo, w którym się żyje. Istotny wpływ na wzrost poczucia stabilizacji i kształtowanie się więzi społecznych mieli duchowni, którzy przyjeżdżali razem z przesiedleńcami, dając im poczucie bezpieczeństwa. Dzięki ich obecności wielu przybyszów – mimo że nie zapadły jeszcze ostateczne decyzje międzynarodowe – Ziemie Odzyskane nazywało Polską. Pozycja społeczna księży w pierwszych latach powojennych była bardzo silna, gdyż dzielili oni los nowych osadników, w większości sami byli przesiedleńcami. Z terenów diecezji wschodnich



(Iwowskiej, wileńskiej, łuckiej i pińskiej) przesiedliło się 425 księży. Często byli liderami małych społeczności, które chciały zachować relacje sąsiedzkie na nowych terenach i osiedlały się całymi wsiami, miasteczkami i parafiami. Swoistym znakiem łączności były przywożone przedmioty kultu, szczególnie święte obrazy, tzw. Madonny Kresowe, których dziesiątki można dziś znaleźć w kościołach na Ziemiach Zachodnich. Równolegle z polonizacją tych terenów następowała ich rekatołicyzacja. Dlatego hierarchia kościelna, z prymasem Augustem Hlondem na czele, choć świadoma antyreligijnej ideologii krzewionej przez rządzących Polską komunistów, w sprawie polskości tych ziem mówiła z władzami jednym głosem. W swoim orędziu prymas Hlond mówił: „Gdy wybiła godzina równania rachunków stuleci, a Wy, kochani Bracia i Siostry, ruszyliście z wszystkich dzielnic polskich i z zagranicy, by osiedlać się na piastowskich ziemiach nadodrzańskich, na pomorskich wyżynach i wybrzeżach, na Warmii zielonej i nad mazurskimi jeziorami – szedł z Wami Kościół!”. Odniósł się również do relacji międzynarodowych: „Chcemy dobrych i na wzajemnym zaufaniu opartych stosunków z sąsiadami. Przebaczyliśmy wiele, bardzo wiele. I dziś jeszcze raz przebaczymy wszystko. Wyrzekamy się nienawiści. Nie szukamy zemsty”. Wizja pozostania w granicach ZSRR dla wielu wydawała się wystarczającym argumentem, by wyruszyć na zachód. Z kolei zachętą dla przesiedleńców z przeludnionych ziem Polski centralnej miała być perspektywa poprawy sytuacji materialnej, awans społeczny i podniesienie pozycji zawodowej. Za przyjazdami na Ziemię Odzyskane agitowano głównie poprzez plakaty, reportaże, literaturę, film i radio, a osadnictwo ukazywano jako obywatelski obowiązek. Obiecywano realne korzyści czekające przybyszów na bogatych terenach zachodnich, ekonomicznie przewyższających utracone Kresy (pomijano kwestię rabunków dokonywanych tam przez Armię Czerwoną i polskich szabrowników). Podniesienie potencjału gospodarczego państwa dzięki przyłączonym ziemiom miało iść w parze z utworzeniem tam silnej klasy robotniczej. Osadnik prezentowany był jako człowiek zaradny i wytrwały, pokonujący napotymane trudności, przełamujący obcość tych obszarów. „Odniemczone i spolszczone”, przeznaczone głównie dla przybyszów ze wschodu, rekompensować miały im straty moralne i materialne poniesione w wyniku wojny. Nową społeczność mieli współtworzyć również polscy autochtoni. Regiony turystyczne – Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie czy Mazury – chociaż bardzo atrakcyjne krajoznawczo, były polskiemu społeczeństwu niemal zupełnie obce. „Trzeba nam te ziemie poznać, by móc je ukochać i związać się z nimi trwałymi więzami” – napisano we wstępie do pierwszego powojennego numeru periodyku krajoznawczego „Ziemia”. Służyć temu miały wczasy pracownicze, masowo organizowane w ramach istniejącej infrastruktury wypoczynkowej w Sudetach i w pasie nadmorskim.

Nowym elementem propagandy wobec Ziemi Odzyskanych stały się również masowe uroczystości z akcentami nacjonalistycznymi, takie jak kolejne rocznice bitwy pod Grunwaldem, Wystawa Ziemi Odzyskanych we Wrocławiu, Tygodnie Ziemi Zachodnich czy

Muzeum w wielu miejscach

Sieć Ziemi Zachodnich i Północnych to realizowany od 2017 r., ze środków i pod auspicjami Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, program współpracy pięciu instytucji zajmujących się powojennymi dziejami Ziemi Zachodnich i Północnych: Państwowego Instytutu Naukowego – Instytutu Śląskiego w Opolu, Instytutu Zachodniego im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu, Muzeum Narodowego w Szczecinie – oddziału Centrum Dialogu Przełomy, Ośrodka Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie oraz Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” we Wrocławiu, który koordynuje realizację programu. Powojen-

na historia Ziemi Zachodnich i Północnych to opowieść o ważnych, przełomowych momentach w dziejach Polski i Europy, a także w dziejach sąsiedztwa Polski z innymi narodami. Sieć realizuje wprowadzony do debaty publicznej przed ponad dekadą postulat budowy muzeum Ziemi Zachodnich. Czyni to jednak bez konieczności wznoszenia nowego gmachu i instytucji, ale poprzez korzystanie z istniejącego potencjału i infrastruktury instytucji zajmujących się tematyką zachodnią. W ten sposób powstaje swego rodzaju muzeum w wielu miejscach, co pozwala na znacznie większy zasięg działania oraz dotarcie do szerszego grona odbiorców.



ogólnopolskie festiwale piosenki (z Festiwalem Piosenki Polskiej w Opolu na czele).

Historia zapoczątkowana w pierwszych powojennych latach dopełniła się i wciąż dopełnia w regionach składających się na Ziemię Zachodnią i Północną. Dramatyczne lata 40. XX w., w których większość późniejszych mieszkańców zachodniej i północnej Polski przerwała więzy łączące z ojcowizną i ruszyła w nieznaną, zapoczątkowały unikatowy w skali europejskiej proces poznawania, osvajania i wrastania na początkowo obcych, nieznanych ziemiach. Jednak dzisiaj nie są już one obce, nie są nieznanne – są swoje. Potomkowie tych, którzy przyjechali na Ziemię Zachodnią i Północną w 1945 r. i kolejnych latach, uważają ją za swoją ojcowiznę, a takie doświadczenia jak odbudowa, pojednanie, Solidarność czy walka z powodzią w 1997 r. stały się ważnym elementem polskiego dziedzictwa.

Wojciech Kucharski, Andrzej Sakson, Piotr Sroka,
Grzegorz Strauchold, Ryszard Tomkiewicz

Opracowano na podstawie „Wrastanie. Ziemia Zachodnia i Północna. Początek”,
Wrocław 2017.

Radio na zimnej wojnie

To była najważniejsza operacja psychologiczna amerykańskiego wywiadu na froncie zimnej wojny i równocześnie nowoczesna i potężna rozgłośnia radiowa, która przekazywała informacje milionom ludzi mieszkającym w bloku wschodnim. Ukształtowała pokolenia dziennikarzy. O Radiu Wolna Europa z Andrzejem Mietkowskim rozmawia Kamil Broszko.

© NAC

Kamil Broszko: Realizuje pan audycję telewizyjną pt. „Archiwum Zimnej Wojny”. Skąd zainteresowanie tematem?

Andrzej Mietkowski: Począwszy od stanu wojennego, 10 lat spędziłem na emigracji. Pracowałem m.in. w Radiu Wolna Europa, w BBC, współpracowałem z paryską „Kulturą”. Konfrontacja dwóch światów, rozdzielonych żelazną kurtyną, mocno spłótła się z moim życiem. Poznałem niezwykłych ludzi, których powojenne losy na emigracji były tak naprawdę walką o Polskę niepodległą, wolną, niezależną od Związku Sowieckiego. Pracując w Radiu Wolna Europa, zainteresowałem się audycjami archiwalnymi. Te nagrania – realizowane od 1950 r., czyli od momentu powstania Głosu Wolnej Polski w Nowym Jorku – przedstawiały walkę Polaków na froncie zimnej wojny. W naturalny sposób temat zimnej wojny jest mi bliski.

KB: W swojej działalności publicystycznej koncentruje się pan na tym aspekcie zimnej wojny, który wiąże się z udziałem Polaków?

AM: Takie były początki moich zainteresowań. Później zdobywałem kolejne doświadczenia jako korespondent RWE w Paryżu, redaktor w Monachium czy szef biura Wolnej Europy w Warszawie. Kiedy poznałem amerykańskich szefów RWE, zacząłem interesować się amerykańskimi początkami projektu. Radio Wolna Europa było przedsięwzięciem pomyślanym jako oręż wojny psychologicznej. Zainicjowano je pod koniec lat 40. w kręgach wywiadu wojskowego USA. Zacząłem dociekać, kim byli ludzie, którzy wymyślili ten fenomenalny instrument. To były najlepiej zainwestowane amerykańskie pieniądze w zimną wojnę. Radio z czasem nadawało w dwudziestu kilku językach – do wszystkich krajów bloku wschodniego. Wciąż zresztą nadaje.



KB: Ale Radio Wolna Europa było nie tylko projektem wywiadowczym, ale też środkiem masowego przekazu w rzeczywistości, w której kontrolowano przepływ informacji.

AM: Oczywiście. Spróbujmy sobie wyobrazić sierpień 1980 r. W Gdańsku wybucha strajk, władze odcinają Trójmiasto blokadą informacyjną. Jaki byłby los tego strajku, gdybyśmy się o nim nie dowiedzieli z Radia Wolna Europa czy z BBC? Zresztą stacji zachodnich, które przekazywały te informacje do Polski, było więcej: Głos Ameryki, Deutsche Welle, Radio France Internationale. Jak by się potoczyły losy naszego kraju, gdyby nie działały te rozgłośnie? Wcale nie jestem przekonany, że podpisane zostałyby porozumienia sierpniowe, może kolejny raz protest zostałby zdławiony siłą. Co byśmy wiedzieli o zdarzeniach, do których doszło w 1956 r. w Poznaniu albo w 1970 r. w Trójmieście, albo w 1976 r. w Radomiu i Ursusie? Jest taki świetny plakat, narysowany przez Czesława

Pracownik działu nasłuchu Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa podczas nocnej zmiany, Schleissheim, lata 50. XX w.



© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM

Andrzej Mietkowski (ur. 21 kwietnia 1956 r. w Moskwie) – polski dziennikarz, tłumacz i publicysta, działacz opozycji w okresie PRL. Pracuje w Bibliotece Narodowej, jest autorem cyklu dokumentalnego „Archiwum Zimnej Wojny” w TVP Historia. Należy do Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Współpracował z Komitetem Obrony Robotników, był członkiem krakowskiego Studenckiego Komitetu Solidarności, kierował poligrafią i pełnił funkcję rzecznika SKS. Był jednym ze współtwórców niezależnej Krakowskiej Oficyny Studentów. Wielokrotnie aresztowany z przyczyn politycznych.

Od 1981 r. do końca lat 80. przebywał na emigracji w Paryżu. Pracował w BBC, Deutsche Welle, Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Po powrocie do Polski kierował warszawskim biurem tego radia. Publikował m.in. w paryskiej „Kulturze”, „Pulsie”, „Zeszytach Literackich”. Tłumacz wielu książek z języka rosyjskiego i francuskiego. Był szefem działu zagranicznego w dzienniku „Życie”, dyrektorem programowym Inforadia, prezesem agencji Polish News Bulletin, kierownikiem redakcji „Wiadomości” w TVP i dyrektorem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Przekształcił TAI w Agencję Informacji TVP, a TVP3 – w TVP Info. W latach 2008–2016 kierował portalem PolskieRadio.pl.

Odnaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, węgierskim Złotym Krzyżem Zasługi.

Bieleckiego, przedstawiający kardiogram z czerwoną linią i „pikami” wznoszącymi ją w górę. Te kulminacje opisano datami: 1956, 1968, 1970 itd. Na końcu linia przemienia się w napis „Solidarność”. Taka jest historia odzyskiwania naszej suwerenności. Gdyby wspomnianych rozgłośni nie było, z pewnością potoczyłaby się inaczej.

KB: Czy finansujący RWE mieli wpływ na ramówkę?

AM: Dzisiaj wydawcy starają się – przynajmniej, moim zdaniem, powinni – rozdzielać pion edytorsko-wydawniczy i redakcyjny. Na przykład interesy reklamowe nie powinny przekładać się na politykę redakcyjną. W praktyce, jak wiemy, bywa różnie.

RWE było niesłychanie kosztownym przedsięwzięciem. Rozgłośnia miała dwadzieścia parę biur w całej Europie Zachodniej – w Paryżu, Londynie, Sztokholmie, Wiedniu, Nowym Jorku, Waszyngtonie, Rzymie, Stambule itd. Urzędowali w nich korespondenci, którzy mieli za zadanie spotykać się z przyjezdnymi z Europy Wschodniej – Polacy z Polakami, Czesi z Czechami, Węgrzy z Węgrami – po to, by ich wypytywać, co się dzieje w kraju. Pozyskane informacje spisywano i wysyłało do Monachium do Biura Ewaluacji, gdzie następnie były selekcjonowane, weryfikowane i agregowane. Wolna Europa była fenomenalnie poinformowanym ośrodkiem, z którego czerpali wiedzę m.in. zachodni dyplomaci jadący na misję do Europy Wschodniej, ministerstwa spraw zagranicznych, media, służby specjalne. Te ogromne amerykańskie fundusze, o których wcześniej mówiłem, były przeznaczone na stworzenie tzw. *surrogate radio*, czyli radia zastępczego, mającego trafić w potrzeby wszystkich grup odbiorców na terenie krajów objętych cenzurą. Nadawano audycję „List do komunisty”, adresowaną do działaczy partii, „Drogę przez wieś”, która zaczynała się słowami: „Tym, którzy żywią i bronią, chłopom polskim – szczęść Boże”, ale też programy religijne, kościelne oraz wywiady z gwiazdami, m.in. Beatlesami, Johnnym Hallydayem, Louisem Armstrongiem i innymi. Puszczano również świetną muzykę. Taki program określany był w komunistycznych wywiadach mianem ramówki sandwich: audycje muzyczne dla młodych były przeplatane „dywersją ideologiczną”, czyli po prostu publicystyką.

KB: W przypadku RWE, jak sam pan powiedział, mieliśmy do czynienia z projektem, u źródła którego leżały określone ideologia polityczna i myślenie o radiu w kategoriach instrumentu. Czy takie kwestie jak obiektywizm i bezstronność były przedmiotem wewnętrznej debaty w rozgłośni?

AM: Istniało porozumienie między Amerykanami i uchodźcami zajmującymi funkcje kierownicze w Radiu, że ci pierwsi się nie wtrącają w pracę tych drugich, ale nieprawdziwe byłoby stwierdzenie, że RWE było projektem całkowicie niezależnym. Codziennie rano odbywało się kolegium. Przy ogromnym stole w sali Jacksona, jednego z twórców Radia, siadali Jan Nowak-Jeziorański, obok niego jego zastępca, dalej szef czeskiej rozgłośni Pavel Pecháček, za nim Węgrzy, Bałtowie, przedstawiciele Radia Swoboda, nadającego do ZSRR, oraz amerykańskie kierownictwo stacji. Każdy po kolei rela-

Konferencja programowa dyrektorów rozgłośni RWE w Monachium, lata 60. Od lewej: Milo Mileff (dyrektor Rozgłośni Bułgarskiej w latach 1957–1970), Gordon Davis (dyrektor programowy RWE w latach 1963–1967), Jan Nowak-Jeziorański (dyrektor Rozgłośni Polskiej w latach 1951–1975), Jaroslav Pecháček (dyrektor Rozgłośni Czechosłowackiej w latach 1965–1975).



cjonował, co ważnego wydarzyło się w danym dniu w jego kraju. Dzięki temu Czesi, Węgrzy, Estończycy dowiadawali się na przykład, że w Radomiu czy w Ursusie trwają zamieszki, i mogli o tym opowiedzieć swoim rodakom. Amerykanie podczas kolegiów wszystkiego słuchali i następnie powstawały tzw. *guidance*, czyli wytyczne. One nie miały charakteru nakazów, raczej zaleceń odnośnie linii programowej Radia. Szefowie redakcji, imigranci z poszczególnych krajów, pilnowali ze swojej strony treści przekazu. Ważne było, że to Polacy mówią do Polaków, nie zaś Amerykanie polskimi głosami.

KB: Zdarzały się poważne tarcia lub konflikty między Amerykanami i redakcjami krajowymi?

AM: Owszem, były takie sytuacje. Jedną z nich dotyczyła zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie. Amerykanie nie uznawali tej granicy, bowiem nie został podpisany pakt pomiędzy Polską a Niemcami. Relacje między PRL i NRD były przyjazne, ale dopiero porozumienie RFN–PRL w 1970 r. tę sprawę zamknęło. Tymczasem dla Polaków pracujących w RWE już w latach 50. i 60. granica zachodnia na Odrze i Nysie była czymś poza dyskusją. Amerykanie nie chcieli stawiać sprawy zbyt radykalnie, bo siedziba Radia znajdowała się na terenie Niemiec i istniały różne wzajemne interesy, więc amerykańska rozgłośnia nie mogła propagować stanowiska sprzecznego z oficjalną dyplomacją USA.

Inny przykład: w 1956 r. węgierska rozgłośnia RWE poszła o jeden most za daleko, mianowicie zasugerowała, że do zbuntowanego Budapesztu nadejdzie wsparcie z Zachodu. Uważa się powszechnie, że determinacja Węgrów w konfrontacji z Sowietami wynikała z przekazu Radia Wolna Europa. Amerykanie przeprowadzili wewnętrzne dochodzenia, wyrzucono prawie całą węgierską redakcję. To był czas, kiedy amerykańskie wytyczne nie nadały za wydarzeniami. Dzisiaj wiemy już, że w Wiedniu, czyli najbardziej zbliżonej do Węgier placówce amerykańskiego wywiadu, pracował tylko jeden człowiek, który jako tako znał węgierski. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Reasumując: partnerstwo zostało z grubsza zachowane, Amerykanie nie sterowali ręcznie redakcjami. Nowak-Jeziorański był najmocniejszym dyrektorem z całej rozgłośni. Wiemy od Ameryka-



© NAC

nów, którzy z nim pracowali, że potrafił bardzo „rozpychać” zakres swojej samodzielności. Podam przykład z połowy lat 60. Gdzieś we Włoszech doszło do sekretnego spotkania Nowaka-Jeziorańskiego z tajnym informatorem, którym – jak się okazało po latach – był Oskar Lange. „Traktuję pana jak amerykańskiego agenta, ale wiem, że był pan przed wojną przyzwoitym człowiekiem. Mam nadzieję, że mnie pan nie wsypie” – zaczął Lange, a następnie wyjawiał, kto próbuje w Polsce dojść do władzy. Na zakończenie stwierdził: „Musicie zrobić wszystko, co w waszej mocy, aby tych gangsterów Moczara nie dopuścić do władzy”. Nowak-Jeziorański początkowo odniósł się nieufnie do tej relacji, lecz postanowił ją sprawdzić. I wszystko się potwierdziło. Okazało się, że moczarowcy tworzą szeroki front narodowego komunizmu. I on postanowił z tym walczyć. Wtedy ton audycji Wolnej Europy wykraczał daleko poza bezstronność, jednak nie z inicjatywy właścicieli, a redaktora naczelnego. Ówczesny ambasador amerykański w Warszawie, Jacob Beam, wysłał do Departamentu Stanu USA dokument za dokumentem, w których pisał, że nie może prowadzić dyplomacji w Polsce, ponieważ amerykańska rozgłośnia uderza w ministra rządu PRL, co jest traktowane jako obca ingerencja. Odbływały się narady z udziałem zastępcy sekretarza stanu USA, szefa CIA Allena Dullesa oraz ambasadora Beama – w końcu zwyciężyła koncepcja Nowaka-Jeziorańskiego. Ambasador Beam po latach – gdy Wolna Europa miała kłopoty i chciano ją zamknąć – był jednym z jej najzagorzalszych obrońców.

KB: W pana opowieści Radio Wolna Europa jawi się jako wielki i – na miarę swoich czasów – nowoczesny kombinat medialny.

AM: Przytoczę wypowiedź Macieja Wierzyńskiego. To dziennikarz z wielkim doświadczeniem, który pracował w wielu mediach, w tym również w Radiu Wolna Europa. Stwierdził, że nie widział nigdzie drugiej tak doskonałej organizacji dziennikarskiej o charakterze publicznym. Bo trzeba wspomnieć, że RWE działało według modelu mediów publicznych. Finansowano je z pieniędzy publicznych, nie nadawano reklam, zaś dziennikarze wykonywali swoją robotę – zajmując się tematyką kulturalną, polityczną, religijną, chłopską, młodzieżową – najlepiej, jak potrafili.

W RWE były świetne warunki do pracy, niespotykane nigdzie indziej. To było medium odcięte żelazną kurtyną od swoich odbiorców, a jednocześnie, mieszkając w Paryżu, miałem poczucie, że nie ma miejsca, w którym mógłbym być lepiej poinformowany o tym, co się dzieje w Warszawie, Krakowie czy Gdańsku. Nie było wtedy Internetu, Facebooka, smartfonów, połączenia telefoniczne nie działały tak jak dziś, a ja wiedziałem w zasadzie wszystko. Wszelkie gazety wydawane w Polsce, również regionalne, były abonowane w Monachium. W RWE pracowała armia ludzi zajmująca się czytaniem między wierszami i robieniem wycinków. Kiedy w „Trybunie Ludu” pojawiał się krótki artykuł, że Iksiński z Suwałk został mianowany sekretarzem zakładowej komórki partii w lokalnym szpitalu, natychmiast wycinano taki artykuł i tworzone kartoteki z hasłami: „Suwałki”, „Iksiński”, „komitet zakładowy”. Mijały trzy lata i okazywało się, że jakiś Iksiński ze wschodniej Polski pojawia się w ministerstwie jako partyjny reformator. Do kartoteki dokładano kolejne wycinki na jego temat. Po kilku kolejnych latach na zjeździe PZPR pojawiał się nowy zastępca sekretarza KC. Nikt na świecie nie wiedział, kim on jest. Poza nami, bo mieliśmy jego kartotekę z czasów działalności w Suwałkach. Takich fiszek w kartotece były tysiące. Niestety, wszystkie zniszczono podczas przeprowadzki Radia z Monachium do Pragi. Podkreślam, nie było wtedy komputerów, tylko siedzieli ludzie i tworzyli bazy nazwisk, zakładów, tematów, tnąc nożyczkami gazety. To była fantastyczna komórka białego wywiadu, z której przykład brały białe wywiady w strukturach CIA, DGSE czy w innych służbach specjalnych.

Nie ograniczano się oczywiście do wycinków z gazet. W Berlinie siedzieli emigranci ze słuchawkami na uszach i monitorowali audycje lokalnych rozgłośni radiowych. W ten sposób Wolna Europa w 1980 r. jako pierwsza na Zachodzie odebrała audycję Radia Gdańsk, w której mówiono o zamieszkach i wojsku na ulicach. Wszystkie agencje informacyjne świata – Associated Press, Reuters, Agence France Presse i inne – dzwoniły do Wolnej Europy, aby uzyskać informacje. Od razu było wiadomo, że trzeba wysłać naszych ludzi na dworce kolejowe w Malmö, Helsinkach, Berlinie czy Wiedniu, aby przepytawali każdego przyjeżdżającego z Polski. Spisywano te relacje i przekazywano do centralnego ośrodka agregowania informacji.

W monachijskiej centrali RWE pracowało ok. 1,5 tys. ludzi, a w terenie – drugie tyle. Pracownicy terenowi mieli za zadanie zbierać informacje we wszystkich stolicach. Ja się tą działalnością zajmowałem w Paryżu, znałem dobrze rosyjski, więc miałem wypytwać Rosjan. Trzeba było chodzić w określone miejsca, na przykład do tanich sklepów, w których Rosjanie pod koniec swoich delegacji robili zakupy. Musiałem czatować przy stoisku z radioodbiornikami. Kiedy jakiś Rosjanin pytał łamaną francuszczyzną o dany model radia, wtedy rzucało się od niechcenia, że świetnie odbiera Radio Swoboda. I wtedy albo on uciekał ze strachu, albo nawiązywało się rozmowę, nieraz nawet lądowało na kawie czy piwie. Dowiadywałem się, ilu ludzi słucha Radia, gdzie słuchają, w jakich miejscach

sygnał trzeba wzmocnić, bo zagłuszanie jest najbardziej skuteczne, ale także które audycje ich ciekawią, a które niekoniecznie.

KB: Informacje zdobywane i opracowywane przez RWE musiały działać na służby wywiadowcze jak magnes.

AM: Służby wschodnie chciały Radio zniszczyć, więc infiltrowały – tego dotyczy jeden z odcinków mojego serialu dokumentalnego pt. „Archiwum Zimnej Wojny”. Ich celem było skłócać, destabilizować, zmniejszyć skuteczność oraz dowiedzieć się, kto z Polski jest informatorem Radia. A przecieki następowały wszędzie, również na najwyższych szczeblach władzy. Dzisiaj możemy już wymienić nazwiska, byli to parlamentarzyści z klubu Znak, tacy jak Zawiejski, Stomma, Kisielewski. Kiedy wyjeżdżali na Zachód, spotykali się z przedstawicielami Radia i udzielali obszernych wypowiedzi. Dysponujemy też zdjęciami z dworca w Wiedniu, na których widać prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego odpowiadającego na pytania wysłannika Radia Wolna Europa. Wiadomo było, że prymas do Rzymu nie lata, tylko jeździ pociągiem, właśnie dlatego, że chce mieć trzy godziny postoju w Wiedniu. I tam spotykał się między innymi z Nowakiem-Jeziorańskim oraz jego zastępcą, Tadeuszem Żenczykowskim. Wschodnie służby marzyły o tym, żeby się dowiedzieć, kto się z kim spotyka. I tak wpadły na trop Władysława Bartoszewskiego, który też był informatorem Wolnej Europy. Część informacji zbieranych przez Radio była zresztą kolportowana na zasadach rynkowych. Przy RWE istniał ośrodek analityczny RFE/RL Research Institute, który przetwarzał wszystkie informacje i wydawał płatny biuletyn. Produkował analizy abonowane przez setki podmiotów: wszystkie ministerstwa zagraniczne Zachodu, wszystkie komórki NATO w Brukseli, służby specjalne.

KB: Wspomniał pan wcześniej o kryzysie w RWE, który omal nie doprowadził do zamknięcia rozgłośni w 1975 r.

AM: Do 1975 r. Radio Wolna Europa było finansowane tajnie przez CIA, było de facto komórką CIA na froncie zimnej wojny. Wiedziała o tym jedynie grupa kluczowych decydentów w Ameryce. Ta sprawa wypłynęła, prawdopodobnie wskutek inspiracji wschodnich służb, i trafiła na podatny grunt, bowiem w USA było wielu przeciwników Wolnej Europy. Zamknięcie RWE było życiowym celem wpływowego szefa senackiej komisji spraw zagranicznych J.W. Fulbrighta. W latach 70. prawie mu się udało. Skończyło się na tym, że zmieniono sposób finansowania, powołano Board for International Broadcasting (BIB), czyli rodzaj rady nadzorczej. Składała się ona z szanowanych osobistości, zasiadali w niej m.in. redaktor naczelny „Reader’s Digest” i milioner Malcolm Forbes jr. Od tego momentu środki na finansowanie Radia nie były transferowane z CIA, tylko przydzielane przez Kongres USA, więc rozliczano je oficjalnie i transparentnie. W ten sposób uratowano stację, natomiast perturbacje trwały przez dłuższy czas. Agenci peerelowskiego wywiadu, którzy infiltrowali stację, jak Czechowicz, Lach, Smoliński, byli szykowani na świadków oskarżenia

w przygotowywanym przez kraje wschodnie międzynarodowym trybunale, który miał doprowadzić do zamknięcia Radia. Oskarżano RWE, że jest instrumentem międzynarodowej destabilizacji.

KB: Uważa pan, że ten kryzys RWE był inspirowany przez agentów służb wschodnich?

AM: Oczywiście, że tak. Wolna Europa była stale na ustach oficjalnych czynników. Można o tym przeczytać w dokumentach na stronie internetowej Wilson Center. Kiedy kierowałem portalem Polskiego Radia, uruchomiliśmy serwis Radia Wolności. Udostępniliśmy w nim wszystkie dźwięki, które ocalały po zamknięciu RWE – łącznie ponad pół miliona minut nagrań – oraz wiele innych dokumentów, m.in. zdjęcia powiązane z Wolną Europą czy odtajnione mniej więcej 10 lat temu dokumenty CIA dotyczące historii rozgłośni, które przetłumaczyliśmy na język polski. Ciekawy jest stenogram ze spotkania w sierpniu 1959 r. ówczesnego wiceprezydenta USA Nixona – który w drodze powrotnej z Moskwy do Stanów wylądował w Warszawie – z Gomułą i Cyrankiewiczem w Belwederze. Pierwsze 15 minut to wyłącznie awantura o Radio Wolna Europa. Nixon świetnie dał sobie radę podczas tej utarczki. Na każdy argument przeciwko Wolnej Europie odpowiadał kontrą o Radiu Moskwa. Sam byłem zdumiony, gdy natrafiłem na zapis tej rozmowy. Wydawało mi się, że jestem nieźle zorientowany w temacie rozgłośni, ale nie sądziłem, że pierwsza część spotkania polsko-amerykańskiego na najwyższym szczeblu dotyczyła Wolnej Europy. Niestety, większość archiwów została zniszczona w 1989 i 1990 r. Zatem prowadząc śledztwa dziennikarskie, idziemy po spalonych śladach.

KB: Czy zimna wojna to były zakulisowe rozgrywki superumysłów i starcia superszpiegów – jak w obrazie lansowanym przez literaturę i film – czy też raczej przeważała bałagan, nieprzemyślane decyzje, niegospodarność w zarządzaniu środkami na operacje specjalne i ludzka małość?

AM: Zapewne w jednym i drugim opisie jest trochę prawdy. Jak w życiu. Jednak na pewno plan utworzenia RWE, który powstał w ośrodku Biura Koordynacji Politycznej (Office of Policy Coordination), zapisał się na kartach historii jako posunięcie genialne. Amerykanie w 1946 r. wymyślili stację radiową, która będzie usytuowana w Niemczech. Żaden inny kraj by się na to nie zgodził, ale wtedy, w warunkach powojennych, Niemcy nie mieli wyboru. Zwrócono się do społeczności emigracyjnych krajów podbitych przez Sowiety, żeby wyłoniły reprezentację, zaś redaktorom naczelnym polecono zachować równowagę poglądów poszczególnych środowisk.

To jest zresztą też ciekawy wątek. Nowak-Jeziorański miał bardzo sprecyzowane poglądy – nie znosił endecji przedwojennej. Ale w stacji, którą zarządzał, ludzie związani z Narodową Demokracją stanowili poważną reprezentację. Był tam Wiktor Trościanko, ale też inni, np. ostatni szef PSL-u na uchodźstwie Tadeusz Chciuk, ps. Marek Celt, a także przedstawiciele wszystkich liczących się ugrupowań. Stworzono zatem zrównoważony głos polityczny re-

prezentujący wszystkich Polaków na wygnaniu, ale też inne narody bloku wschodniego. Nie wszędzie się to udało w równym stopniu. Akurat polską emigrację tworzyło wiele wybitnych osobowości – przedwojenni dziennikarze, dyplomaci, uczeni. Pierwszy skład redakcji RWE był fantastyczny. Zaś Nowak-Jeziorański to był twardy facet, mówili o nim, że chodzi jak dziad z sękatym kijem i co rusz komuś przyłoży. Ale trzymał wszystkich w ryzach, co w przypadku Polaków, jak wiemy, nie jest łatwe.

Oczywiście zdarzały się różne wpadki, zamieszania. Agenci wschodni zbierali materiały kompromitujące, próbowali werbować. Ale nie udało im się wpłynąć na linię programową. Przydarzyła się m.in. wpadka z Andrzejem Czechowiczem, szpiegiem PRL, który pracował w RWE i był blisko kartotek informatorów krajowych. Po kilku latach pracy w rozgłośni wrócił do kraju i wykorzystywano go w celach propagandowych. Mógł zdekonspirować Bartoszewskiego i innych. Ale na program w polskiej rozgłośni agentura nie miała wpływu. W Radiu Swoboda było inaczej. Oleg Tumanow był jego pracownikiem przez 15 lat, a pod koniec tego okresu – redaktorem naczelnym. Wydało się, że jest szpiegiem, gdy na początku lat 80. uciekł do Moskwy. Wystąpił na konferencji prasowej i to był rzeczywiście cios dla Radia Swoboda. Wpadki zdarzały się też drugiej stronie, ale nie zawsze głośne, bo jeśli jakiś prominentny działacz uciekał ze Wschodu na Zachód, to raczej skrycie wyciągano z niego wszelką wiedzę, a potem próbowano „odwrócić”. Choć na przykład ucieczka Józefa Światły, jednego z wysokich oficerów stalinowskiej bezpieki, a potem jego audycja w RWE pt. „Za kulisami bezpieki i partii” wywołały w Warszawie polityczne trzęsienie ziemi.

KB: Wojna o umysły nie ograniczała się do działalności radiowej. Zetknął się pan z innymi metodami wpływu?

AM: Fantastyczny program, o którym do dzisiaj prawie nikt nie wie, został opisany w książce „Hot Books in the Cold War”. Był to projekt prowadzony od 1956 r. przez CIA. Polegał na przerzucaniu do Europy Wschodniej milionów egzemplarzy zakazanych książek. Wykupowano między innymi pozycje wydawnictw emigracyjnych, ułatwiając im w ten sposób działalność. Wydanie przez Jerzego Giedroycia trzech tomów „Archipelagu Gułag” było ryzykowne pod względem finansowym. Należało ponieść koszty druku, papieru, dystrybucji, a stałych subskrybentów miał kilkuset i płatności spływały powoli. Ryzyko inwestycyjne było dużo mniejsze, gdy pojawiał się przedstawiciel Wuja Sama i kupował na przykład tysiąc egzemplarzy. Był nim George Minden, rumuński emigrant, pracownik CIA, który miał biuro w Waszyngtonie. Od 1956 do



Reklama prasowa Radia Wolna Europa

1990 r. kupował nakłady od wydawców emigracyjnych, m.in. od Giedroycia, od Rosjan, Czechów i Węgrów. Część książek pozostawiano u wydawców – dlatego wielu odwiedzających „Kulturę” paryską mogło otrzymywać książki za darmo – zaś część wysyłano do księgarni emigracyjnych albo do punktów rozdawnictwa. Ja prowadziłem taki punkt pod koniec lat 80. w Paryżu. Wynajmowałem mieszkanie z garażem, w którym stało kilkadziesiąt euro-palet, a na nich leżało równo-

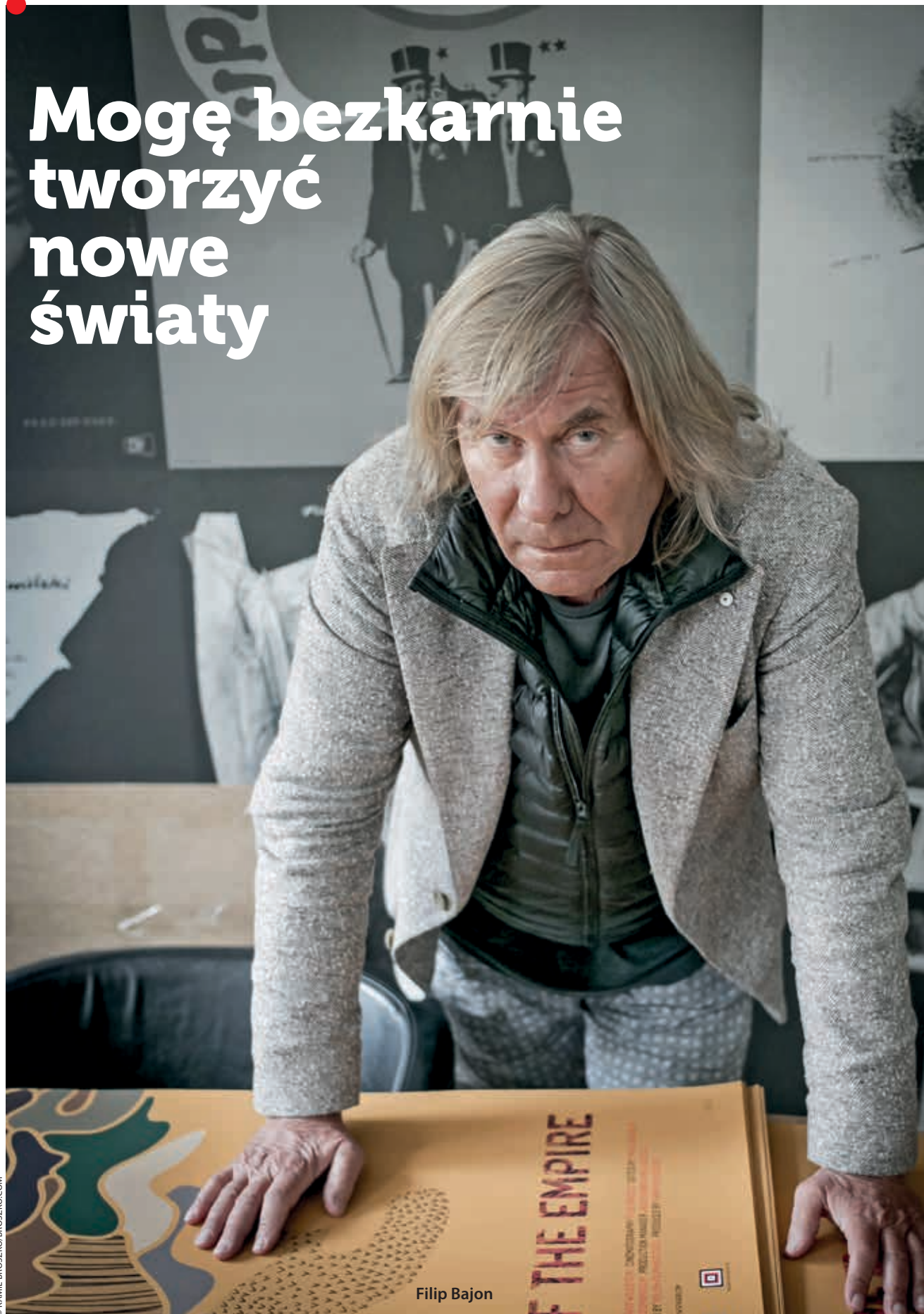
cześnie kilka tysięcy książek, może ze 100 tytułów. W tym moim garażu, przy świetle latarki, książki wybierała przyszła czołówka polskiej klasy politycznej, przyszli premierzy i ministrowie, którzy wtedy jako opozycjoniści, dysydenci, działacze niezależni znaleźli się na moment na Zachodzie.

Rosyjskie rozdawnictwo książkowe szło jeszcze dalej. Do lekarzy za żelazną kurtynę wysyłano najnowsze numery wybranych pism medycznych. Do fizyków wysyłano pisma z dziedziny fizyki. Wszystko po to, aby nie dopuścić do powstania cywilizacyjnej fosy, wynikającej z braku dostępu do aktualnych źródeł naukowych. W rosyjskim ośrodku rozdawnictwa w Paryżu widziałem egzemplarze pism modowych czy kolorowych – „Elle”, „Life”, „Vogue” – które były przeznaczone dla małżonek najwyższych partyjnych bonzów, żeby klasa rządząca mogła zobaczyć na zdjęciach, jak wygląda świat, i umiała się ubrać. I za coś takiego płaciła CIA! Czy to nie przemysłowy program sabotażu żelaznej kurtyny?

KB: Wcześniejsze wojny toczono o zasoby, o ziemię. Zimna wojna była starciem ideologicznym?

AM: Z punktu widzenia Zachodu zimna wojna toczyła się o to, by zatrzymać postęp komunizmu, postawić opór sowieckiej ofensywie ideologicznej i militarnej. To była wojna z cenzurą, z kłamstwem, z bezprawiem. Amerykanie tuż po II wojnie światowej zorientowali się, że Europa i w ogóle świat są w tarapatach. A konkretnie zorientowały się służby wywiadowcze. Ważną rolę w diagnozowaniu ówczesnej sytuacji odegrały pojedyncze osoby. George Kennan, dyplomata, sowietolog, który był radcą ambasady amerykańskiej w Moskwie, w lutym 1946 r. przysłał do Departamentu Stanu tzw. *long telegram*, długą depeszę, w której wnikliwie opisał strategię sowiecką oraz postulował zmianę polityki USA wobec ZSRR. Na podstawie tej depeszy powstała strategia Trumana – tzw. doktryna powstrzymywania (ang. *containment*). Doszło do całkowitego zwrotu polityki USA. Kennan jako jeden z pierwszych zrozumiał, czym jest sowiecka ideologia i o co naprawdę chodził Stalinowi. I od tego momentu wszystko się zaczęło.

Mogę bezkarnie tworzyć nowe światy



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Filip Bajon



O inspirujących paradoksach losu, tajnikach warsztatu filmowego oraz o tym, czego nauczyli nas zaborcy,
z **Filipem Bajonem**
rozmawiają Kamil Broszko i Marzena Tataj.

Filip Bajon – reżyser filmowy i teatralny, scenarzysta, prozaik. Profesor zwyczajny sztuk filmowych. Od 2015 r. dyrektor Studia Filmowego Kadr. Od 1970 r. publikował utwory literackie w prasie. W 1971 r. wydał pierwszą powieść „Białe niedźwiedzie nie lubią słonecznej pogody”. Opublikował także zbiór opowiadań „Proszę za mną w górę” (1972) oraz powieści: „Serial pod tytułem” (1974), „Podsluch” (1994), „Cień po dniu” (2006). Stworzył wiele scenariuszy filmowych. Jest również reżyserem teatralnym (m.in. „Z życia glist” Enquista na Scenie na Piętrze w Poznaniu, „Płatonów” Czechowa w Starym Teatrze w Krakowie, „Szaleństwo Jerzego III” Bennetta w Teatrze Dramatycznym w Warszawie) i telewizyjnym. W latach 90. szef Studia Filmowego „Dom”. Członek Zarządu Stowarzyszenia Filmowców Polskich, wykładowca na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz w Szkole Filmowej w Łodzi. W latach 2008–2016 dziekan Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej Szkoły Filmowej w Łodzi. Wyreżyserował m.in. filmy: „Aria dla atlety” (1979), „Wizja lokalna 1901” (1980), „Wahadełko” (1981), „Limuzyna Daimler-Benz” (1981), „Magnet” (1986), „Powtórka z Conrada” (1981), „Sauna” (1992), „Poznań 56” (1996), „Hrabia” (1998), „Przedwiośnie” (2001), „Śluby panieńskie” (2010), „Panie Dulskie” (2015), „Kamerdyner” (2018).

Kamil Broszko: W 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości chciałbym zapytać, dlaczego nie zainteresowała pana jako filmowca historia Józefa Piłsudskiego. Wszak jest pan specjalistą od filmów historycznych.

Filip Bajon: Ależ zainteresowała, ale jako producenta. Właśnie zakończyliśmy zdjęcia do filmu o Józefie Piłsudskim. To inicjatywa Studia Filmowego Kadr. Za scenariusz i reżyserię odpowiada Michał Rosa, a Józefa Piłsudskiego gra Borys Szyc. Premierę planujemy na wrzesień przyszłego roku. Skupiliśmy się na najciekawszym według mnie okresie jego życia, kiedy działał w Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS). Akcja filmu rozpoczyna się w 1900 r., w momencie aresztowania i osadzenia Piłsudskiego w Cytadeli Warszawskiej. Skazano go za kolportaż nielegalnej prasy, a także – niesłusznie – za udział w zabójstwie dwóch szpicli. Piłsudski, aby się ratować, zaczął symulować chorobę psychiczną; po przewiezieniu na badania do petersburskiego Szpitala Mikołaja Cudotwórcy udało mu się zbiec. Ucieczkę zorganizował członek PPS, polski lekarz Władysław Mazurkiewicz, w gabinecie którego Piłsudski przebrał się w cywilne ubranie, a następnie razem opuścili szpital. Jest ona zaliczana do 50 najbardziej spektakularnych ucieczek świata, co potwierdza choćby fakt, że w latach 20. ubiegłego wieku została przedstawiona na kartonikach dołączanych do batonów Milky Way. Michał Rosa dostał taki kartonik od znajomego i tak zaczął kiełkować pomysł na film. To brawurowa opowieść o akcjach bojowych, z napadem na rosyjski pociąg pocztowy włącznie, która kończy się w 1914 r. wraz z powołaniem Pierwszej Kompanii Kadrowej w Krakowie i wybuchem I wojny światowej. Koda filmu zostanie umiejscowiona w 1918 r. – w momencie odzyskania przez Polskę niepodległości.

KB: Nie kusiło pana, by sięgnąć po drugi okres historii Józefa, ten po odzyskaniu niepodległości?

FB: Nie kusiło, bo musiałbym poruszyć problemy nie artystyczne, tylko polityczne, i do tego nierozwiązywalne. W tamtym okresie nie widzę żadnej artystycznej pożytki. Ale mogę się mylić. Poza tym proszę pamiętać, że w przypadku filmu o Józefie Piłsudskim jestem jedynie jego producentem, jako dyrektor Studia Filmowego Kadr. Aczkolwiek temat ten odzwierciedla mój sposób patrzenia na film, bo nie produkowałbym czegoś, co jest całko-

wicie sprzeczne z moją wizją świata. Sam natomiast od wielu lat przymierzam się do sfilmowania historii Bronisława Piłsudskiego, najstarszego brata Józefa.

Marzena Tataj: W poprzednim numerze naszego kwartalnika pisaliśmy dużo o tej postaci. A co pana w niej zafrapawało?

FB: Paradoxs losu. Natknąłem się na Bronisława Piłsudskiego, czytając pracę doktorską mojego wuja Kazimierza Malinowskiego, który był dyrektorem Muzeum Narodowego z Poznaniu. Wuj wspominał w swojej książce o Bronisławie, dziwnym muzealniku, który zakładał Muzeum Tatrzańskie im. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Niezwykła jest historia tego człowieka, zesłanego na najcięższą katorgę za udział w organizowaniu zamachu na cara Aleksandra III – jego życie wśród etnicznego ludu Ajnów na Sachalinie, jego badania krajoznawcze i etnograficzne, a także ucieczka z rosyjskiej kolonii karnej przez Japonię, USA i Francję do Krakowa. Ta postać była dla mnie tak egzotyczna i fascynująca, że nawiązałem do niej już w swoim filmie dyplomowym pt. „Sadze”. Jednak dopiero w latach 90. napisałem scenariusz i poczułem, że jestem w stanie zabrać się za pełnometrażowy film o Bronisławie. Zaczęłem szukać finansowania, ale nie w Polsce, bo tutaj nie spodziewałem się znaleźć odpowiedniego budżetu. Szukałem pieniędzy w Niemczech, we Francji, w Rosji, gdzie przychylnie słuchano o moim projekcie, a nawet proponowano mi fałszywy paszport rosyjski, abym mógł taniej żyć w trakcie dni zdjęciowych. (*śmiech*) W Japonii poznałem odpowiednich ludzi z narodowej telewizji NHK i już wydawało mi się, że jestem umówiony na japońsko-rosyjską koprodukcję, aż tu dostałem odpowiedź, że owszem, Japończycy zainwestują, jednak pod warunkiem że... Wyspy Kurylskie wrócą do Japonii. No cóż, takim cudotwórcą to ja nie jestem.

Scenariusz filmu o Bronisławie Piłsudskim obejmuje okres 100 lat. Nie tylko opowiada jego historię, ale także przybliża, co stało się z wynikami jego badań etnograficznych, m.in. nagraniami pieśni i mowy Ajnów, utrwalonymi za pomocą aparatu Edisona na wałkach fonicznych, które pozostawały nieodczytane aż do wynalezienia lasera. Jest fragment o tym, jak prof. Alfred Majewicz, etnolog i językoznawca z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, wywoził owe wałki w stanie wojennym z Polski do Japonii. Bardzo cenię postać Bronisława Piłsudskiego, prawdziwego bohatera, żyjącego w bardzo ciekawych czasach. Warto się zastanowić, jak to było możliwe, że w 1903 r. katorżnik zesłany za udział w zamachu na cara dostał od władz carskich fonograf na potrzeby swoich prac

etnograficznych nad rdzenną ludnością Sachalinu. Ten sam fonograf, który Edison wynalazł zaledwie pół roku wcześniej. To pokazuje państwowe nastawienie carskiej Rosji. Film rozpocznie się sceną na sali sądowej, gdzie spotkają się cztery osoby: Józef i Bronisław Piłsudscy oraz Włodzimierz Lenin i jego starszy brat Aleksander Uljanow. W tym procesie zapadną dwa wyroki śmierci. Uljanow zostanie powieszony. Bronisławowi wyrok śmierci zamieniono na 15 lat najcięższej katorgi na Sachalinie, gdzie dotarł statkiem z Odessy, opływając całą Azję Południową. Taki chichot losu, że prawidłowy student prawa Uniwersytetu Petersburskiego rozpoczął swoją karierę polityczną od zamachu na cara Aleksandra III, a swoje życie zakończył, spadając z mostu Aleksandra III w Paryżu. Mówię „spadając”, bo jego śmierć uważam za skutek narkolepsji, a nie samobójczy krok.

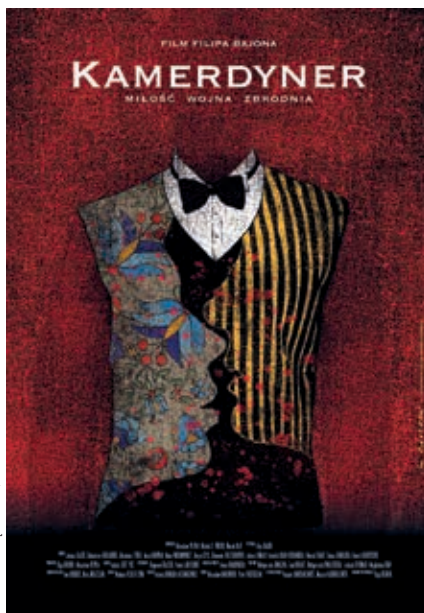
KB: To zdumiewające i fascynujące zarazem, że zesłaniec otrzymuje od Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu

glejt na prowadzenie badań naukowych. Wynikało to zapewne z tendencji do reformowania Rosji, jaka wtedy obowiązywała w caracie.

FB: Cały czas żyjemy w świecie stereotypów, które już się nawet nakładają i dublują. Mamy stereotypy państwa carskiego, pruskiego i austriackiego. A mnie interesuje ich weryfikowanie i rozbijanie. Pokazuję, że rzeczywistość wyglądała inaczej niż nasze wyobrażenia o niej. Moje stanowisko potwierdzają liczne opracowania naukowe, które przestudiowałem na potrzeby dokumentacji moich filmów. Wiem jedno: na początku XX w. Rosja była krajem dynamicznie rozwijającym się, o czym może świadczyć choćby rozwój kolejnictwa zapoczątkowany przez premiera Siergieja Witte. Kolejny dowód znajdziemy w filmie „Ziemia

obiecana” Andrzeja Wajdy. Nie sposób domyślić się, że ówczesna Łódź leżała w zaborze rosyjskim. Kogo nie zapytałem, w którym zaborze rozgrywa się akcja „Ziemi obiecanej”, każdy mówił, że w pruskim, bo widać prężnie rozwijające się miasto. Swoją drogą Wajda postąpił sprytnie – aby uniknąć kłopotów z cenzurą, jedynie na trzecim planie pokazał kilku Kozaków i parę napisów w języku rosyjskim na sklepach. Wracając do postaci Bronisława – był postromantykiem ukaranym za zamach na cara, a jednocześnie beneficjentem rozwijającego się państwa rosyjskiego. I to Bronisław, a nie Józef, jest znany na świecie, właśnie ze względu na badania etnograficzne, które prowadził na Sachalinie.

Temat zaborów nie został wystarczająco opracowany przez polską kinematografię, bo przecież można spojrzeć na nie jako na zjawisko pozytywne. Kiedy kultura sarmacka już się wyczerpała,



© ANDRZEJ PĄGOWSKI/KREACJA PRO



© FILMICON/MARCIN MAKOWSKI

„Kamerdyner” w reż. Filipa Bajona, na zdj. Marianna Zydek i Sebastian Fabijański.

wskutek zaborów znaleźliśmy się w kręgu innych kultur. Narrację o zaborach narzucili nam nasi poeci przebywający na emigracji w Paryżu, a nie mieszkańcy żyjący pod zaborami w Poznaniu, Warszawie czy Krakowie. Nie ma takiej możliwości, aby po dwóch pokoleniach nie wtopić się w świat, w którym się żyje. Mieszkańcy byłych ziem polskich nadal mieli swoje małe ojczyzny. Natomiast poeci z Paryża faktycznie byli ich pozbawieni i dlatego prowadzili narrację niepodległościową, romantyczną i wzniosłą. Identyfikacja narodowa i państwowa zaczęła się tworzyć dopiero w drugiej połowie XIX w. Od Niemców nauczyliśmy się obowiązkowości, punktualności, solidności, a także tego, czym jest państwo prawa. Od Rosjan dowiedzieliśmy się, jak można dobrze zagospodarowywać tereny niezależnie od politycznych uwarunkowań oraz czym jest bezwzględność pieniądza. Austriacy pokazali nam, jak się żyje w wielkim państwie. Przecież krakowianie spędzali czas kanikuły nad Morzem Śródziemnym. W momencie odzyskania niepodle-

głości nastąpiło połączenie tych trzech mentalności w sposób niejako naturalny, ale niestety – nie w warstwie intelektualnej. Szkoda, bo wtedy moglibyśmy uzyskać wyjątkową wartość, a tymczasem uzyskaliśmy jedynie dopasowanie.

KB: Czyli kultura powinna wtedy stworzyć nowy kanon wartości nowego społeczeństwa?

FB: Tak, potrzebowaliśmy nowego kanonu wartości i wyciągnięcia wniosków, znalezienia pozytywnych stron tego, co się stało, a nie wiecznego ubolewania nad utratą granic z 1772 r. Co więcej, choć sam temu ulegam, uważam mit Kresów za negatywny w polskiej kulturze. Po co nam były te niezagospodarowane przestrzenie na wschodzie, skoro cywilizacja europejska była na zachodzie? Zamierzam zrobić film o Jarosławie Iwaszkiewicz i w tym celu pojadę wiosną przyszłego roku na chersońskie stępy. Pomysł ten kiełkował we mnie od czasu, kiedy trafiłem na „Sicilianę”,

pierwsze, nieopublikowane opowiadanie Iwaszkiewicza. Napisał je w wieku 17 lat. Choć grafomańskie, zawiera wszystkie tematy, które rozwijał przez następne 60 lat. To wyjątkowa sytuacja u pisarza, zapewne podyktowana jego homoseksualizmem i autocenzurą. Zazwyczaj twórca nie kontynuuje tych samych tematów przez całe życie, one wybrzmiewają i przemijają, a pojawiają się nowe fascynacje. Zdarzają się powroty do starych tematów, ale już na innej zasadzie. Jarosław Iwaszkiewicz w swoich pamiętnikach opisuje, jak podczas podróży do Włoch spotkał młode małżeństwo. Razem zwiedzali okolice i podczas obiadu z zachwytem opowiadali o filmie „Matka Joanna od Aniołów”, który niedawno widzieli. Kiedy Iwaszkiewicz przyznał, że to właśnie on napisał scenariusz do tego filmu, młodzi popatrzyli na niego podejrzliwie, obrazili się i poszli. Oto kolejny przykład, jak wiążą nas pozory i stereotypy.

MT: „Kamerdyner”, pana najnowszy film, to chyba pierwszy w historii polskiej kinematografii obraz opowiadający o Kaszubach.

FB: Historia Kaszubów nie została do tej pory opowiedziana należycie. Za komuny byli podejrzani, bo „nie wiadomo, czy to Polacy, czy Niemcy”. Jeszcze w latach 70. mieli trudności na przykład z dostaniem się na studia. Znałem ich dobrze, bo od młodych lat zatrzymywaliśmy się całą rodziną u Kaszubów, kiedy spędzaliśmy lato nad Bałtykiem. Dodatkowo poznałem temat Prus Wschodnich podczas pisania scenariusza o hrabinie Marion Dönhoff, niebywale barwnej postaci, urodzonej w Prusach, która dużo podróżowała po Europie, Afryce i USA, ale wróciła, aby przejąć zarządzanie majątkiem ojca. Sama była właścicielką majątku Kwitajny koło Pasłęki. Jej kuzyn z majątku w Sztynorcie brał udział w operacji „Walkiria”, czyli w zamachu na Hitlera, i został skazany na śmierć. Hrabina również była przesłuchiwana przez gestapo, lecz wypuszczono ją z powodu braku dowodów. Wsławiła się konną ucieczką z Prus Wschodnich przed nadciągającą Armią Czerwoną. Jednak swojego scenariusza nie kończę na tym wydarzeniu, ale przenoszę go w czasy powojenne, kiedy to hrabina została redaktorem naczelnym „Die Zeit” i działała na rzecz pojednania polsko-niemieckiego. Tak więc bez zbędnego wahania przyjąłem propozycję wyreżyserowania „Kamerdynera”, którą otrzymałem od producenta i scenarzysty Mirosława Piepki.

MT: „Kamerdyner” to piękny, epicki film, kręcony bardzo długo, dzięki czemu ukazuje wszystkie pory roku.

FB: Tak, kręciliśmy go aż trzy lata, lecz wyłącznie z powodów finansowych. „Magnata” robiłem przez rok i jako jedyny z ekipy wiedziałem, w którym miejscu filmu jestem i jakich scen jeszcze brakuje. Taki trening bardzo mi się przydał przy tworzeniu „Kamerdynera” na raty. Pięć razy z operatorem podchodziliśmy do tej pracy i za każdym razem trzeba było zrobić rekapitulację tego, co nakręciliśmy. Pewne problemy stwarzał też producent, który – ograniczony budżetem – prosił o usunięcie lub zmianę zbyt

drogich scen. Miałem też kłopot ze skompletowaniem pełnej obsady potrzebnej do danej sceny według pierwotnego scenariusza, bo aktorzy mieli już inne zobowiązania zawodowe. Na przykład podczas kręcenia sceny ślubu Marity nie było ani jednej kobiety na planie, jednak w filmie tego nie widać. Drugi przykład: w scenie pogrzebu Kurta mieli brać udział wszyscy bohaterowie, których widzimy na balu sylwestrowym. Niestety, na planie ich nie było. Zatem napisałem scenę raz jeszcze, tym razem z udziałem jedynie najważniejszych postaci. I okazało się to korzystniejsze dla filmu. Tego właśnie uczy nas film, że czasem brak czegoś podsuwa lepsze rozwiązanie. Oczywiście bywa też odwrotnie. Przez cały czas trwania zdjęć prosiłem produkcję „Kamerdynera” o transfokator, czyli obiektyw zmiennoogniskowy, a miałem tylko „sztywną” optykę. W rezultacie ani razu na planie nie użyłem transfokatora i nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. W filmie nigdy nie dowiesz się, dlaczego czegoś nie ma. Już przed laty uzmysłowiłem sobie, jak padł komunizm. Jeżeli Breżniew wiedział o państwie tyle, ile ja wiedziałem na planie filmowym, to komunizm musiał upaść. Nigdy nie byłem w stanie dojść do tego, kto jest winien, od kogo zaczynał się ciąg wpadek. Wszyscy kłamali jak najęci. (śmiech)

KB: Kiedy mówi pan o filmie, raz słyszę prawdziwego humanistę, który na pierwszym planie stawia człowieka i jego losy w obliczu przemian lub wobec problemu, a za chwilę artystę ujmującego kadr w kategoriach plastycznych.

FB: Zazwyczaj reżyserii w szkole uczy się jak pewnego procesu. A według mnie film nie jest procesem. Nie ma jednego uniwersalnego podejścia, bo każdy film jest inny. Zrobiłem „Kamerdynera”, ale to wcale nie znaczy, że wiem, jak zrobić film o Iwaszkiewiczu. Fakt, że zrobiłem „Magnata”, nie oznaczał, że wiedziałem, jak zrobić „Kamerdynera”. Każdy film to inne równanie do rozwiązania. Oczywiście są pewne stałe fragmenty gry. Można nauczyć się, gdzie postawić kamerę, jak przygotować plan, jak się porozumieć z ekipą. To abecadło rzemiosła filmowego, niezmiennie od lat 40. ubiegłego wieku. Do dzisiaj nie powstały żadne nowe środki filmowe. Efekty komputerowe to ułatwienie pracy, ale nie zmiana jakościowa. Tak więc myślenie o filmie jako o pewnej formie artystycznego wyrazu jest niezmiennie. Być może „Osiem i pół” Felliniego czy filmy Godarda były pewnym wyłomem, ale i ci reżyserowie pracowali na tym samym alfabecie. Mnie interesują historie, które dzieją się w czasach przełomów. Lubię filmy historyczne, aczkolwiek w ramach rozliczenia z komuną zrobiłem także filmy współczesne, takie jak „Wahadełko”, „Bal na dworcu w Kuluszkach”, „Sauna” czy „Poznań 56”. Tworząc film współczesny, muszę pamiętać, że jestem weryfikowalny. Każdy może mnie sprawdzić i zaprzeczyć, powołując się na swoją pamięć tamtych zdarzeń. Jestem uwiązany na pasku potocznego realizmu. Natomiast kiedy robię film o czasach, których już nikt nie pamięta, nagle odzyskuję totalną wolność i swobodę. I wtedy mogę skupić się na tym, co w filmie lubię najbardziej, czyli na obrazie. Wiele osób docenia dbałość o szczegóły w odtworzeniu



© STUDIO FILMOWE TORUNIECZAW HERBA

„Magnat” w reż. Filipa Bajona, na zdj. Grażyna Szapołowska.

epoki w „Kamerdynerze”. Słyszę zachwyty, że pałac był tak bogato pokazany. Tymczasem pałac w rzeczywistości jest ośrodkiem konferencyjno-szkoleniowym Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, wszelako zbudowanym przez admirała floty w 1907 r. Nawiasem mówiąc, wtedy też założono kaloryfery, które działają do dzisiaj. Podobnie było w przypadku zamku w Pszczynie, w którym rozgrywała się akcja „Magnata”. W rzeczywistości totalne bezguście. Ale gdy się odpowiednio ustawi kamerę, oświeci i przydymi, zaaranżuje na nowo przestrzeń, wykorzystując wszystkie dostępne przedmioty, można uzyskać pożądany efekt obfitości i bogactwa. Gdybym nie używał całej przestrzeni i nie robił długich ujęć, to mielibyśmy wrażenie skromności i ograniczenia. Akcję filmu z małych pokoiów pałacu – w których faktycznie rozgrywały się przedstawione wydarzenia – przeniósłem na salony i inscenizowałem pod oko kamery. Tak naprawdę życie w Prusach Wschodnich było uciążliwe i nudne. Odległości pomiędzy pałacami oraz ubóstwo tamtejszego ziemiaństwa powodowały, że rzadko się odwiedzano. Zimy trwały długo, a ogrzewanie było bardzo kosztowne. Zatem ogrzewano jedynie parę pokoi i przestrzeń życiowa gwałtownie się kurczyła. Do filmu włączyłem także dwie sceny ze wspomnień Klausa von Bismarcka. W pierwszej, rozgrywanej pomiędzy Leo von Trettowem (granym przez Daniela Olbrychskiego) i Fryderykiem von Krausem (w jego postać wcielił się Borys Szyc), przy stole z półmiskiem kartofli odbywa się rozmowa. Na pytanie von Trettowa: „To wy też jecie kartofle?” Krauss odpowiada: „Tak, te zgniłe, bo dobre idą na zasiew”. Druga scena rozgrywa się pomiędzy hrabiną Gerdą von Krauss, graną przez Annę Radwan, a Mateuszem Krollem, granym przez Sebastiana Fabijańskiego. Hrabina mówi: „Zobacz, żyjemy w pałacu, a jemy kartofle”, tym samym wprowadzając olbrzymi dysonans poznawczy – co jest realne: pałac czy kartofle? To kartofle są realizmem ich życia.

KB: Pana filmy fabularne są mocno oparte na realiach.

Jednak tworzył pan też filmy dokumentalne, choć jest ich mniej. Z jakich przesłanek wywodzi się ten dorobek?

FB: Filmu dokumentalnego uczył mnie prof. Jerzy Bosak, najwybitniejszy filmowiec dokumentalista i nauczyciel, z jakim się zetknąłem. Tłumaczył, że w rzeczywistości ukryte są metafory. To podejście obecnie jest niedoceniane, nie wiem dlaczego. Według Bosaka zadaniem dokumentalisty jest odkrywanie metafor. Kiedy na studiach szukałem tematu do dokumentu, który miałem robić właśnie u prof. Bosaka, z pomocą przyszła mi moja ówczesna dziewczyna. Studiowała dziennikarstwo i pracowała przy spisie powszechnym. Powiedziała, że w Rembertowie natknęła się na ośmioosobową rodzinę, która mieszkała w jednym pokoju. Zainteresowałem się tym tematem i pojechałem do Rembertowa. Zastałem w domu jedynie 10-letnią dziewczynkę, która przyjęła mnie zaskakująco uprzejmie i opowiedziała o staraniach rodziców podejmowanych w celu zmiany tego mieszkania. Nikt więcej nie przyszedł, więc pożegnałem się z nią i wróciłem do Łodzi. Opowiedziałem profesorowi przebieg tej wizyty, konkludując, że nic ciekawego nie znalazłem. Na koniec jeszcze rzuciłem takie spostrzeżenie, że chociaż ukończyłem prawo, to owa dziewczynka mówiła bardziej prawniczym językiem niż ja. Na to prof. Bosak odpowiedział: „I tu jest film”. To była właśnie ukryta w rzeczywistości metafora, której od razu nie dostrzegłem, choć zauważyłem jej szczegół, czyli język, jakiego używała dziewczynka. I tak oto zrobiłem film o języku, a zatytułowałem go „Przyczynek do teorii językoznawstwa” – jako żart z książki Józefa Stalina pod tym właśnie tytułem.

Inne podejście do dokumentu miał Kazimierz Karabasz, który uważał, że wszystko wynika z obserwacji. „Jeśli będziesz długo obserwował, dojdiesz do prawdy” – mawiał. Nie miałem takiej cierpliwości jak on. Natomiast lubiłem szukać metafor, tym bardziej że w czasach komuny rosły jak grzyby po deszczu. Gdzie nie spojrzalesz, wszystko się metaforyzowało. Nie bez powodu wszędzie na dworcach wisiały tabliczki z napisem „Zakaz fotografowania”. Władze dobrze wiedziały, że gdziekolwiek ustawi się kamerę – uzyska się metaforę. W kapitalizmie już nie jest tak dobrze, wszystko jest realistyczne i nie ma głębi znaczeń, kontekstów i podtekstów.

MT: Jak to się stało, że absolwent prawa stał się literatem, a potem filmowcem?

FB: Byłem wierny swoim pasjom. Zakochałem się w kinie, kiedy miałem 14 lat. Chodziłem na filmy z ojcem, chodziłem sam, wagarując. Ciągnąłem też kolegów, aby nie marzli na wagarach, ale ogrzali się w kinie. Dzięki mnie obejrzeliby całą czechosłowacką Nową Falę. (*śmiech*) Na reżyserię nie można było iść od razu po maturze, trzeba było najpierw ukończyć inne studia. Ponieważ pochodzę z prawniczej rodziny, wybrałem studia prawnicze, które wydawały mi się najmniej bolesne, a dodatkowo trwały jedynie cztery lata – najkrócej ze wszystkich. Dopiero później

dowiedziałem się, że milicjanci najczęściej wybierali zaoczne studia prawnicze, gdyż nie chcieli męczyć się dłużej niż cztery lata, zdobywając wyższe wykształcenie. Studia prawnicze bardzo mnie zainteresowały. Od razu na pierwszym roku trafiłem do profesora prawa i logiki Zygmunta Ziemińskiego. Aby zostać u niego dopuszczonym do egzaminu, trzeba było zdać kolokwium. Z własnej głupoty poszedłem zupełnie nieprzygotowany. Jak każdy, dostałem pięć pytań, ale na żadne nie potrafiłem odpowiedzieć, więc napisałem wierszyk: „Hamlet przy »być i nie być« miał chwilę wahania, ale czymże jest jego jedno przy mych pięciu pytaniach? Wiersz ten poświęcam wszystkim logicznie myślącym ludziom”. Tydzień później od asystenta dowiedziałem się, że moja praca jest poza oceną, a na rozmowę prosi mnie sam prof. Ziemiński. Zapytał: „No i co, kolego, zda pan u mnie egzamin?”. Odpowiedziałem twierdząco i zostałem dopuszczony do egzaminu, do którego oczywiście przygotowałem się bardzo dobrze. Profesor zaproponował mi po nim proseminarium. Niedawno spotkałem się z Grzegorzem Gaudenem, byłym dyrektorem Instytutu Książki, i wspominaliśmy proseminaria u profesora, który lubił wyłowić niepokornych, lecz inteligentnych bystrzaków i przez dalsze lata szlifować ich w logice, filozofii i nauce o moralności. To był dla mnie fascynujący okres.

Natomiast pisanie jakoś samo do mnie przyszło. Zawsze pisywałem coś tam do szuflady, aż kiedyś, będąc na wakacjach w Chałupach, nagle usiadłem i stworzyłem opowiadanie, które później przesłałem Jerzemu Andrzejewskiemu. Zaprosił mnie do Warszawy, zaprowadził do słynnej Ireny Szymańskiej, zastępczyni redaktora naczelnego wydawnictwa Czytelnik, i – ku mojemu zdumieniu – podpisał umowę na książkę oraz dostałem zaliczkę. Tak powstała moja pierwsza powieść „Białe niedźwiedzie nie lubią słonecznej pogody”. Często przy tym wspomnieniu przychodzi mi na myśl słynny fragment rozmowy Mrożka z Beckettem. Mrozek mówi: „Panie Samuelu, życie czasami bywa znośne”, na co Beckett odpowiada: „Kolego, ja bym nie przesadzał”.

MT: Urodził się pan i wychował w Poznaniu, w rodzinie, która mówiła po polsku i po niemiecku w zależności od tematu rozmowy. W Poznaniu uważano też, że za Strzałkowem zaczyna się już Azja. Czy zetknął się pan z problemem polskości Ziemińskich?

FB: Temat przymusowej relokacji ludności po II wojnie światowej podjąłem po raz pierwszy w filmie „Pensjonat Słoneczny Blask”, który był realizowany dla niemieckiego ZDF-u, a w Polsce nie był dystrybuowany. Był to ostatni film Tadeusza Łomnickiego, któremu partnerowali Sława Kwaśniewska i Krzysztof Kiersznowski. Opowiedziałem historię Niemca, który przyjeżdża na nasze Ziemie Zachodnie, do Łagowa, i w swoim dawnym mieszkaniu spotyka bohatera granego przez Łomnickiego. Pod koniec filmu bohater Łomnickiego sam jedzie do Lwowa, aby zobaczyć z kolei swoje mieszkanie, w którym również już mieszka ktoś inny.

Gdybym mógł, zakończyłbym „Kamerdynera” następującą sceną. Jest rok 1963. Do Gdańska przylatuje prywatny odrzutowiec, na pokładzie którego znajdują się Richard von Weizsäcker, Günter Grass i Klaus von Bismarck. Przyjeżdżają na pierwsze rozmowy ze Stanisławem Stommą i Mieczysławem Rakowskim. Kiedy po spotkaniu wracają do Niemiec i samolot wystartował, mówi do pilota: „A teraz polec niżej, nad naszymi majątkami”. Niestety, za długi byłby okres pomiędzy ostatnią sceną w 1945 r. a tą planowaną w 1963 r. Warsztatowo by się to nie zgadzało.


Podobnie miałem chęć inaczej zakończyć „Przedwiośnie”. Jest rok 1980. Teksas. Biurowiec wielkiej spółki naftowej, a na ostatnim piętrze biuro prezesa tej spółki, którym jest stary Cezary Baryka. Przed biurowcem trwa protest Greenpeace'u tłumiony przez policję. Okazuje się, że wysłał ją... Baryka.

MT: Czuje się pan na planie filmowym jak ryba w wodzie.

FB: Uwielbiam pracę na planie i kontakt ze wszystkimi ludźmi, którzy mnie tam otaczają. Przychodzę przygotowany i wiem, co chcę osiągnąć, ale jestem otwarty na propozycje, które mogą się zrodzić w każdej chwili. Niedawno natknąłem się na książkę o Kieślowskim i choć go dobrze znałem, z lekkim przerażeniem przeczytałem, jak bardzo nie lubił planu i jak bardzo się nim przejmował. Ja akurat tak bardzo się w życiu nie przejmuję, więc i na planie nie odczuwam napięcia. Jeśli coś nie wyjdzie dzisiaj, to następnego dnia się poprawi. Praca na planie bywa ciężka, również pod względem fizycznym. Przy „Kamerdynerze” zdarzało się, że pracowaliśmy przy temperaturze minus 20 stopni Celsjusza od godziny siódmej rano do trzeciej w nocy. Mimo że byłem ubrany w najcieplejszy strój narciarski, musiałem siedzieć w samochodzie, bo nie wytrzymałem tego mrozu. Ale pamiętam też, jak kiedyś pracowaliśmy z Piotrem Sobocińskim na 29-stopniowym mrozie i dostaliśmy takiego szwungu przy nocnych zdjęciach, że chociaż patrzyłem, jak temperatura spada z minus 25 stopni o północy do minus 29 nad ranem, to adrenalina i chęć do pracy ciągle rosły. Teraz jest oczywiście nieco lepiej, bo można przyłożyć sobie do kręgosłupa torebeczki z ciepłym węglem, włożyć bieliznę termoizolacyjną, a w ostateczności, starym sposobem, wałnąć setę.

KB: Jak w takim razie wytłumaczyć chęć pracy na planie wiekowych reżyserów, jak choćby nieodżałowanego Andrzeja Wajdy czy Woody'ego Allena?

FB: Reżyser to jedyny zawód, w którym bezkarnie można stworzyć świat. Co najwyżej komuś on się nie spodoba. To nie jest wygórowana cena za moc tworzenia świata i zapisania tej wizji na taśmie filmowej. Reżyseria to narkotyk. Dlatego Wajda ciągle chciał robić filmy, Jurek Skolimowski chce znowu kręcić, Woody Allen musi to robić niemal non stop. Ja też mam takie plany. Nam świat niefilmowy wydaje się dwuwymiarowy. To moja szczerza odpowiedź: kręcimy filmy z egoizmu.



Z Lechem Bator, młodym polskim malarzem, którego jelenie zawojowały świat, rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

W sztuce nie ma jednej dobrej odpowiedzi

Marzena Tataj: Pana atelier mieści się w przedwojennej kamienicy w sercu Warszawy. Wszędzie stąd blisko, ale zaparkować nie sposób.

Lech Bator: Zajmuję obecnie lokal, który w czasie wojny był wykorzystywany przez konspirację. Ma bowiem dwa oddzielne wyjścia na niezależne klatki schodowe, umożliwiające ucieczkę poprzez sieć połączonych podwórek. Ja jednak nie zamierzam stąd uciekać. Nie mam też kłopotów z parkowaniem, bo poruszam się na motocyklu, najszybszym środkiem komunikacji w zakorkowanym mieście.

MT: Od progu wita nas pies Bletka, a na ścianach – jelenie, tak charakterystyczne dla pana twórczości.

Lech Bator (ur. 1986 r.) – malarz, grafik. Projektuje i tworzy od najmłodszych lat. W 2010 r. ukończył projektowanie graficzne na Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie, kierowanej przez Franciszka Starowieyskiego i Antoniego Fałata. Początkowa fascynacja tradycyjnymi formami graficznymi, a także kolażem cyfrowym przerodziła się w trwały związek z malarstwem. W przypadku większości obrazów artysta ucieka od klasycznego i realistycznego malarstwa, zestawiając pozornie odległe elementy i tworząc graficzne kompozycje, kolaże malowane na płótnie. Reprezentuje wschodzące pokolenie malarzy, ale zdążył już wypracować własny, rozpoznawalny styl. Nadaje nowe znaczenie symbolom poprzez umieszczenie ich w intrygujących kontekstach. Dobrym przykładem może być przekorne potraktowanie kojarzącego się w malarstwie z kiczem tematu jelenia na rykowisku (seria obrazów „Nie na rykowisku”). Autor bawi się konwencjami, zwodzi i intryguje. Wprowadza nostalgię rodem z marzeń sennych.



© LECH BATOR (3)

Od lewej:
„Its not who u are”,
100 x 70 cm,
akryl na płótnie

„Puppet Master”,
150 x 77 cm,
akryl na płótnie

„Halo”,
130 x 90 cm,
akryl na płótnie



LB: Rok temu, po latach swobodnego, można rzec, artystycznego trybu życia, przeszedłem przemianę duchową – przestałem jeść mięso, wróciłem do sportu, przygarnąłem porzuconego psa. Miałem nawet taki okres, w którym wszystkich na siłę chciałem „nawracać” na wegetarianizm, wręcz zmuszać do zdrowego trybu życia. Ale kiedy spostrzegłem, że niektórzy zaczęli brać mnie za oszołoma, który przecież jeszcze wczoraj jadł burgera, dałem sobie z tym spokój. Każdy musi sam dojrzeć do swoich decyzji, które powinny wynikać z naturalnych potrzeb.

MT: Jak to się stało, że u pana zagościły jelenie?

LB: Wiedziałem, że nie uniknę tego pytania. (śmiech) Wielokrotnie znajomi namawiali mnie, abym wymyślił historię Pana Jelenia z moich obrazów właśnie na potrzeby rozmowy z dziennikarzem czy dociekliwym odbiorcą sztuki. Nawet chwilę o tym myślałem, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy; uznałem, że szczerść najbardziej popłaca. Zatem historia jest następująca: ukończyłem projektowanie graficzne i grafikę komputerową, zajmowałem się kolażami, kompozycją graficzną, przekształcaniem gotowych półproduktów. Moje prace powstawały na ekranie komputera, więc przez długi czas wydawało mi się, że nie muszę umieć malować. Przeglądając stare albumy i szukając w nich inspiracji, natrafiłem na zdjęcie głowy jelenia. Zastosowałem ją w kilku pracach, ustawiając w różnych miejscach i pod różnymi kątami. Raz wchodziła w kadr z góry, raz z boku. Spodobały mi się te głowy na tyle, że postanowiłem dorobić do nich całe postaci. W dzieciństwie widziałem u babci obraz z jeleniem na rykowisku, często wtedy

w domach ludzie mieli takie landszafty. Pomyślałem, że chętnie pobawię się tą konwencją i zrobię cykl „Nie na rykowisku”.

Malowałem już wcześniej postaci, ale jakoś nie miałem odwagi czy ochoty na malowanie im twarzy, bo ciągle pobrzmiwało mi w głowie pytanie, dlaczego u mnie w domu miałyby wisieć czyjaś twarz. Dlatego malowałem autoportrety albo postaci z zakrytymi twarzami, np. w kominiarce, czy choćby z zasłoniętymi oczami. I tak powstał mój bohater – Pan Jeleń, który okazał się na tyle uniwersalny i anonimowy, że łączył wiele znaczeń. Zyskał zaciekawienie ludzi i ich przychylność, bo każdy mógł snuć dywagacje, co widzi na obrazie. Z moim bohaterem jestem już około 10 lat, więc malowałem go w wielu sytuacjach, również damsko-męskich. Pracę nad obrazem zaczynam od stworzenia projektu na komputerze. Mam takich projektów jeszcze wiele, zupełnie niewyeksplorowanych, więc Pan Jeleń nie opuści mnie jeszcze przez długi czas. Tak myślę.

Kamil Broszko: Dlaczego przeszedł pan od projektowania graficznego do sztalgu i zamienił mysz komputera na pędzel?

LB: Zaczniemy od początku. Przyznam, że nigdy nie chciałem być artystą, choć... od zawsze nim byłem. Od dziecka godzinami rysowałem, w szkole lubiłem robić gazetki ścienne i pomagać kolegom na plastyce. Uczęszczałem też na różne dodatkowe zajęcia plastyczne. Mój tata był grafikiem, więc sztukę mam wpisana w kod genetyczny, ale początkowo planowałem życie biznesmena. Podobał mi się wizerunek gościa w garniturze, z teczką, w szklanym wieżowcu... Sam nie wiem, skąd mi się to wzięło.



Byłem już studentem Europejskiej Akademii Sztuk, gdy dowiedziałem się, że kilku moich znajomych z liceum pracuje w branży finansowej. Kiedy przy okazji jakiegoś spotkania okazało się, że kolega szuka ludzi do swojego zespołu, byłem wniebowzięty. Umówiliśmy się na rozmowę, chciałem spróbować swoich sił w zupełnie nowej dla mnie branży. Poszedłem na kilka szkoleń. To było to! Tak mi się przynajmniej wydawało. Mogłem ubrać się w garnitur i z teczką ruszyć do ludzi. Jednak nie osiągałem spodziewanych wyników w sprzedaży, bo zbyt klarownie wyjaśniałem potencjalnym klientom zawłóćki oferty i zwracałem uwagę na wszystkie „małe druczki”. Okazało się, że nie tak sprzedaje się produkty finansowe i pieniędzy z tego dla mnie nie będzie. Mimo to uważam, że nie był to czas stracony, bo jako młódzian nieśmiały i wycofany zafundowałem sobie terapię szokową – musiałem spotykać się z ludźmi i nauczyć się z nimi rozmawiać.

Jednocześnie cały czas rysowałem, malowałem – również w ramach zaliczeń na akademii – a wytworami swojej pracy twórczej obdarowywałem znajomych z okazji urodzin czy ślubów. Wtedy też zacząłem otrzymywać zapytania, czy można coś mojego kupić. Wstawiłem swoje plakaty do galerii i z zaskoczeniem zauważyłem, że zaczęły się sprzedawać. Zatem od sprzedawania kredytów przeszedłem do sprzedawania swoich prac. Wtedy zrozumiałem, że warto się nauczyć malować realistycznie, bardziej przedstawiająco, aby prace miały walor unikatowości, niepowtarzalności, a przez to zyskiwały wyższą cenę. Proces twórczy powstaje w mojej głowie i na ekranie komputera. Malowanie jest po prostu inną formą utrwalenia dzieła. Można je wydrukować,

można też namalować. Robiłem limitowane serie drukowanych plakatów w przystępnych cenach, produkowałem też koszulki z grafiką. Nie chcę popaść w megalomanię, ale czuję dobry odbiór moich prac, które są na tyle uniwersalne, że mogą się znaleźć zarówno na płótnie jako obraz, jak i na koszulce, torbie, kubku czy kalendarzu jako grafika. Cieszy mnie to. Na razie jednak skupiam się na malowaniu.

MT: Widzę obraz z magiczną jedenastką – motywem powtarzającym się w pana twórczości.

LB: Jedenastka to liczba mistrzowska, anielska, charakteryzująca nowy początek. Rok 2018 jest numerologicznie jedenastką, bo $2 + 0 + 1 + 8 = 11$. Nie od razu dotarła do mnie jej moc. Dopiero po czasie, analizując zdarzenia, zrozumiałem, że warto jej poświęcić cykl obrazów. Ale od początku. 11 sierpnia zeszłego roku skontaktowałem się ze mną prywatny kolekcjoner, rezydent Monako, i zaproponował zakup wszystkich moich prac. Pozbierałem zatem prace z galerii i innych przestrzeni publicznych oraz od znajomych i okazało się, że zgromadziłem ich 70. Zawiozłem je 11 grudnia do Monako. Okazało się, że kolekcjoner mieszka na 11. piętrze. Kiedy dotarłem do swojego hotelu, zostałem zameldowany w pokoju numer 11. Zacząłem zauważać prawidłowość, bowiem za dużo było tych jedenastek. Idąc za ciosem, postanowiłem zagrać w kasynie w ruletkę. Tylko raz i obstawiając niewielką kwotę pieniędzy. Oczywiście wypadła jedenastka. 11 stycznia tego roku – tym razem data była świadomie wybrana – pojechałem do St. Moritz, aby przygotować wystawę w Art Jed Gallery, gdzie właściciel, mili-

der, postanowił wystawić moje prace obok obrazów... Damiena Hirsta, jednego z najlepiej sprzedających się artystów na świecie.

KB: Jak pan trafił na kolekcjonera z Monako?

LB: Dzięki wynalazkowi technologicznemu o nazwie Tinder. Wirtualna znajoma, artystka mieszkająca obecnie w Peru, będąc w potrzebie finansowej, postanowiła zająć się sprzedażą moich obrazów. Pokazała je właśnie owemu kolekcjonerowi, który natychmiast się nimi zainteresował do tego stopnia, że chciał kupić wszystkie, jakie mam. I tak można powiedzieć, że dzięki jednemu kliknięciu na Tinderze sprzedałem 70 obrazów. Nie mogę narzekać na brak szczęścia w życiu, chociaż kilka razy prowokowałem los do granic ekstremalnych. Ale w przypadku moich obrazów uważam, że tak się musiało stać. Malowałem dużo, odbiór moich prac był dobry, więc sukces, również finansowy, był tylko kwestią czasu. Na szczęście trwało to krócej, niż zakładałem. Tworzę w Polsce i do tamtej chwili sprzedawałem głównie na polskim rynku, nie ze względów patriotycznych, ale po prostu nie miałem potrzeby szukać klientów gdzieś dalej. Choć wiedziałem, że odbiorcy zagraniczni są mną zainteresowani i już wcześniej kilka prac opuściło ojczyznę. Teraz mam świadomość, że warto skierować sprzedaż za granicę, bo rynek sztuki jest tam bardziej rozwinięty, a ludzie potrafią i mogą więcej płacić. Nie ukrywam, że moje imię i nazwisko też pomagają w sprzedaży. Wiele osób uważa, że jest to dobrany pseudonim, a ja się po prostu tak nazywam. Zatem na rynku sztuki wyróżniają mnie wpadające w pamięć nazwisko i rozpoznawalny, charakterystyczny bohater.

KB: Sukces zobowiązuje. Nie obawia się pan oczekiwań, aby każda następna praca była lepsza?

LB: Tego się nie obawiam, zdaję się na statystykę. Nadal dużo pracuję, jednego wieczora potrafię zrobić kilka projektów na komputerze. A gdy się dużo maluje, to siłą rzeczy kilka obrazów musi wyjść. Poza tym jestem coraz dojrzalszym twórcą, świadomym swoich przewag i niedostatków. Miałem kilka projektów, które na komputerze wyglądały świetnie, a na płótnie coś nie grało. Ale nie trzeba się zniechęcać, tylko dać sobie czas na ponowne przemyślenie i poszukanie rozwiązania. Nic mnie nie goni. Przecież to ja sam decyduję, kiedy obraz uznaję za skończony. Czasem do niektórych wracam i je poprawiam.

MT: Czy kiedyś Pan Jeleń zdejmie maskę?

LB: Nie, to nie jest Banksy!

MT: A co pan sądzi o happeningu Banksy'ego w Sotheby's, czyli samozniszczeniu obrazu „Dziewczynka z balonikiem” zaraz po jego zakupie na aukcji?

LB: Po pierwsze, nikt nie wie, kto to jest Banksy. Wielu uważa, że za tym pseudonimem może się kryć nawet grupa twórców. Nie wierzę też, że destrukcja obrazu była zaskoczeniem dla domu aukcyjnego

i kupującego. Ale niewątpliwie to świetny chwyt marketingowy. Znowo o Banksym mówi cały świat. Doceniam ten efekt, choć nie lubię sztucznego szumu wokół dzieła. Wolę, aby ono samo się broniło.

MT: Pana obrazy mówią?

LB: Dla jednych będą one po prostu graficzną kompozycją złożoną z różnych obiektów i kolorów, zaś dla innych – historią z przesłaniem. Na razie nie chcę się zajmować kontrowersyjnymi tematami typu polityka czy religia, bo uważam, że nie tędy droga do rozwiązania rzeczywistych problemów. Pokazanie ich na obrazie może co najwyżej wywołać chwilowy szum czy poruszenie. Jednak swoimi obrazami chcę zwrócić uwagę, że świat za bardzo goni za nowymi technologiami, nie szanując matki natury i nadmiernie ją eksploatując. Obraz pt. „Puppet Master” jest pierwszym, na którym w pełni świadomie chciałem opowiedzieć historię. Nad Panem Jeleniem zawiesiłem rękę, która wydaje się nim kierować. I oto pojawia się pytanie: czy ktoś nami kieruje, czy może my sami, choć pozornie wolni, wpadamy w pułapki i schematy, z których nie możemy wyjść, tracąc prawdziwą swobodę? A może to ja jako artysta mam władzę, aby kierować swoimi postaciami? Dyskusja została otwarta.

MT: Pan Jeleń jest zawsze elegancki. Jak biznesmen?

LB: Elegancko ubrany, ale nie jak biznesmen. Za to sąrenki są porozzbierane, zgodnie z archetypem pinup girl. Można nawet mi zarzucić, że propaguję kult samca i samicy czy kult ciała. Przewagą sztuki jest to, że nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Jest relacja między widzem a obrazem i tylko ona jest prawdziwa. Nawisem mówiąc, mam świadomość, że jeleń i sarna należą w świecie zwierząt do różnych gatunków. Na moich obrazach reprezentują jednak jeden gatunek – ludzki.

KB: Pańskie obrazy wiszą w galerii obok najdroższych obecnie prac Damiena Hirsta. Czy to ma wpływ na pańskie poczucie wartości?

LB: Galeria to nie jest przyjazne miejsce, aby obcować ze sztuką, bo ludzie krępują się wejść do pustej zazwyczaj sali, obawiają się, czy rozumieją, co autor miał na myśli, nie chcą być posądzeni o ignorancję. Wracając do pytania: kiedy parę lat temu zaczęła się dobrze rozwijać sprzedaż moich obrazów w Polsce i kilka miesięcznie znajdowało nabywcę, moje ego mocno, za mocno, urosło. Przyznam, że zachłysnąłem się tym sukcesem. Na szczęście szybko mi przeszło. Może dlatego, że w gruncie rzeczy jestem antysystemowy. Ale też jestem realistą. Żyję w tym świecie i dopóki nie jestem Hirstem czy Dalim – nie będę miał mocy sprawczej. Mogę coś zmieniać na małą skalę, np. adoptować psa czy wnieść po schodach zakupy sąsiadce. Czuję się odpowiedzialny za najbliższych, więc cieszę się, gdy ceny moich obrazów idą w górę, ale nie będę się ścigał. Jestem zadowolony, że robiąc to, co lubię, żyjąc z pasją, udaje mi się wkraczać na coraz wyższy poziom.



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Skazany na siatkę

O odporności psychicznej, graniu w barwach narodowych i o szacunku dla rywali z Bartoszem Kurkiem, najlepszym siatkarzem Europy, rozmawia Kamil Broszko.

Bartosz Kurek (ur. 29 sierpnia 1988 r. w Wałbrzychu) – polski siatkarz grający na pozycji atakującego i przyjmującego. Od 2007 r. reprezentant Polski. Mistrz Europy z 2009 r., olimpijczyk z Londynu i Rio de Janeiro. Złoty medalista mistrzostw świata z 2018 r., uznany za najbardziej wartościowego gracza tego turnieju. W 2018 r. zdobył tytuł najlepszego siatkarza Europy, przyznawany przez Europejską Konfederację Siatkówki.

Kamil Broszko: Podczas ostatnich mistrzostw świata komentatorzy zwracali uwagę, że wzrosła siła i odporność psychiczna całego polskiego zespołu. Czy z pana perspektywy takie komentarze to interpretacja dorobiona do wyniku?

Bartosz Kurek: Bardzo trudno oceniać siłę mentalną i odporność zespołu, nie będąc jego częścią. Komentatorzy mają to do siebie, że formułują opinie, opierając się na wynikach, które są pochodną wielu czynników – nie tylko siły mentalnej, ale przede wszystkim pracy i zaangażowania całego zespołu.

KB: Jak w ogóle odnosicie się do takiej wielości komentarzy, ocen, interpretacji?

BK: Zawodnicy są od grania, trenerzy – od trenowania, a komentatorzy – od komentowania. Każdy ma swoją pracę do wykonania i my jako sportowcy doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

KB: Skoro jesteście najlepsi, porozmawiajmy o słabszych. Którą drużynę darzy pan największym respektem?

BK: Do każdego zespołu mam szacunek i wiem, że zawsze muszę być gotowy grać na najwyższym poziomie, bo tylko tak można się rozwijać i podnosić poziom swojej gry.

KB: Stéphane Antiga, poproszony o komentarz do gry Polaków na ostatnich mistrzostwach, powiedział, że najpiękniejsza jest w tym wszystkim historia Bartosza Kurka. On pana zwolnił z kadry cztery lata temu. Jak pan dziś ocenia całą sytuację, włącznie z ostatnim komentarzem?

BK: Stéphane wygrał z reprezentacją Polski mistrzostwa świata, kiedy byliśmy gospodarzem imprezy, i za to należy mu się wielki szacunek. To on zaproponował mi zmianę pozycji i pomógł nauczyć się siatkówki tak naprawdę od nowa, więc nie widzę problemu. Wręcz przeciwnie – mam nadzieję, że będziemy mieli okazję jeszcze razem pracować.

KB: Siatkówka jest grą zespołową, jednak pan się wyróżnia i przez wielu postrzegany jest jako lider.

BK: Na ostatnich mistrzostwach świata pokazaliśmy, że najgroźniejszy i najmocniejszy jest zespół, w którym każdy zawodnik swoją dobrą grą wzbudza respekt przeciwnika. I niech tak zostanie. Poza kapitanem nie potrzeba nam więcej liderów.

KB: Nieraz podkreśla się, że Polacy są kompletnie pozbawieni umiejętności pracy zespołowej. A równocześnie dzięki wam wszyscy w kraju mogą szczycić się mistrzostwem świata w siatkówce, która wydaje się kwintesencją zespołowości.

BK: Osobiście nigdy nie spotkałem się z takim stwierdzeniem. Jeżeli bym się spotkał, to opierając się na własnym doświadczeniu, absolutnie bym zaprzeczył. Uważam, że dobrze potrafimy pracować w grupie.

KB: Skoro siatkarze o pracy zespołowej wiedzą wszystko, skoro potrafią być skuteczni, czy nie mogliby ruszyć w Polskę i nauczać, jak należy działać zespołowo i wygrywać?

BK: Wiemy, jak to robić na naszym poletku, jak się organizować w szatni czy na boisku. Zanim zacznie się komuś doradzać, wydawać opinie, kogoś uczyć, najpierw należy poznać jego problemy i środowisko pracy. Reasumując: nie czuję się na siłach, aby „ruszać w Polskę”.

KB: Jak się pan odnosi do kwestii budowania nowej kariery po przejściu na sportową emeryturę?

BK: To jest temat, z którym każdy musi się zmierzyć. I każdy musi podjąć indywidualną decyzję. Życzę moim kolegom i sobie również, byśmy to my decydowali, kiedy ta kariera się skończy, a nie decydowało o tym nasze zdrowie.

KB: Myślał pan kiedyś o wyborze innej drogi życiowej niż sport?

BK: Od zawsze wiedziałem, że siatkówka będzie moim sposobem na życie. Mój tata grał profesjonalnie, moja mama również trenowała, więc na siatkówkę byłem zwyczajnie skazany.

KB: Ma pan już sprecyzowane plany na przyszłość?

BK: Na razie koncentruję się na wyzwaniach sportowych i nie trwonię czasu oraz energii na wybieganie w daleką przyszłość.

KB: Kibicowanie polskiej reprezentacji łączy w sobie konteksty patriotyczne. Są biało-czerwone flagi, hymn państwowy itd. Czy pan swoją grę w kadrze narodowej interpretuje również w takich kategoriach?

BK: Gra w narodowych barwach to największe możliwe wyróżnienie dla sportowca – niech to posłuży za idealny komentarz do pana pytania. Jestem dumny, że dostałem tego zaszczytu, i cieszę się, jeżeli swoją grą mogę czasem wzbudzić w kibicach radość czy dumę z tego, że jesteśmy Polakami.

KB: Na koniec chciałbym poprosić o oficjalną interpretację pana tatuażu, jeżeli to nie jest zbyt osobiste pytanie...

BK: Bez komentarza. To tajemnica.

Niektóre szczyty można zdobyć tylko razem

Motywacja, bezkompromisowa siła woli, zaufanie w zespole, skuteczny lider. Choć wymienione czynniki sukcesu są dosyć oczywiste, droga do jego osiągnięcia nie przedstawia się już tak klarownie. Aby lepiej ją zrozumieć, poprosiliśmy, by o swoich doświadczeniach i wnioskach opowiedzieli nam siatkarscy mistrzowie. W rozmowie uczestniczyli: Jacek Sęk, wiceprezes Polskiego Związku Piłki Siatkowej; Ryszard Bosek, siatkarz i menedżer sportu, mistrz olimpijski z Montrealu z 1976 r.; Paweł Zagumny, siatkarz, mistrz Europy i mistrz świata; Marek Magiera, dziennikarz sportowy, komentator siatkarski.



Jacek Sęk, Ryszard Bosek, Paweł Zagumny, Marek Magiera

Artykuł jest zapisem debaty zrealizowanej w ramach Klubu „Teraz Polska”, który odbył się 22 października br. w Muzeum Sportu i Turystyki, mieszczącym się w siedzibie Polskiego Komitetu Olimpijskiego. W spotkaniu uczestniczyli laureaci Konkursu „Teraz Polska”, mistrzowie sportu, teoretycy biznesu i przyjaciele Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego. Taki dobór gości umożliwił wszechstronną wymianę wiedzy i inspiracji.

Marek Magiera: Jaka jest rola jednostki w drużynie i samej drużyny w osiągnięciu sukcesu sportowego? Jak zdobywa się mistrzostwo świata?

Ryszard Bosek: Przede wszystkim liczą się umiejętności indywidualne i drużynowe. Na pewno trzeba też mierzyć bardzo wysoko. Należy tak dobrać ludzi, aby mieli wspólny cel i potrafili jemu podporządkować pewien etap swojego życia. Mówię szczególnie o czasach, kiedy przygotowania do olimpiady trwały dwa-trzy miesiące. Dzisiaj realia są zupełnie inne. Równie ważne jak dobra selekcja są organizacja szkolenia i takie zaplanowanie działań, aby zawodnik miał poczucie, że jego wysiłek jest celowy.

MM: Czyli najważniejsi są ludzie – odpowiednio dobrani zawodnicy i odpowiednio skonstruowany sztab szkoleniowy. Dzisiaj mamy przyjemność rozmawiać z mistrzami świata. Ryszard Bosek to mistrz z 1974 r. i złoty olimpijczyk z 1976 r. Paweł Zagumny jest wicemistrzem świata z 2006 r., wtedy to mimo fantastycznej gry podczas turnieju w Japonii tytuł mistrzowski odpłynął nam po jedynej porażce z Brazylią 0:3. Za to cztery lata temu w katowickim Spodku wzięliśmy rewanż

na Brazylijczykach, wygrywając z nimi 3:1. I tutaj muszę powiedzieć, że szczególnie cieszę się ze spotkania z Pawłem, bo nie przypominam sobie, abym rozmawiał z nim na antenie telewizyjnej. A wynikało to wyłącznie z mojego strachu, szczególnie po przegranych meczach. Aby pokazać, jaki uszczypliwy wobec dziennikarzy potrafił być Paweł, przytoczę pewną anegdotę. Kiedyś wydawca transmisji podpuścił młodego dziennikarza, aby po meczu Polska – Chiny, gładko wygranym przez Polaków 3:0, ów dziennikarz zapytał Pawła, dlaczego niedokładnie wystawiał piłki. Początkujący reporter zadał pytanie w dobrej wierze. Na to Paweł zmroził go wzrokiem, kąśliwie rzucił: „Tylko to zapamiętałeś z meczu?” i odszedł. Dzisiaj Paweł jest z nami i mam nadzieję, że odpowie na moje pytania. Wracając do tytułów mistrzowskich, odnoszę wrażenie, że ty, Pawle, wicemistrzostwo i mistrzostwo świata traktujesz na równi. Mam rację?

Paweł Zagumny: Coś w tym jest. Mój pierwszy medal zdobyłem w Japonii po latach oczekiwania, dlatego był czymś wspaniałym. A medal z 2014 r. był ukoronowaniem mojej osobistej kariery. Obie drużyny, mimo wspólnych kilku zawodników, bardzo różniły się od siebie. Drużyna z 2006 r. jeszcze niczego nie osiągnęła, a medale widziała tylko w telewizji. Podobnie jak Ryszard w 1974 r., trenowaliśmy wspólnie na zgrupowaniu prawie trzy miesiące. Zaangażowaliśmy się całkowicie. W 2014 r. byliśmy już inną drużyną, doświadczoną, choć było kilku młodych zawodników, którzy po raz pierwszy stanęli na podium.

MM: Trzeba podkreślić, że na ostatnich czterech mistrzostwach świata zdobyliśmy trzy medale, w tym dwa złote,

raz za razem. To pokazuje, jak mocna jest nasza pozycja w światowej siatkówce. Taka rzecz udała się tylko Włochom w latach 90. i Brazylijczykom, którzy rządili na parkiecie przez 10 lat, do 2010 r. Myślę, że wiele zawdzięczamy Polskiemu Związkowi Piłki Siatkowej, który wypracował znakomity system szkolenia i selekcji. Mam nadzieję, że Jacek Sęk, wiceprezes PZPS, wyjawí nam tajemnicę, jak to się robi.

Jacek Sęk: Umówiliśmy się już z Brazylią na mistrzowski tie-break w 2022 r. *(śmiech)* W świecie siatkówki znana jest jeszcze jedna anegdota: puchar zdobyty przez Brazylijczyków w 2010 r. krążył po wielu brazylijskich miastach w ramach promocji mistrzostw, aż... zaginął. Tak więc Międzynarodowa Federacja Piłki Siatkowej musiała przygotować nowy puchar na turniej w Polsce w 2014 r. i od tej pory jest on w naszych rękach. Nie zamierzamy go łatwo oddać. A wracając do tematu tajemnicy sukcesu organizacyjnego – potwierdzam, że u nas również najważniejsze jest pozyskanie do pracy odpowiednich ludzi, pasjonatów sportu, którzy rozumieją potrzeby tej dyscypliny. Działamy według schematu piramidy, u podstawy której jest szkolenie młodzieży. Wspólnie z Ministerstwem Sportu i Turystyki wprowadziliśmy system siatkarskich ośrodków szkolnych, które pomagają przeprowadzać pierwsze etapy selekcji i wyłonić najzdolniejszą młodzież.

MM: Na promocję sportu, a siatkówki w szczególności, wielki wpływ ma sposób jej pokazania w telewizji. Tutaj wielki ukłon w stronę stacji Polsat Sport, która udowodniła całemu światu, że mecz siatkówki, odpowiednio pokazany, może być emocjonującym i widowiskowym wydarzeniem telewizyjnym. Ryszardzie, nie żałujesz, że wokół złotej drużyny Huberta Wagnera, której byłeś członkiem, nie było takiego medialnego szumu, jaki teraz towarzyszy polskim siatkarzom?

RB: Nie żałuję, bo zdaję sobie sprawę, że wtedy byliśmy na początku drogi i to my wytyczaliśmy nowe szlaki. Środki przekazu medialnego były wtedy inne, skromniejsze, ale popularność odczuwaliśmy podobną. Po powrocie z igrzysk olimpijskich na lotnisku witała nas orkiestra górnicza. A polska myśl szkoleniowa zawsze przodowała na świecie. W latach 70. nasza reprezentacja przygotowywała się do rozgrywek na obozach wspólnie z Amerykanami czy Brazylijczykami i to oni podpatrywali nasze metody szkoleniowe. Natomiast my nauczyliśmy się od nich organizacji. Obecnie jesteśmy w czołówce zarówno pod względem metod treningowych, jak i organizacji systemu szkoleniowego czy rozgrywek ligowych. To cieszy. Może warunki finansowe nie są jeszcze takie, jakich byśmy oczekiwali, ale są zdecydowanie lepsze niż w moich czasach.

MM: Nawiązując do metod szkoleniowych, które inni podpatrywali u nas. Kiedyś jechałem na mecz z trenerem Stani-

ławem Gościński, który zwrócił się do mnie: „Maniek, podaj mi komputer, jest w szafce”. Szukam komputera, ale go nie widzę. I gdyby trener nie wstał i sam nie wyciągnął... zeszytu w kratkę, linijki i ołówka, to szukałbym tego „komputera” chyba do dzisiaj. Trenerowi Gościńskowi wystarczył ołówek, aby rozrysować najbardziej skomplikowane sytuacje siatkarskie. A propos trenerów – Pawle, pracowałeś w reprezentacji z wieloma. Co możesz nam o nich powiedzieć?

PZ: Zaczniemy od pierwszego. Raúl Lozano – bardzo poukładany trener, zawsze wiedzieliśmy, co, kiedy i o której godzinie będziemy robić na treningu. Wzorowy pod względem merytorycznym i przygotowania do treningu, a także do życia pozaboiskowego. Dużą wagę przykładł do detali. Później nadszedł czas Daniela Castellaniego, który był całkowitym przeciwieństwem Lozano. Totalna swoboda, ale jako człowiek – szczery, serdeczny, z każdym zawodnikiem potrafił znaleźć wspólny język. Z kolei Andrea Anastasi był bardzo podobny do Raúla Lozano, aczkolwiek zbyt mocno schematyczny. Wszystko miał oczywiście dokładnie rozpisane, ale treningi były monotonne, a czasami po prostu nudne. Moim ostatnim trenerem był Stéphane Antiga, który imponował mi spokojem i przygotowaniem do meczu. Choć według mnie był za bardzo zapatrzoną w statystyki. Z obecnym trenerem reprezentacji Vitalem Heynenem nigdy nie pracowałem, widuję go tylko w telewizji. Myślę, że jakbym miał takiego trenera, tobym zwariował. Ale z pewnością ma swoje sposoby na zawodników i na szkolenie. A wyniki mówią same za siebie.

MM: Jacku, a jak Związkowi współpracuje się z Vitalem?

JS: Nie ukrywam, że to bardzo nieszablony trener i przed nawiązaniem współpracy mieliśmy pewne wątpliwości. On wymyka się standardom przyjętym w światowej siatkówce, gdzie wszystko jest niejako pod linijkę, zgodnie ze statystykami i wzorcami. Vital był bardzo dobrze przygotowany już do pierwszej rozmowy z zarządem o posadzie trenera kadry narodowej. Znał kilka słów po polsku i przyniósł medale ze słynnej belgijskiej czekolady. Zaczął je rozdawać zgromadzonemu w sali, ale nie przewidział, że oprócz członków zarządu na spotkaniu będą jeszcze członkowie komisji rewizyjnej. Skutek był taki, że dla prezesa Kasprzyka zabrakło medalu z czekolady. Vital jednak nie stracił rezonu i powiedział: „Tobie przywiozę medal olimpijski”. Sam się chyba nie spodziewał, że już w tym roku podaruje prezesowi złoty medal mistrzostw świata.

Zaufała mu federacja, ale przede wszystkim zaufała mu drużyna. Potrafił rozbudzić nowe pokłady charakteru w kapitanie drużyny Michał Kubiaku, uwierzył na nowo w Bartka Kurka i jemu samemu dodał wiary we własne siły. Poza tym polska siatkówka posiada bogate zaplecze – mamy przecież mistrzów świata kadetów i juniorów, a asystenci Vitala to trenerzy polskich zespołów. Głęboko wierzymy, że kiedyś Polak obejmie ster naszej reprezentacji.

Polacy stulecia

Sto lat temu Polska odzyskała niepodległość. Pamięć tamtych wydarzeń promowana jest w kraju przez cały bieżący rok.

Najpopularniejszy sposób mówienia o historii to ukazywanie jej poprzez ludzi – bohaterów przeszłości. Jako Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego i kwartalnik „Teraz Polska” chcielibyśmy się włączyć w ten nurt.

Poprosiliśmy uczonych i ekspertów związanych z naszym tytułem o wskazanie najważniejszych ludzi minionego stulecia.

W rezultacie przedstawiamy paletę niezwykłych postaci, nie tylko bezpośrednio zaangażowanych w odzyskanie wolności, ale też tych, które miały największy wpływ na Polskę i Polaków.

POLITYKA

Ignacy Jan Paderewski

(ur. 1860 r. w Kuryłówce, zm. 1941 r. w Nowym Jorku) – pianista, kompozytor, działacz niepodległościowy, mąż stanu i polityk. Dzięki jego staraniom amerykański prezydent Woodrow Wilson umieścił w swoim ultimatum uzależniającym podpisanie przez Stany Zjednoczone traktatu wersalskiego 13. punkt domagający się zgody stron traktatu na tworzenie niepodległego państwa polskiego. Od 1919 r. sprawował funkcje premiera i ministra spraw zagranicznych RP. Odznaczony Orderem Orła Białego, francuskim Krzyżem Wielkim Legii Honorowej oraz tytułem Rycerza Wielkiego Krzyża Orderu Imperium Brytyjskiego.



Każdy człowiek powinien zdawać sobie sprawę z faktu, że dobre i trwałe wyniki osiągnąć można jedynie drogą krótkich, lecz ciągłych, codziennych wysiłków. Jednorazowy wysiłek jest kompletnie jałowy. Prawdziwą umiejętność zarówno w nauce i w sztuce, jak i w każdych innych zajęciach zdobyć można tylko codzienną pracą i codziennym wysiłkiem. I to jest bezwzględnie pewne.

(Ignacy Jan Paderewski, „Pamiętniki”,
Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1986)

Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabroniono nam Chopina. A jednak w Chopinie tkwi wszystko, czego nam wzbraniano: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń.

(Ignacy Jan Paderewski, „O Szopenie. Mowa wygłoszona na obchodzie szopenowskim w filharmonii dnia 23 października 1910”, Lwów 1911)

Józef Piłsudski

przydomki: Komendant, Dziekan, Marszałek oraz Ziuk (ur. 1867 r. w Żuławie, zm. 1935 r. w Warszawie) – działacz społeczny i niepodległościowy, żołnierz, polityk, mąż stanu. Od 1892 r. członek Polskiej Partii Socjalistycznej i jej przywódca w kraju, twórca Organizacji Bojowej PPS (1904) i Polskiej Organizacji Wojskowej (1914), kierownik Komisji Wojskowej i Tymczasowej Rady Stanu (1917). Od 11 listopada 1918 r. naczelny wódz, w latach 1918–1922 naczelnik państwa, pierwszy marszałek Polski (1920); przywódca obozu sanacji po przewrocie majowym (1926), dwukrotny premier Polski (1926–1928 i 1930). Wywarł decydujący wpływ na kształt polityki wewnętrznej i zagranicznej II RP.



© NAC (2)

Jedynie czyn ma znaczenie. Najlepsze chęci pozostają bez skutku, o ile nie pociągają za sobą następstw praktycznych.

(Józef Piłsudski do korespondenta „Le Petit Journal”, 1919 r.)

Jednym z przekleństw naszego życia, jednym z przekleństw naszego budownictwa państwowego jest to, żeśmy się podzielili na kilka rodzajów Polaków, że mówimy jednym polskim językiem, a inaczej nawet słowa polskie rozumiemy, żeśmy wychowali wśród siebie Polaków różnych gatunków, Polaków z trudnością się porozumiewających, Polaków tak przyzwyczajonych do życia według obcych szablonów, według obcych narzuconych sposobów życia i metod postępowania, żeśmy prawie za swoje je uznali, że wyrzec się ich z trudnością możemy. [...] czeka nas pod tym względem wielki wysiłek, na który my wszyscy, nowoczesne pokolenie, zdobyć się musimy, jeżeli chcemy zabezpieczyć następnym pokoleniom łatwe życie, jeżeli chcemy obrócić tak daleko koło historii, aby wielka Rzeczpospolita Polska była największą potęgą nie tylko wojenną, lecz także kulturalną na całym wschodzie.

(Józef Piłsudski podczas przemówienia w Lublinie, 11 stycznia 1920 r.)

Naród, który traci pamięć, przestaje być Narodem – staje się jedynie zbiorem ludzi, czasowo zajmujących dane terytorium.

(„Józef Piłsudski. Myśli i wypowiedzi”, wyd. MG, Warszawa 2010)

GOSPODARKA

Eugeniusz Kwiatkowski

(ur. 1888 r. w Krakowie, zm. 1974 r. tamże) – polski chemik, wicepremier, minister przemysłu i handlu (1926–1930), minister skarbu (1935–1939) II Rzeczypospolitej. Kierował opracowaniem czteroletniego planu inwestycyjnego przewidującego rozbudowę infrastruktury, zwiększenie potencjału obronnego kraju, przygotowanie fundamentów dla przyszłej rozbudowy przemysłu, łącznie z aktywizacją Staropolskiego Okręgu Przemysłowego. Zainicjował budowę portu i miasta w Gdyni. Znacznie przyczynił się do powstania Stalowej Woli. Wniósł wielki wkład w rozwój polskiego przemysłu chemicznego: zakładów azotowych w Chorzowie i Tarnowie. Kawaler Orderu Orła Białego, nadanego pośmiertnie w 1996 r.



© NAC (4)

W tym bowiem miejscu Europy, gdzie leży Polska, istnieć może tylko państwo silne, rządne, świadome swych trudności i swego celu, wolne, rozwijające bujnie indywidualne wartości każdego człowieka, a więc demokratyczne, zwarte i zorganizowane, solidarne i silne wewnętrznie, budzące szacunek na zewnątrz, przeniknięte walorami kultury i cywilizacji, państwo nowoczesne, zachodnie, mnożące w wyścigu pracy własne wartości materialne i moralne. Czy możemy wahać się, stojąc u drogowaskazu, gdzie pójść?

(Eugeniusz Kwiatkowski)

Przeszedł Kwiatkowski do historii jako twórca Gdyni, ale określenie to znacznie zawęża jego rolę. Polegała ona na ocaleniu i umocnieniu niezależności gospodarczej, bez której Polska nie mogła się ostać jako niepodległe państwo.

(Jan Nowak-Jeziorański, przyjaciel rodziny)

KULTURA



Andrzej Wajda

(ur. 1926 r. w Suwałkach, zm. 2016 r. w Warszawie) – reżyser filmowy i teatralny, w młodości również malarz. W sezonie 1989/1990 dyrektor artystyczny Teatru Powszechnego w Warszawie. W latach 1989–1991 senator RP. Kawaler Orderu Orła Białego. Popularność przyniosły mu filmy inicjujące tzw. polską szkołę filmową: „Kanał” oraz „Popiół i diament”, w których dokonywał rozrachunku z czasami II wojny światowej. Dokonał ekranizacji wielu dzieł literackich („Popioły”, „Brzezina”, „Wesele”, „Ziemia obiecana”, „Panny z Wilka” i „Pan Tadeusz”). Współtworzył kino moralnego niepokoju („Człowiek z marmuru”, „Człowiek z żelaza”, nagrodzony Złotą Palmą w Cannes). Do ostatnich dokonań artysty należą: „Katyń”, „Tatarak”, „Wałęsa. Człowiek z nadziei” oraz „Powidoki”. Wajda zainicjował działalność Zespołu Filmowego X (1972–1983), Mistrzowskiej Szkoły Reżyserii Filmowej (2001 r.) oraz autorskiego studia filmowego. Wystawiał także sztuki w najważniejszych teatrach w Polsce i za granicą. Jego twórczość nawiązywała do polskiego symbolizmu i romantyzmu,

była próbą rozrachunku z mitami polskiej świadomości narodowej. Za zasługi dla rozwoju kinematografii był wielokrotnie nagradzany, a w 2000 r. otrzymał Nagrodę Akademii Filmowej za całokształt twórczości. Odbierając Oscara, powiedział: „Będę mówił po polsku, bo chcę powiedzieć to, co myślę, a myślę zawsze po polsku”.

Znany i ceniony na całym świecie reżyser, twórca filmów odkrywających nas samych przed sobą i innymi.

(Aleksander Kwaśniewski)

Bardzo chciałbym zrobić film o dzisiejszej Polsce, ale nadal szukam dobrego scenariusza, który poruszyłby moją wyobraźnię i dał gwarancję, że prawda przebieje się z ekranu. Siła polskiej szkoły filmowej lat 50. i 60. polegała na tym, że mogliśmy bazować na literaturze. Przeżyliśmy wojnę, ale mieliśmy świadomość, że odważniejsi i lepsi od nas zginęli. Naszym obowiązkiem było mówić głosem zmarłych. Dlatego musieliśmy rozprawić się z wojną, opowiedzieć o niej, czasem brutalnie i gwałtownie, czym zwróciliśmy uwagę Zachodu. Teraz potrzeba nam filmu o przemianach, jakie przeżywał nasz naród w ostatnim 25-leciu.

(Andrzej Wajda dla kwartalnika „Teraz Polska”, 2014 r.)

Czesław Miłosz

(ur. 1911 r. Szetejniach, zm. 2004 r. w Krakowie) – poeta, prozaik, eseista, historyk literatury, tłumacz, dyplomata. W latach 1951–1993 przebywał na emigracji, do 1960 r. we Francji, następnie w Stanach Zjednoczonych. W Polsce do 1980 r. obłożony cenzurą. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1980). Profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i Uniwersytetu Harvarda. Przed II wojną światową Miłosz był poetą katastroficznym, uderzającym w ton wizyjny stylizacją na wzór starotestamentowych proroków. Po wojnie jego poezja stała się bardziej intelektualna; wiązała się z ambicjami odbudowania trwałych wartości europejskiej kultury, sumienia i wiary. Literaturę pojmował wówczas jako drogę do ocalenia po klęsce poczucia człowieczeństwa. W latach 70. zaczęła w niej dominować tematyka religijna i kontemplacyjna. Jego książki zostały przetłumaczone na 44 języki.

Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.

(C. Miłosz, „Traktat moralny”, Waszyngton 1947)

Pośród żarcików, anegdotek,
Szlachecki wspominając miodek,
Chyli się Polska w trudne czasy
Przed bóstwem wódki i kiełbasy.

(C. Miłosz, „Traktat moralny”, Waszyngton 1947)

Wiedzieć i nie mówić: tak się zapomina.
Co jest wymówione, wzmacnia się.
Co nie jest wymówione, zmierza do nieistnienia.

(C. Miłosz, „Czytając japońskiego poetę Issa”, 1982)

NAUKA

Maria Skłodowska-Curie

(ur. 1867 r. w Warszawie, zm. 1934 r. w Passy) – fizyczka i chemiczka, dwukrotna laureatka Nagrody Nobla (1903, 1911). W 1891 r. Maria Skłodowska wyjechała z Królestwa Polskiego do Paryża, by podjąć studia na Sorbonie (w XIX w. kobiety nie mogły studiować na ziemiach polskich); następnie rozwinęła tam karierę naukową. Była prekursorką radiochemii. Do jej dokonań należą: rozwinięcie teorii promieniotwórczości, technik rozdzielania izotopów promieniotwórczych oraz odkrycie dwóch nowych pierwiastków – radu i polonu. Z jej inicjatywy prowadzono także badania nad leczeniem raka za pomocą promieniotwórczości.

Nagrodę Nobla zdobyła dwukrotnie: w 1903 r. w dziedzinie fizyki (wraz z mężem Pierre’em Curie i Henrim Becquerellem, za badania nad odkrytym przez Becquerela zjawiskiem promieniotwórczości), zaś w 1911 r. w dziedzinie chemii (za odkrycie polonu i radu, wydzielanie czystego radu i badanie właściwości chemicznych pierwiastków promieniotwórczych). Jest jedną z czterech osób, które otrzymały Nagrodę Nobla więcej niż raz, i jedną z dwóch osób, które otrzymały ją w różnych dyscyplinach. Maria Skłodowska-Curie twierdziła: „Rad nie powinien wzbogacić nikogo. Należy do wszystkich ludzi”. Jest pierwszą kobietą, która spoczęła w paryskim Panteonie. Z mężem Pierre’em Curie miała dwie córki: Ève Curie i Irène Joliot-Curie. Albert Einstein mówił o niej: „Pani Curie jest – z wszystkich ludzi na świecie – jedynym niezaprzeczalnym przez sławę człowiekiem”.

Ja zaś myślę, że w każdej epoce można mieć życie interesujące i użyteczne, a o to głównie chodzi, aby go nie zmarnować i móc sobie powiedzieć, jak Jean-Christophe (autor Romain Rolland): „Jak tylko mogłem”.

(List do siostrzenicy Hanny Szalayówny, 6 stycznia 1913 r., cyt. za:

Ève Curie, „Maria Curie”)

Biogramy opracowano na podstawie Wikipedii.

SPORT

Irena Szewińska

właśc. Irena Kirszenstein-Szewińska (ur. 1946 r. w Leningradzie, zm. 2018 r. w Warszawie) – lekkoatletka specjalizująca się w biegach sprinterskich i skoku w dal. Po zakończeniu kariery działaczka krajowych i międzynarodowych organizacji sportowych. Dama Orderu Orła Białego. Siedmiokrotna medalistka igrzysk olimpijskich (3 medale złote, 2 srebrne i 2 brązowe) oraz wielokrotna medalistka mistrzostw Europy (10 medali na otwartym stadionie i 3 w hali). W latach 1965–1979 zdobyła 24 medale mistrzostw Polski w biegach na 100, 200 i 400 metrów, w sztafecie 4 × 100 metrów oraz w skoku w dal. Czterokrotnie była wybierana na najlepszego sportowca Polski w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. W 1974 r. agencja prasowa United Press International wybrała ją najlepszą sportsmenką na świecie.

Zdominowała na wiele lat kobiecą lekkoatletykę. Biegaczka, która wyprzedziła pokolenia. Pierwsza dama światowego sportu kobiet.

(Andrzej Person)



© POLSKI KOMITET OLIMPIJSKI

i poliglota, a także aktor, dramaturg i pedagog. Filozof historii, fenomenolog, mistyk i przedstawiciel personalizmu chrześcijańskiego. Był jednym z najbardziej wpływowych przywódców XX w. Jego wybór na papieża miał szczególny wpływ na wydarzenia w Europie Wschodniej i w Azji w latach 80. i 90. XX w. Przyczynił się do poprawienia relacji Kościoła katolickiego z judaizmem, islamem, z Kościołem prawosławnym oraz Wspólnotą Anglikańską. W trakcie pontyfikatu odwiedził 129 krajów oraz wyniósł na ołtarze więcej osób niż wszyscy jego poprzednicy w okresie poprzednich pięciu wieków. Zmarł 2 kwietnia 2005 r. W ceremonii pogrzebowej uczestniczyły delegacje z ponad 150 państw, a w Polsce ogłoszona została sześciodniowa żałoba narodowa. Miesiąc po pogrzebie rozpoczął się proces beatyfikacyjny Jana Pawła II (zakończony 1 maja 2011 r.). 27 kwietnia 2014 r. odbyła się wspólna kanonizacja Jana XXIII i Jana Pawła II.

Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest; nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi.

(Jan Paweł II, przemówienie do mieszkańców Tondo, dzielnicy slumsów; Manila, 18 lutego 1981 r.)

Człowiek nie jest tylko sprawcą swoich czynów, ale przez te czyny jest zarazem w jakiś sposób twórcą siebie samego.

(Jan Paweł II, homilia wygłoszona podczas mszy św. na pl. Zwycięstwa; Warszawa, 2 czerwca 1979 r.)

OSOBOWOŚĆ

Jan Paweł II

Karol Józef Wojtyła (ur. 1920 r. w Wadowicach, zm. 2005 r. w Watykanie) – biskup pomocniczy krakowski (1958–1964), arcybiskup metropolita krakowski (1964–1978), kardynał (1967–1978), zastępca przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski (1969–1978), 264. papież i 6. Suweren Państwa Watykańskiego (od 16 października 1978 r. do 2 kwietnia 2005 r.), święty Kościoła katolickiego. Poeta



© NAC

Na gruzach II wojny światowej zaczęto wznosić gmach Europy zjednoczonej, a ci, którzy byli pierwszymi budowniczymi tego gmachu, nawiązywali zdecydowanie do chrześcijańskich korzeni europejskiej kultury. My Polacy nie mogliśmy uczestniczyć bezpośrednio w tym procesie odbudowy Europy, który został podjęty na Zachodzie. Znaleźliśmy się, jako alianci zwycięskiej koalicji, „w sytuacji pokonanych”, którym narzucono na czterdzieści kilka lat dominację ze Wschodu, w ramach bloku sowieckiego. Tak więc dla nas walka nie skończyła się w roku 1945. Do wspomnienia o zwycięstwie pod Monte Cassino trzeba więc dołączyć dzisiaj „prawdę o wszystkich Polakach i Polkach”, którzy w rzekomo własnym państwie „stali się ofiarami totalitarnego systemu” i którzy na własnej ziemi oddali życie za tę samą sprawę, za którą oddawali życie Polacy w roku 1939, potem podczas całej okupacji i wreszcie pod Monte Cassino oraz w Powstaniu Warszawskim. Trzeba wspomnieć wszystkich zamordowanych rękami także polskich instytucji i służb bezpieczeństwa, pozostających na usługach systemu przyniesionego ze Wschodu. Trzeba ich przynajmniej przypomnieć przed Bogiem i przed historią, ażeby „nie zamazywać prawdy o naszej przeszłości” w tym decydującym momencie dziejów.

(Jan Paweł II, wypowiedź z 18 maja 1994 r.; cyt. za: „Tragizm i sens powstania warszawskiego”; pod red. Janusza Kuczyńskiego, Józefa L. Krakowiaka; Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2006)



Firma Dary Natury Mirosława Angielczyka otrzymała tytuł Promotora Polskiej Gospodarki.

Ziołowy Zakątek

© DARY NATURY

Biznes z natury



O pracy zbieraczy i sprzedawaniu ziół, tworzeniu marki globalnej i o tym, że najlepiej prowadzić firmę w miejscu, z którego się pochodzi, z Mirosławem Angielczykiem rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Siedziba pana firmy znajduje się wśród nieskażonych cywilizacją łąk i lasów Białostockich. To piękne tereny, które wielu ludziom pracującym w biurach czy w fabrykach kojarzą się raczej z odpoczynkiem niż ciężką pracą. Czy ma pan lżej niż inni prowadzący biznes?

Mirosław Angielczyk: Podejrzewam, że dla mnie praca jest mniej męcząca niż dla wielu innych ludzi, choć nie jest oczywiście odpoczynkiem, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę wielkość firmy. Natomiast ja nie chcę od pracy uciekać, właściwie nawet odwrotnie: gdy muszę wyjechać, służbowo czy też na urlop, jest to dla mnie okres trudny. Moja praca polega głównie na kontakcie z ludźmi, zarówno miejscowymi rolnikami i dostawcami, jak też przyrodnikami i naukowcami. Właśnie ze względu na ową różnorodność jest ona dla mnie bardzo ciekawa. Naszymi dostawcami cały czas w dość dużym stopniu są zbieracze ziół. W niewielu miejscach w Polsce zbieractwo jest prowadzone na tak dużą skalę, jak w naszym regionie. Wynika to oczywiście z istnienia naszej firmy, ale też kilku innych, które skupują

ziola. W całym województwie podlaskim tego typu działalnością zajmuje się około 2 tys. osób, które traktują zbieractwo jako główne zajęcie. Często są to ludzie starsi, emeryci. Nie tylko kupujemy od nich surowiec, ale też rozmawiamy z nimi, dowiadujemy się, co na temat ziół pamiętają z młodości. Na tej podstawie tworzymy produkty. Kontakt z tymi ludźmi jest ciekawy i inspirujący.

KB: Zbieranie ziół kojarzy się z pełnią lata. Czy sezonowość jest cechą branży zielarskiej?

MA: Dostawcy surowców ze stanu naturalnego mają około trzech miesięcy odpoczynku, w zależności od długości i intensywności zimy. Praca związana ze zbieraniem ziół ustaje, gdy zamarza ziemia, i zaczyna się ponownie wiosną, najczęściej w drugiej połowie marca. Ten okres przerwy jest wykorzystywany na przykład na robienie półek do suszenia, magazynowania. W firmie praca trwa przez cały rok. W okresie letnim jesteśmy skupieni na zaopatrywaniu się w surowce, a od jesieni do wiosny trwa

sezon sprzedaży naszych zbiorów. Pracownicy często zmieniają stanowiska i miejsca pracy, natomiast wszyscy tę pracę mamy. Chciałbym jeszcze podkreślić, że osoby związane ze zbieraniem ziół inaczej postrzegają pory roku – wyznacza je kwitnienie bzu czarnego, kwitnienie głogu, kwitnienie lipy itd.

KB: Mówi pan o zbieraniu ziół jako o czymś niemal powszechnym na pana terenach.

MA: Mało kto wie, że Polska jest światową potęgą w dziedzinie dostarczania surowców zielarskich i uprawy ziół. Plasujemy się na piątym miejscu na świecie pod względem zbioru ziół ze stanu naturalnego. Dla wielu osób jest to bardzo zaskakująca informacja. To właśnie nasz rejon Podlasia dostarcza około 50 proc. zbiorów ze stanu naturalnego w skali kraju.

KB: Czy dziś, w dobie konsumpcjonizmu, wszechobecnych sztucznych komponentów w żywności i chemii stosowanej w uprawach, postrzega pan swoją działalność w kategoriach wyjątkowości, elitarności?

MA: Produkcja ziół kojarzy się z ekologią, zaś kupują je ludzie poszukujący rzeczy zdrowych. Trzeba też podkreślić, że większość uprawianych surowców zielarskich powstaje w gospodarstwach ekologicznych. Obecnie takie są wymogi. Niestety, wraz z wyludnianiem się wsi jest coraz mniej zbieraczy ziół. Kolejne gatunki, które dotychczas pozyskiwaliśmy ze stanu naturalnego, musimy wprowadzać do uprawy. Cóż, nie ma alternatywy: albo te surowce będziemy uprawiać, albo w ogóle ich nie będzie. Do niedawna nie wyobrażaliśmy sobie uprawiania takich ziół, jak pokrzywa, skrzyp polny czy krwawnik. Jednak zapotrzebowanie na surowce zielarskie jest tak ogromne, że nie mamy innego wyjścia. Nawet gdy zioła wzrastają nie w gospodarstwach ekologicznych, a konwencjonalnych, czyli stosujących normalną ochronę czy nawożenie, jako konsumenci nie spożywamy tych ziół w tak dużych ilościach, żeby miały nam zaszkodzić. Powinniśmy zwracać szczególną uwagę na to, co stanowi podstawę naszej diety, np. zboża, ziemniaki itp. Natomiast wracając do pytania – myślę, że osoby zajmujące się ziołami kojarzą się z posiadaniem większej wiedzy rolniczej, więc mogą się czuć grupą troszeczkę wyróżnioną. Kiedy przyjeżdżają do nas goście, zachęcam ich do rozmowy ze zbieraczami. Jest to duże przeżycie – spotkanie z człowiekiem, który od rana do wieczora, od wiosny do jesieni zajmuje się pozyskiwaniem ziół.

KB: Czy dla pana firmy eksport jest istotnym kierunkiem działania i rozwoju?

Plasujemy się na piątym miejscu na świecie pod względem zbioru ziół ze stanu naturalnego. Dla wielu osób jest to bardzo zaskakująca informacja.

MA: Eksport jest dla nas bardzo ważny. Jako firma dostarczająca zioła zajmujemy ważne miejsce na polskim rynku. Sprzedajemy je w wielu sklepach, w sieciach, punktach ze zdrową żywnością. Jednak rynek krajowy ma ograniczoną chłonność. Polska jest krajem, który ma ustaloną renomę, jeśli chodzi o sprzedaż surowców. Gdy jesteśmy na targach zagranicznych, wszyscy o nie pytają. Trudniej natomiast sprzedać na rynkach zagranicznych produkt gotowy. A my postanowiliśmy, że nie będziemy sprzedawać produktów nieprzetworzonych, tylko właśnie gotowe, aby osiągać większy zysk. W tej chwili firmy amerykańskie, brytyjskie czy duńskie kupują od nas produkty pod marką Dary Natury. I tak powoli próbujemy tę markę budować.

KB: Jakie są najistotniejsze kierunki obecnego i przyszłego eksportu? Wspomniał pan kiedyś o USA i Chinach – czy dlatego, że są to kierunki egzotyczne i spektakularne, czy też ze względu na wysokość eksportu do tych krajów?

MA: Najwięcej sprzedajemy do Stanów Zjednoczonych – jakieś 60 proc. naszego ogólnego eksportu. Chiny to kierunek szczególnie wymagający. Bardzo trudno sprzedać herbatę ziołową do Chin. Starał się o to przez dwa lata. Niedawno wystaliśmy jedną partię i niedługo później zgłosili się do nas przedstawiciele trzech kolejnych firm zainteresowanych sprzedażami naszych ziół w Chinach. Wiążemy z tym krajem duże nadzieje. Myślę, że w niedalekiej przyszłości będzie to nasz główny kierunek sprzedaży. O dziwo, bardzo dobrze rozwija się nasz eksport do Rosji. W dużych miastach, gdzie jest wysoki poziom życia, istnieje duży popyt na droższe produkty z unijnym certyfikatem bio. Symbol listka oznaczający produkt ekologiczny jest w Rosji rozpoznawalny i przyciąga uwagę konsumentów. Każdy kolejny transport naszych produktów na rynek rosyjski jest o 50 proc. większy od poprzedniego. Zatem ten kierunek eksportu dobrze rokuje.

KB: Wiem, że rozszerzył pan swój biznes o inne obszary, jednak nadal związane z ziołami. Nie tylko pan je sprzedaje, ale proponuje ludziom swoiste celebrowanie ziół i przyrody, przebywanie w jej otoczeniu i poznawanie. Czy te działania wynikają z potrzeby spełnienia marzeń, czy znajdują podstawę w twardej strategii, na przykład wynikają z chęci zdywersyfikowania biznesu?

MA: Wszystkie wymienione przez pana elementy mają znaczenie. Jednak chęć realizacji moich marzeń miała pierwszeństwo. Zawsze marzyłem o posiadaniu hobbystycznego ogrodu zie-

larskiego. Po czterech latach istnienia przekształcił się w ogród botaniczny – obecnie jest to największa kolekcja ziół w Europie. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że ten projekt ma sens biznesowy. Osoby odwiedzające to miejsce, a w tym roku było ich około 70 tys., stają się naszymi ambasadorami w Polsce; widzą, jak produkuje się zioła i z jakiego miejsca pochodzą. Jesteśmy bardzo pozytywnie postrzegani, co ma wielkie znaczenie. Poza tym w naszej kolekcji prezentujemy rośliny, które rosną dziko. Dzięki temu możemy szkolić naszych zbieraczy, aby nie szkodzili przyrodzie, zaś ziół, z których korzystamy, nie ubywało, tylko przybywało. W naszych zasobach znajduje się około stu gatunków roślin zagrożonych i równocześnie chronionych – je również staramy się pokazywać. Działania popularyzatorskie nie mają charakteru komercyjnego, po prostu pewien procent przychodów z przetwórstwa ziół przeznaczamy na wspomniany ogród. Mam jednak wrażenie, że jest to bardzo pozytywnie odbierane przez naszych klientów.

KB: Chciałbym na chwilę wrócić do ludzi. Trwają rozmaite dyskusje na temat przyszłości pracy. Zdaniem części teoretyków nie starczy jej dla wszystkich, zaś prostsze czynności – a niekiedy też bardziej skomplikowane – będą wykonywane przez maszyny. Już dziś wielu przedsiębiorców, wprowadzając automatyzację, redukuje miejsca pracy. Tymczasem pan postępuje odwrotnie: rezygnuje z automatyzacji, ponosząc wyższe koszty w celu utrzymania zatrudnienia. Czy to ekstrawagancja, na którą mogą sobie pozwolić tylko przedsiębiorstwa osiągające duże zyski, czy pana świadomy program biznesowy? A może nawet etyczny?

MA: W moim przypadku szczególnie istotne jest, że pracuję w miejscu, w którym się urodziłem i w którym mieszkali moi rodzice i dziadkowie. Jestem tu bardzo zakorzeniony. Pierwszymi osobami pracującymi w mojej firmie byli sąsiedzi. Teraz ludzie dojeżdżają do niej nawet 50 kilometrów. Kiedy przyjmuję kogoś do pracy, w momencie podpisania umowy próbuję mu uświadomić, że jest odpowiedzialny za to, co robi, za dobre postrzeganie firmy. Równocześnie jednak staję się odpowiedzialny za pracownika. Jeżeli strasznie napsoci, to wtedy możemy się pożegnać, ale w przeciwnym razie zrobię wszystko, żeby każdy z moich pracowników pracę miał, niezależnie od pory roku czy popytu na produkty. Mnie jest dużo łatwiej niż innym przedsiębiorcom, bo prowadzę działalność dość różnorodną, więc mogę znajdować pracownikom różne zajęcia. Natomiast nie wyobrażam sobie, że mógłbym kogoś zwolnić z powodu zakupu maszyny. Po prostu wcześniej przygotowuję nowe stanowisko i przenoszę na nie pracownika, co zresztą jest bardzo łatwe, dlatego że zajmowanie się ziołami jest pracochłonne, poza tym ręczne pakowanie ziół jest preferowane przez konsumentów. To mi pomaga zachować pewność siebie, gdy mówię, że dla pracownika zawsze znajdę



Mirosław Angielczyk

– twórca i właściciel firmy zielarskiej Dary Natury, a także Ziołowego Zakątka i Podlaskiego Ogródu Ziołowego (ogrodu botanicznego). Obronił doktorat w warszawskiej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w zakresie botaniki zielarskiej.

pracę. W tej chwili unowocześniamy zakład i cały czas przyjmujemy nowych ludzi. Korzystamy na dużą skalę ze środków unijnych i innych funduszy. Na szczęście udaje nam się nie tyle nie zwalniać pracowników, co zatrudniać nowych, a jednocześnie wdrażać maszyny do produkcji.

KB: Od niedawna w centrum Warszawy można trafić na Dary Natury w inny sposób niż dotychczas – poprzez odwiedziny w oryginalnym lokalu na ul. Marszałkowskiej, tuż przy placu Zbawiciela.

MA: Szukaliśmy tego miejsca przez kilka miesięcy. Wiadomo, że w takiej lokalizacji trudno osiągnąć spektakularny efekt ekonomiczny, jednak nam chodzi również o pokazanie klientom naszych produktów i działalności oraz wytłumaczenie, że ona nie polega jedynie na sprzedaży. To miejsce ma być reklamą, a jednocześnie wizytówką naszej firmy, zarówno produkcyjnej, jak i tej związanej z działalnością rekreacyjno-turystyczną.

KB: Jakie jest pana ulubione zioło?

MA: Macierzanka. To jest bardzo skromne zioło, jedno z pierwszych, jakie zbierałem i piłem w formie naparu. Było to też ulubione zioło osób, które mnie uczyły zbierania.

KB: Czy myśli pan o swoich obecnych decyzjach biznesowych w kategoriach przyszłej sukcesji w firmie?

MA: Tak, oczywiście. W moim wieku, a mam 54 lata, trzeba się nad tym zastanawiać. Mam trzy córki, które coraz bardziej interesują się tym, co robię, i również pomagają. Środkowa córka jest odpowiedzialna za wspomniany punkt w Warszawie, najmłodsza studiuje technologię żywności – pod kątem umiejętności prowadzenia firmy. Wydaje mi się, że młode pokolenie ma teraz wielkie możliwości, aby uczyć się działania w biznesie. Natomiast ja przeprowadziłem firmę przez różne sytuacje – a zdarzały się też ciężkie etapy – dlatego że tworzyłem i prowadzę ją w miejscu, w którym się urodziłem i które znam. Dla mnie to jest sprawa kluczowa. Dzięki temu nie mam problemu ze znalezieniem nowych pracowników, w przeciwieństwie do wielu przedsiębiorców. Moje dzieci nie wychowały się w tym środowisku, więc nie mogę mieć pewności, że sobie poradzą. Mam nadzieję, że to nasze pokolenie, które zakładało firmy na początku lat 90., zdąży ugruntować je na rynku, nie tylko polskim, ale też światowym, zaś nowe pokolenie będzie lepiej przygotowane do przyszłych wyzwań, jakie na pewno przed tymi firmami staną.

Cena, jakość, patriotyzm

Wyniki badań Fundacji „Teraz Polska”

Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego zaprojektowała i zleciła wykonanie badania opinii publicznej. Zapytaliśmy o współczesne rozumienie patriotyzmu, jego rolę w podejmowaniu decyzji zakupowych, ale też o wpływ na owe decyzje innych czynników, m.in. jakości i ceny. Chcieliśmy się również dowiedzieć, jak konsumenci rozumieją pojęcia polskiej jakości i polskiego produktu. Badanie wykonała firma ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku. Publikujemy podsumowanie wyników i analizę dra Jarosława Górskiego, eksperta Fundacji.

Dr Jarosław Górski

Przy okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości nie sposób nie wspomnieć o wartościach patriotycznych w kontekście idei „zakupów z sensem”. Takim mianem można określić wybory klientów dokonywane w zgodzie z własnymi przekonaniami, ale bez konieczności rezygnowania z racjonalności konsumenckiej, w szczególności z poszukiwania najwyższej jakości dostępnej w założonej cenie.

Silny wpływ technologii, mediów i marketingu sprawia, że konsumenci stają się coraz bardziej wymagający, co oczywiście oznacza konieczność podnoszenia standardów jakości. Z badań Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego przeprowadzonych przez ASM wynika, że około 2/3 konsumentów jest skłonnych płacić więcej za produkty wyższej jakości. Można to rozumieć jako wzrost dojrzałości, bo żeby „jakość była w cenie”, konsument musi nauczyć się rozpoznawać, z czego w praktyce owa wyższa jakość produktu wynika. W przypadku produktów spożywczych za jakość odpowiadają użyte składniki, walory smakowe, świeżość, walory zdrowotne itd. Te elementy jakości często są efektem konkretnego pochodzenia i sposobu wytwarzania produktów – charakterystycznego dla regionu czy producenta. Zależność jakości od miejsca pochodzenia i metod produkcji jest coraz czytelniejsza nie tylko dla producentów i sprzedawców, ale także dla kupujących. Cienimy sobie francuskie sery, włoskie wędliny, a wina – zarówno włoskie, jak i francuskie. Ale coraz częściej wybieramy sery warmińsko-mazurskie, podlaskie czy małopolskie, wina lubuskie lub podkarpackie.

Badania przeprowadzone przez CBOS w 2016 r. dowiodły, że niemal 9 na 10 Polaków (88 proc.) uważa się za patriotów, a dla trzech czwartych przynależność narodowa jest powodem do dumy.

Zdaniem badanych najważniejsze cechy postawy patriotycznej to: dbałość o wpajanie dzieciom miłości i szacunku do ojczyzny, pielęgnowanie polskich tradycji, znajomość historii własnego kraju, okazywanie szacunku godłu, fladze i hymnowi narodowemu, poszanowanie i przestrzeganie prawa oraz udział w wyborach. Wszystkie te przejawy patriotyzmu są ważne dla co najmniej 90 proc. badanych. Relatywnie najmniej respondentów, choć nadal większość, zgadza się z tym, że patriotyzm polega między innymi na kupowaniu przede wszystkim polskich produktów (67 proc.).

Z kolei badania Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego są dowodem na to, że patriotyzm zakupowy ma wysoką pozycję wśród popieranym przez polskie społeczeństwo przejawów patriotyzmu – zaraz po dumie z bycia Polakiem, przywiązaniu do polskiej kultury oraz historii.

Patriotycznie nastawieni do swoich zakupów konsumenci mają jednak kłopot z określeniem, czym właściwie jest produkt polski. Najczęstszym – można by powiedzieć: minimalnym – kryterium polskiego pochodzenia jest fakt jego wytworzenia na terytorium kraju (66,5 proc.), ale konsumenci zwracają też uwagę na oznaczenie polskiego pochodzenia, a nieco rzadziej na fakt płacenia przez producentów podatków w Polsce, krajową lokalizację siedziby firmy oraz polskie pochodzenie kapitału.

Najważniejszymi kryteriami wyboru produktów są oczywiście nadal cena i jakość, przy czym najnowsze badania Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego (fale badań z lat 2017 i 2018) pokazują, że jakość doskonale konkuruje z ceną, wybijając się nawet na pierwsze miejsce w rankingu ważności kryteriów zakupowych.

Mając wiedzę o rosnącej sile tzw. efektu miejsca pochodzenia, czyli sile oddziaływania informacji o pochodzeniu produktów

Które z poniższych cech produktu są Pana/Pani zdaniem konieczne, aby można było o nim powiedzieć „polski produkt”? (N = 1000, w proc.*)



* Wskazania nie sumują się do 100 proc., ponieważ badani mogli wskazać więcej niż jedną odpowiedź; zaprezentowano wskazania > 1,0 proc.

Czym jest dla Pana/Pani patriotyzm dziś? (N = 1000, w proc.*)

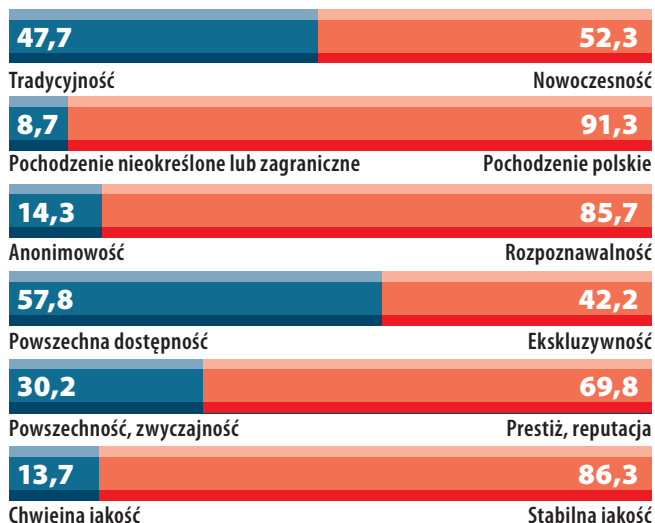


* Wskazania nie sumują się do 100 proc., ponieważ badani mogli wskazać więcej niż jedną odpowiedź; zaprezentowano wskazania > 1,0 proc.

na preferencje konsumentów, wielu producentów wykorzystuje swoje regionalne pochodzenie do zbudowania silnych marek, za którymi stoi wyróżniająca jakość i... coś jeszcze. Coś, co w marce jest najważniejsze, czyli wartości. W przypadku budowania marki w oparciu o regionalne pochodzenie są to wartości patriotyczne, związane m.in. z szacunkiem do tradycji, ale też wspieraniem lokalnej gospodarki.

Warto zauważyć, że krajowe czy też regionalne pochodzenie produktów nie jest kryterium, które konkuruje z jakością. Konsumenty najchętniej sięgają po ofertę, która ma wysoką jakość, atrakcyjną cenę oraz krajowe pochodzenie. Takie warunki łącznie spełniają – niezmiennie od prawie 30 lat – produkty i usługi na-

Skojarzenia z produktami/usługami nagrodzonymi Godłem „Teraz Polska” (N = 918, w proc.*)



* Wskazania sumują się do 100 proc. w każdej parze cech.

gradzane Godłem „Teraz Polska”. Zdaniem respondentów badania Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego oferta oznaczona Godłem „Teraz Polska” ma wysoką i stabilną jakość, jest nowoczesna, rozpoznawalna, wyjątkowa i ma atut krajowego pochodzenia.



Dr Jarosław Górski – adiunkt na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, członek zarządu Fundacji Best Place – Europejskiego Instytutu Marketingu Miejsc, doradca prezesa Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

Inside Trends

– najważniejsza konferencja biznesowa w Europie Środkowej

W dniach 18 i 19 października br. odbyła się międzynarodowa konferencja Business Insider Inside Trends, poświęcona trendom w trzech obszarach: fintech, business 4.0 i life science.

Osiemdziesięciu mówców i prelegentów z całego świata oraz około 1,4 tys. uczestników wzięło udział w prelekcjach i warsztatach, podczas których dowiedzieliśmy się, jak pod wpływem nowych technologii zmieni się bankowość, świat finansów, przemysł i życie człowieka. Wydarzenie odbyło się w Centrum Praskim Koneser w Warszawie. Organizatorem konferencji był Business Insider Polska.

W gronie ponad 80 mówców znalazły się kluczowe osoby z branż: fintech, life science i digital business. Podczas Inside Trends uczestnicy mogli wziąć udział w wykładach i prezentacjach, a także w zamkniętych warsztatach i debatach z prelegentami. Wydarzenie odbywało się jednocześnie na trzech scenach. Pierwsza poświęcona była zagadnieniom z obszaru fintech, druga – life science, a trzecia – business 4.0.

Na konferencji wystąpił m.in. Kevin Mitnick, najsłynniejszy haker świata, który swoją prezentacją o zasadach bezpieczeństwa w firmach otworzył drugi dzień Inside Trends. Natomiast dzień wcześniej Lars Silberbauer w wystąpieniu „Building digital value brick by brick” opowiedział, jak w ciągu kilku lat marka Lego, dla której pracuje, stała się najpopularniejszym brandem na YouTube na świecie.

8 najważniejszych wniosków po konferencji Business Insider Inside Trends

- Liderzy, którzy chcą osiągnąć sukces, powinni jednocześnie pozyskiwać informacje z wielu dziedzin. Muszą także mieć zaufanie do swojego zespołu. Jak stwierdził Mark Dekan, prezes Ringier Axel Springer Polska, bez tego ostatniego składnika nie można zbudować skutecznych relacji z pracownikami i otoczeniem.
- Social media nie są już dodatkiem do strategii marketingowej firmy. Poprzez wykorzystanie blockchain i Big Data stają się jej kołem napędowym. Jak podkreślił Lars Silberbauer, na tej idei została zbudowana potęga Lego w mediach społecznościowych.
- W dobie szybkiego postępu techniki nie można patrzeć jedynie na zachodnie wzorce (Wielka Brytania czy USA). Jednym z najszybciej rozwijających się rynków w dziedzinie Internetu rzeczy (IoT) oraz sztucznej inteligencji (AI) są Chiny. W 2000 r. 95 proc. największych firm mieściło się w USA i Unii Europejskiej. Szacuje się, że w 2025 r. rynek chiński będzie większy od amerykańskiego i europejskiego razem wziętych. Marc Walder, Aleksander Kutela i Nebojša Djurdjevic zaalarmowali, że konieczne jest włączenie Europy do wyścigu technologicznego, w którym na razie zdecydowanie dominują Amerykanie i Chińczycy.



Kevin Mitnick

• Coraz więcej dziedzin, m.in. finanse i medycyna, korzysta z narzędzi AI. Diagnostyką zajmują się roboty i – jak podkreślił Felix Oberholzer-Gee z Harvard Business School – z każdym rokiem coraz więcej prac wykonywanych wcześniej przez człowieka wykonują maszyny. Nie oznacza to jednak zmniejszenia liczby miejsc pracy, lecz tworzenie ich w nowych dziedzinach.

• Fintechy nie zastąpią całkowicie tradycyjnych banków, jednak te ostatnie będą musiały zmienić sposób dotarcia do klienta i zacząć mocniej współpracować z platformami finansowymi funkcjonującymi online.

• Czwarta rewolucja przemysłowa stała się faktem. Jej znakiem rozpoznawczym jest połączenie w jednej usłudze wiedzy i doświadczenia oraz IoT i AI. Czwarta rewolucja to reprezentacja przez cyfryzację (ang. *digital twin*). Aleksander Poniewierski z EY przekonuje, że aby zrozumieć czwartą rewolucję przemysłową, należy dobrze interpretować motywację pokolenia Z i odpowiedzieć na pytanie, co sprawia, że jego reprezentanci tworzą i działają.

• Jesteśmy narażeni na coraz więcej ataków ze strony cyberprzestępców. Bezpieczeństwo firmy powinno być jednym z priorytetów w zarządzaniu. Jednak – jak twierdzi Kevin Mitnick – największym zagrożeniem nie jest technologia, ale ludzie

w organizacji. Dlatego tak ważna jest odpowiednia polityka szkoleń w firmie.

• Współczesna medycyna dzięki wykorzystaniu nowoczesnych technologii daje nadzieję ludziom, którzy do tej pory, ze względu na swoje schorzenia czy ograniczenia, nie byli w stanie normalnie funkcjonować. Już teraz powstają nanoroboty niszczące komórki rakowe, „unerwione” protezy, a ludzie sparaliżowani z powodu udaru mózgu po odpowiedniej stymulacji znów mogą chodzić.

O konferencji

Business Insider Inside Trends to wydarzenie, podczas którego omawiane są trendy na globalnym rynku. W czasie spotkania światowej klasy eksperci opowiedzieli, jak zmieni się współczesny świat finansów, mediów, nowych technologii, medycyny i zdrowia oraz czym będzie żył świat w kolejnych latach. Inside Trends to jedna z najważniejszych imprez dotyczących trendów w biznesie w Europie Środkowo-Wschodniej. W konferencji Business Insider Inside Trends wzięło udział ponad 1,4 tys. osób ze świata biznesu, marketingu, nauki, mediów, które miały szansę spotkać się w jednym miejscu i wymienić doświadczeniami.

Bez badań nie ma biznesu

Dylematy dzisiejszego biznesu często wiążą się z szybkością – zarówno tempem zmian technologicznych, społecznych i organizacyjnych, jak i koniecznością natychmiastowych decyzji marketingowych w odpowiedzi na reakcje społeczności klientów. Zasada „nie przegapić momentu” – w sprzedaży, w planach rozwoju, w budowaniu marki na tle konkurencji – teraz zyskuje nowy wymiar.

Gdy percepcja klienta poddawana jest nieustannej ekspozycji na komunikaty, produkty, bodźce, a jego roszczenia wobec usługodawców rosną, proces zakupowy staje się nieprzewidywalny. Co za tym idzie, skuteczna długofalowa strategia rozwoju firmy musi uwzględniać czynnik zmian i związane z nim ryzyko w stopniu wyższym niż kiedykolwiek. Nie-trafiona inwestycja – w infrastrukturę, marketing, zasoby ludzkie – może zaważyć na przyszłości firmy, czasem decyduje o „być albo nie być”. Jak zminimalizować ryzyko? Nieocenioną pomocą są w tym przypadku badania i analizy, które obejmują jak najwięcej aspektów działalności firmy. Śledzenie trendów na rynku oraz wejście w skórę klienta to rozwiązanie, które oferuje ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku, polska firma istniejąca od 1996 r.

Małgorzata Walczak-Gomuła, prezes Zarządu ASM: *Działalność badawcza ASM od początku była nakierowana na biznes, u źródeł powstania firmy leżało głębokie przekonanie o potencjale gospodarczym polskich przedsiębiorstw. Zdiagnozowana została sytuacja gospodarcza i zapotrzebowanie na konkretne usługi, wybrana nisza rynkowa, która na starcie stanowiła rdzeń biznesu. I tak od ponad 22 lat monitorujemy rynek na tle trendów globalnych i dla poszczególnych branż przygotowujemy adekwatne rozwiązania badawcze. Jako firma my również podlegamy nieustannej presji czasu, który biegnie coraz szybciej, zatem nasze rozwiązania są przetestowane, można by rzec, na żywym organizmie. Dzięki temu nadal rozwijamy się w globalnej wiosce, która oferuje najczęściej wystandaryzowane gotowe pakiety i szybką sprzedaż on-line. My też sprzedajemy klientom gotowe opracowania rynkowe, jednak w głównej mierze ASM nadal „szyje na miarę”, wykorzystując swój bogaty dorobek i najnowocześniejsze możliwości techniczne. Wypracowaliśmy autorską metodologię badań tradycyjnych, prognozowania oraz badań biometrycznych, które obecnie są hitem w walce o serca klientów. Nasi klienci korzystają zarówno z opracowań, które przygotowujemy dla nich w formie prenumeraty, jak i badań celowanych w dany aspekt ich działalności. Prenumerata, która umożliwia śledzenie trendów na rynku, to produkt używany do tworzenia strategii na kolejne lata – planowania budżetu, założeń sprzedażowych i marketingowych. Raporty prezentują poszczególne wyniki danego segmentu rynku, informują o udziałach konkurencji, zawierają również prognozy na kolejny rok. Te prognozy to nasza duma, możemy się poszczycić najwyższym poziomem sprawdzalności o dokładności do jednej dziesiątej punktu procentowego, a nawet większej (np. prognoza liczby*

mieszkań oddanych do użytku ogłoszona przez ASM w październiku 2017 r. – 178,3 tys., finalnie do końca 2017 r. dokładnie tyle mieszkań zostało oddanych do użytku). Spośród wielu gotowych produktów oferowanych na rynku nasze wyróżnia najniższy margines błędu. A są takie projekty, które tylko my jesteśmy w stanie zrealizować. Raporty określają pewne ramy działalności firmy, w jakich kreuje ona konkretne działania. I na etapie wdrażania zwraca się do nas z zapotrzebowaniem na wykonanie dedykowanych badań marketingowych. Oferujemy unikatowe rozwiązanie badawcze uwzględniające techniki tradycyjne oraz biometryczne. Pozyskanie danych neuromarketingowych to obecnie najlepszy sposób na porządzenie sobie z szybkością zmian na rynku i zalewem informacji. Nasze innowacyjne laboratorium ASM Neuro Lab dostarcza rzetelnych danych marketingowych w zakresie reakcji człowieka na bodźce wizualne, dźwiękowe, smakowe, zapachowe i dotykowe. Docieramy do ukrytych reakcji i motywów działania konsumentów, zatem firma, która zleca badanie, może uniknąć złe ulokowanych inwestycji, np. w kampanię marketingową czy procedurę obsługi. Zdarza się, że w procesie zakupowym czynniki decyzyjne deklarowane przez konsumenta przed nabyciem produktu różnią się z późniejszym wyborem. Faktyczne reakcje zmysłowe w bezpośrednim kontakcie z produktem nieraz powodują zmianę decyzji i w efekcie klient wybiera inny produkt, niż początkowo zakładał. Trudność w kierowaniu do klienta komunikatu marketingowego pojawia się zwłaszcza w przypadku szczególnych odbiorców produktów czy usług, jak np. dzieci. W tej sytuacji strategie marketingowe oparte na komunikowaniu technicznych parametrów produktu mogą okazać się niewystarczające. Dla skutecznej sprzedaży kluczowe jest poznanie rzeczywistych odczuć konsumenta i jego nieświadomych oczekiwań. Z zakresem naszych badań neuromarketingowych można się zapoznać na stronie www.neurodata.pl.

Zajrzyj do umysłów klientów i zarabiaj więcej!

Ukryte reakcje klienta na dostarczone bodźce są na poziomie fizycznym mierzalne i czytelne dzięki aparaturze diagnostycznej z zakresu elektroencefalografii (EEG), reakcji skórno-galwanicznych (GSR), analizy ruchów gałek ocznych (eye tracking) i mimiki twarzy (face tracking). Przetworzenie w mózgu percepcji wzrokowej, słuchowej, węchowej, smakowej i dotykowej na obrazy, wyobrażenia, wspomnienia i decyzje odbywa się odrębnie od poprzednich doświadczeń, dlatego reakcje ciała na bieżące bodźce są wiarygodne jako materiał badawczy. Przy czym jakość sprzętu użytego do pomiarów biometrycznych decyduje o tej wiarygodności. Jedyny w Polsce eyetracker stacjonarny o częstotliwości 600 Hz znajduje się w posiadaniu ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku, firma ma ponadto najwyższej światowej jakości mobilne eyetrackery, zestawy EEG/GSR z suchymi elektrodami oraz komplet do face trackingu.

Joanna Florczak-Czujwid, senior project manager: *Zrealizowaliśmy ostatnio bardzo ciekawe projekty łączące badania tradycyjne*

i biometryczne. Jednym z nich jest badanie z udziałem dzieci, które są grupą wywierającą coraz większy wpływ na decyzje zakupowe. Populacja dzieci w wieku do czterech lat liczy w Polsce 1,9 mln, zaś w wieku od pięciu do dziewięciu lat – 2,1 mln¹. Łącznie to aż 4 mln konsumentów. Stąd coraz więcej towarów jest kierowanych specjalnie do najmłodszych odbiorców. Proces przywiązania do marki zaczyna się, zanim dziecko będzie świadome, że zwraca uwagę na to, jaki produkt wybiera. Kilkuletnie dziecko nie wie, dlaczego wybrało dany produkt, nie potrafi także wskazać, jaki czynnik zadecydował o zainteresowaniu nim. Stało przed nami wyzwanie poznania opinii i odczuć najmłodszych konsumentów, zatem należało w taki sposób zaprezentować im treści, które były tematem badania, aby wydobyć z nich odpowiedzi na pytania, które zadał nam klient. Badania neuromarketingowe są w takim przypadku najlepszą metodą. Zawsze stwarzamy przyjazną atmosferę podczas badania, a sprzęt, którym dysponujemy, umożliwia uniknięcie rozproszeń. Miły nastrój, uśmiech, pochwała to standard w pracy z dziećmi. Prezentujemy dzieciom sprzęt i opowiadamy o nim, co zawsze zaciekawia najmłodszych i pomaga im się odprężyć. Eksperyment odbywa się w tempie nadanym przez dziecko i jest przez nie odbierany jako zabawa. Jesteśmy otwarci na pytania zadawane przez dzieci i cierpliwie na nie odpowiadamy. Jedno z ostatnich badań wśród dzieci przeprowadziliśmy metodą eye trackingu stacjonarnego (śledzenie ruchu żrenic) i face trackingu (odczyt mikroekspresji twarzy). Badaliśmy reakcje dzieci na wizualną kampanię marketingową, zaś istotą badania było sprawdzenie, które elementy są przez dzieci zauważalne, a które nie i czy przekaz kampanii jest przez dziecko zrozumiany. Inny ciekawy projekt, który ostatnio zrealizowaliśmy w ASM Neuro Lab, to badanie związane z materiałami podłogowymi znanego dystrybutora. Badanie realizowane było technikami eye trackingu, EEG i face trackingu. Badacze dokonywali pomiarów reakcji wzrokowych, dotykowych i mimicznych. Schemat całego badania uwzględnił również techniki tradycyjne – z respondentem przeprowadzaliśmy wywiady deklaratywne przed i po badaniu biometrycznym. Dzięki temu można było poznać oczekiwania klienta i kryteria wyboru produktu, zanim miał z nim bezpośredni kontakt, a po badaniu biometrycznym zweryfikować początkowe deklaracje klienta.

Za rewolucją w podejściu technologicznym do badań marketingowych idzie zatem nieosiągalny do tej pory dla firm wgląd w umysły obecnych i przyszłych klientów. Korzystanie z nowoczesnych narzędzi otwiera nowe drzwi współpracy z klientem, który staje się podmiotem dialogu marketingowego, a nie tylko pionkiem w grze sprzedażowej.

Elżbieta Czerniec

ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku Sp. z o.o.
ul. Grunwaldzka 5, 99-301 Kutno, tel. (24) 355 77 00, faks (24) 355 77 03
e-mail: sekretariat@asm-poland.com.pl, www.asm-poland.com.pl

¹ Źródło: GUS, dane za 2017 r.

Zespół Argo otrzymał tytuł Promotora Polski.

© POLITECHNIKA BIAŁOSTOCKA (3)



Nieziemskie sukcesy łazików

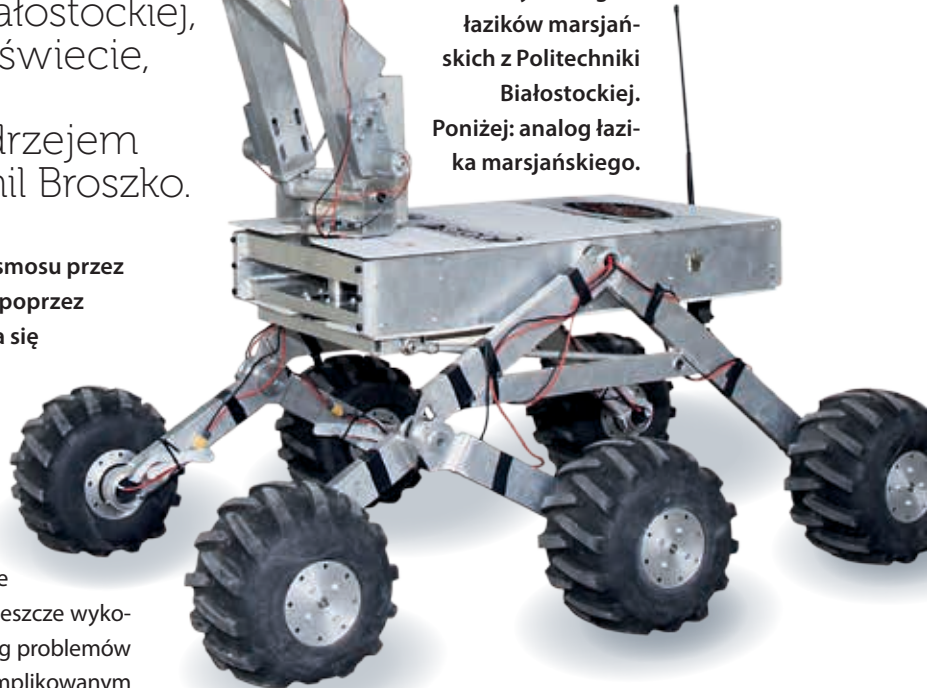


O kosmicznych projektach studentów z Politechniki Białostockiej, które znajdują uznanie na świecie, i tworzeniu warunków dla innowacyjności z prof. Andrzejem Sewerynem rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Sprawa swoistego podboju kosmosu przez młodych uczonych z Politechniki Białostockiej poprzez tworzenie łazików marsjańskich od lat przewija się w ogólnopolskich mediach. Czy pan profesor mógłby przybliżyć genezę tego projektu?

Andrzej Seweryn: Analogi łazików marsjańskich budowane są po to, by w warunkach ziemskich przetestować rozwiązania, które w przyszłości pozwolą na używanie tych robotów poza naszą planetą, np. na Marsie. Już samo skonstruowanie takich łazików jest dużym wyzwaniem, a trzeba je jeszcze wykonać i przetestować. Należy rozwiązać przy tym szereg problemów technologicznych, które zawsze towarzyszą tak skomplikowanym

Zespół Argo, czyli twórcy analogów łazików marsjańskich z Politechniki Białostockiej. Poniżej: analog łazika marsjańskiego.



projektom. Niezbędna jest tu rzetelna wiedza z zakresu automatyki i robotyki, inżynierii mechanicznej oraz informatyki. Na szczęście Wydział Mechaniczny Politechniki Białostockiej dysponuje zarówno świetnymi wykładowcami, jak i zaangażowanymi studentami, którzy wspólnie potrafią poradzić sobie z wyzwaniami.

Studenci naszego wydziału budują analogi łazików marsjańskich od 2010 r. Skonstruowali już siedem takich maszyn i sześć razy brali udział w prestiżowych zawodach University Rover Challenge w USA: trzy razy zajęli pierwsze miejsce (w latach 2011, 2013 i 2014), raz trzecie (2010 r.), raz czwarte (2015 r.), raz siódme (2016 r.). W tym roku wystartowali w Kanadzie w innych prestiżowych zawodach – Canadian International Rover Challenge – i zdobyli drugie miejsce. Na Wydziale Mechanicznym myślimy o naszych robotach jak o całej rodzinie konstrukcji, których budowanie pozwala na poszerzanie wiedzy i umiejętności studentów. Należy podkreślić, że była to inicjatywa samych studentów. Pierwszym zespołem kierował Wojciech Głazewski, a kolejnymi Piotr Ciura, Michał Grześ, Maciej Rećko i Aneta Łukowska; opiekunami projektów byli dr hab. inż. Kazimierz Dzierżek i dr inż. Justyna Tołstoj-Sienkiewicz.



Prof. dr hab. inż. Andrzej Seweryn – dziekan Wydziału Mechanicznego Politechniki Białostockiej. Członek zespołu doradczego do spraw Polskiej Mapy Drogowej Infrastruktury Badawczej. Członek krajowych i zagranicznych organizacji naukowych. Zajmuje się między innymi mechaniką materiałów, mechaniką uszkodzeń, metodami komputerowymi w mechanice, zmęczeniem materiałów i konstrukcji, wytrzymałością elementów konstrukcyjnych. Promotor sześciu zakończonych przewodów doktorskich. Autor setek artykułów publikowanych w najważniejszych czasopiśmie naukowych, polskich i zagranicznych.

Białostocką. Warto jednak zwrócić uwagę, że Wydział Mechaniczny to nie tylko analogi łazików marsjańskich. Nasi studenci konstruują też samochody wyścigowe (bolidy Formuły Student) i pojazdy napędzane sprężonym powietrzem (pneumobile), samoloty udźwignowe na zawody Air Cargo Challenge i autonomiczne wielowirnikowce. Świetnie rozwija się również projekt robotów biorących udział w zawodach sumo – zespół SumoMasters odniósł szereg zwycięstw, m.in. w Japonii, Chinach, Hiszpanii, Rumunii czy Stanach Zjednoczonych. Szczególnie zadowolony jestem z medali przywożonych z prestiżowego turnieju All Japan Robot Sumo Tournament. Jesteśmy bardzo dumni z projektu robota wspierającego personel medyczny w szpitalach dziecięcych (Bobot), przystawki napędowej usprawniającej poruszanie się osób na wózkach inwalidzkich (projekt Hermes), urządzenia do terapii dzieci z zaburzeniami sensorycznymi (Senso-Tunnel) oraz ściskarki do terapii sensorycznej. Projekty te zdobyły złote medale na międzynarodowych targach wynalazczości: Brussels Innova (Belgia), Concours Lépine (Paryż), Inova – Budi Uzor (Chorwacja) i Intarg (Katowice). Jak widać, Wydział Mechaniczny to również wiele projektów, które mają pomagać ludziom.

KB: Twórcy łazików marsjańskich z Politechniki Białostockiej odnoszą sukcesy i, co ciekawe, są one powtarzalne, a zatem świadczą o osiągnięciu wysokiej i stałej formy.

AS: Bardzo ważny jest talent, jednak bardziej istotnym czynnikiem sukcesu jest wyteżona praca połączona z zaangażowaniem członków zespołu i odpowiednim wsparciem opiekunów Koła Naukowego Robotyków. Sukcesu nie mierzy się jednostkowym wynikiem, ale utrzymywaniem wysokiego poziomu przez lata. Proszę zwrócić uwagę, że zespoły z Wydziału Mechanicznego Politechniki Białostockiej od ośmiu lat znajdują się w pierwszej dziesiątce najlepszych na świecie drużyn budujących analogi łazików marsjańskich. Z dumą myślę o tym, że udało nam się stworzyć dobrą i stabilnie rozwijającą się rodzinę robotów mobilnych. Nie spoczęliśmy jednak na laurach. Jestem przekonany, że przed nami jeszcze wiele sukcesów i mnóstwo dobrych emocji.

KB: Czy łaziki przekładają się na zainteresowanie studentów Politechniką Białostocką?

AS: Przez wiele lat nasze analogi łazików marsjańskich były wizytówką uczelni, a nawet Białegostoku. To naturalne, że tak znaczne sukcesy wpływają na zainteresowanie Politechniką

KB: Czy międzynarodowe sukcesy łazików dają białostockim uczniom zaangażowanym w projekt dodatkowe punkty podczas poruszania się w globalnym świecie nauki?

AS: Doświadczenia zdobyte dzięki międzynarodowym projektom, wyjazdom i atmosferze współzawodnictwa z najlepszymi drużynami na świecie znakomicie wpływają na rozwój nie tylko studentów, ale również doktorantów i naszych pracowników naukowych. Wszyscy się uczą i zdobywają dodatkowe kompetencje. Zyskują pewność siebie i przekonanie, że mogą pokonać każdą przeszkodę. Konkuruje z zespołami z najlepszych światowych uczelni i często odnoszą sukcesy.

KB: Jaki jest model organizacji ludzi zajmujących się łazikami? W jaki sposób ewoluował i jaka jest jego przyszłość?

AS: Analogi łazików marsjańskich konstruowane są w ramach działającego na Wydziale Mechanicznym Koła Naukowego Robotyków. To duża organizacja skupiająca niemal stu studentów w kilku sekcjach. Poza łazikami budują oni również roboty z kłóców Lego, bezzałogowe obiekty latające, roboty do walk sumo i mniejsze roboty mobilne. Jest to tak duże koło naukowe, że – aby funkcjonowało – w jego pracę zaangażowało się aż troje opiekunów: dr hab. inż.

Kazimierz Dzierżek, dr inż. Justyna Tołstoj-Sienkiewicz i dr inż. Rafał Grądzki. Koło Naukowe Robotyków działa dzięki zaangażowaniu studentów i konkretnemu wsparciu merytorycznemu świetnie przygotowanych prowadzących.

Ważnym problemem jest pozyskiwanie środków na realizację projektów studenckich. Na Wydziale Mechanicznym stworzony został system wsparcia finansowego tych projektów obejmujący – pozyskiwane w drodze konkursów – środki z funduszu dydaktycznego naszego wydziału oraz z programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Najlepsi z najlepszych”. Ponadto projekty te są często sponsorowane przez przedsiębiorstwa, a także prezydenta Białegostoku.

KB: Czy można wymienić najważniejsze cechy, które odróżniają łazik od najpopularniejszej maszyny jeżdżącej, a mianowicie samochodu?

AS: Analog łazika marsjańskiego jest konstrukcją mechatroniczną, a więc urządzeniem łączącym w sobie elementy mechaniki, automatyki, robotyki i informatyki. Nie da się nim jeździć tak, jak samochodem. Jest mniejszy, bardziej zwrotny i zaprojektowany do innych celów. Z drugiej strony od kilku już lat możemy zaobserwować, że samochody w coraz większym stopniu wyposażane są w nowoczesne technologie, rozmaite czujniki oraz systemy bezpieczeństwa i wspomagania kierowcy, co czyni je również urządzeniami mechatronicznymi.

Nasze łaziki mogą wykonywać różne zadania precyzyjne: od poruszania manipulatorem, poprzez przemieszczanie się w trudnym (piaszczystym lub kamienistym) terenie, aż do autonomicznego rozwiązywania problemów nawigacyjnych. Ważne jest również, by masa podwozia była jak najmniejsza, a układ napędowy energooszczędny i możliwie mało skomplikowany.

KB: Na ile rozwiązania zastosowane w łaziku są aplikowalne jako oryginalne wdrożenia w warunkach ziemskich?

AS: Na Wydziale Mechanicznym Politechniki Białostockiej konstruowane są analogi łazików marsjańskich. Analogi, czyli roboty służące do testowania technologii i sprawdzania rozwiązań, które mogą znaleźć zastosowanie w urządzeniach używanych poza naszą planetą. Natomiast jeżeli chodzi o wykorzystanie tych technologii w warunkach ziemskich – wszystkie roboty inspekcyjne i saperkie działają na podobnych zasadach. Różnią się tylko stopniem zaawansowania, użytymi materiałami oraz poziomem precyzji i bezpieczeństwa.

KB: Jakie umiejętności możliwe do wykorzystania w innych branżach zdobywają studenci – twórcy łazików marsjańskich?

AS: Program studiów na naszym wydziale jest pomyślany w taki sposób, by kształcić interdyscyplinarnie. Kładziemy nacisk na budowanie kompetencji i poszerzanie zainteresowań. Projekty studenckie

– w tym również program budowy analogów łazików marsjańskich – są integralnym elementem naszej wizji kształcenia. Mamy ambicję, by nasi absolwenci potrafili projektować, konstruować i programować roboty oraz inne zautomatyzowane urządzenia, maszyny i pojazdy. W trakcie studiów zdobywają oni wszechstronną wiedzę z zakresu inżynierii mechanicznej, mechatroniki, automatyki i robotyki, informatyki oraz nowoczesnych materiałów i technologii. Zdobycie umiejętności zastosowania nowoczesnych układów sterowania oraz nabywanie wiedzy koniecznej do zrozumienia i wykorzystania technik komputerowego wspomagania prac inżynierskich. Wszystkie te kompetencje studenci pracujący w kołach naukowych rozwijają również poza programem kształcenia. Do tego uczą się trudnej pracy w zespole, pozyskiwania sponsorów i współpracy z przedsiębiorstwami.

KB: Czy realizacje i sukcesy w dziedzinie łazików marsjańskich stanowią podglebie dla wzrostu zainteresowania podbojem kosmosu na Politechnice Białostockiej?

AS: Nasze analogi łazików marsjańskich pełnią również funkcję popularyzatorską. Wzbudzają zainteresowanie nie tylko podbojem kosmosu, ale przede wszystkim zwracają uwagę na nowe technologie. To są roboty, które zachęcają młodych ludzi do zdobywania wiedzy i umiejętności w zakresie nowoczesnych technologii.

KB: W ostatnich kilkunastu latach uczelnie znajdujące się na wschodzie Polski zostały wsparte znaczącymi środkami z funduszy unijnych. Czy należy łączyć ten fakt z sukcesami łazików?

AS: Sukces jest zawsze wynikiem pracy zespołu, choć oczywiście nie jest możliwy bez odpowiedniego finansowania, o czym już wspominałem. Jest nam bardzo miło, że jako zespół naukowców i dydaktyków możemy pracować nie tylko na rzecz Wydziału Mechanicznego, całej Politechniki, ale również miasta i regionu. Nauka do rozwoju potrzebuje sprzyjającego klimatu; mam wrażenie, że nasze działania są jednym z elementów ten klimat budujących.

KB: W jakich kierunkach powinno ewoluować kształcenie techniczne w Polsce, aby nadążyło za rozwojem cywilizacyjnym i technologicznym, szczególnie w odniesieniu do takich potęg, jak Chiny czy USA?

AS: Najważniejszym i odmienianym ostatnio bodaj przez wszystkie przypadki słowem jest „interdyscyplinarność”. To, co najciekawsze, bardzo często rodzi się na styku różnych dyscyplin. Dlatego na Wydziale Mechanicznym Politechniki Białostockiej dbamy o łączenie wielu aspektów nauczania, a studenckie koła naukowe wydają się naturalnym środowiskiem sprzyjającym rozwojowi.

Szczegółowe opisy wszystkich łazików marsjańskich i listę ich twórców można znaleźć na stronie: <https://wm.pb.edu.pl/studenci/kola-naukowe/projekty-studenckie/analogi-lazikow-marsjańskich/>.



Adam
Szejnfeld

Posel do Parlamentu
Europejskiego
www.szejnfeld.pl

Wielki handel a małe firmy

O korzyściach płynących z umów handlowych wiadomo od dawna. Niestety, wśród opinii publicznej, również wśród przedsiębiorców, pokutuje nieuzasadniony pogląd, że czerpać z nich będą tylko najwięksi gracze. Warto więc zastanowić się, czy małe i średnie firmy powinny się w ogóle interesować porozumieniami handlowymi i czy rzeczywiście mogą na nich skorzystać. Odpowiedź jest jednoznaczna: tak!

Nie bez powodu uważa się małe i średnie przedsiębiorstwa za trzon europejskiej gospodarki. Reprezentują prawie 98 proc. wszystkich przedsiębiorstw i zatrudniają 67 proc. Europejczyków. Poprzez tworzenie miejsc pracy są filarem rozwoju Starego Kontynentu. W naszym kraju generują trzy czwarte PKB, ale jedynie 28 proc. z nich decyduje się na eksport swoich produktów. Wynika to w dużej mierze z barier taryfowych i ograniczeń regulacyjnych. Dlatego zniesienie cel i barier administracyjnych umowami międzynarodowymi służy właśnie małym i średnim przedsiębiorcom.

Korzyści dla firm z sektora MŚP wynikających z umów międzynarodowych jest więcej. Umowy o wolnym handlu poprawiają ich pozycję na rynku międzynarodowym, pozwalając lepiej wykorzystywać przewagi konkurencyjne w zakresie kosztów produkcji i elastyczności. Nie wymagają okresowego odnawiania, zapewniając tym samym stabilność i przewidywalność reguł dla przedsiębiorców krajów handlujących towarami i usługami. Mniej biurokracji przekłada się na zmniejszenie kosztów operacyjnych i magazynowych dla eksportujących firm. Podobnie obniżki taryf nie tylko zmniejszają koszty produkcji, ale też obniżają koszty modernizacji technologii oraz zwiększają wydajność.

Fabryka Naczyń Kamionkowych „Manufaktura” z Bolesławca od wielu lat była obecna w Korei Południowej. Ale dopiero po ratyfikacji umowy handlowej pomiędzy tym krajem i Unią Europejską w 2011 r. liczba zamówień poszybowała w górę. Cła zostały zniesione, a proces eksportu – uproszczony. Na początku w firmie pracowało 10 osób, a dziś – 230. Do Korei Południowej trafia 30 proc. produkcji, a około 20 proc. załogi pracuje wyłącznie na potrzeby tamtego rynku.

Prawdziwym przełomem dla małych i średnich przedsiębiorstw była kompleksowa umowa gospodarczo-handlowa (CETA), którą Unia Europejska zawarła z Kanadą w 2016 r. Niemalże w każdym rozdziale znajdują się postanowienia dotyczące sektora MŚP. Co ważne, Unia Europejska i Kanada zgodziły się na wzajemne uznawanie certyfikatów w takich dziedzinach, jak urządzenia elektryczne, sprzęt elektroniczny i radiowy, zabawki, maszyny czy urządzenia pomiarowe. Pozwoli to uniknąć przechodzenia podwójnego testowania, a tym samym zmniejszyć koszty. Dzięki CETA ustanowione zostały także zasady poprawiające przewidywalność, upraszczające i harmonizujące procedury celne oraz ułatwiające małym i średnim przedsiębiorstwom wejście na rynek kanadyjski.

W tym roku Unia Europejska i Japonia zakończyły pracę nad umową o partnerstwie gospodarczym, która ustanawia największy na świecie obszar wolnego handlu. Obie strony umowy zobowiązały się do utworzenia punktów kontaktowych i specjalnej strony internetowej z informacjami, które mają wesprzeć mniejsze przedsiębiorstwa w uzyskaniu dostępu do rynku. To właśnie one stanowią bowiem prawie 80 proc. wszystkich europejskich firm eksportujących swoje produkty i usługi do Japonii.

Nie ulega wątpliwości, że gra jest warta świeczki. W Unii Europejskiej co siódme miejsce pracy (łącznie ok. 30 mln) jest związane z handlem. A w samej Polsce jedno na osiem miejsc pracy zależy od eksportu do krajów spoza UE. Niestety, nadal unijne małe i średnie przedsiębiorstwa, które przeciętnie zatrudniają cztery–pięć osób, w zdecydowanej większości działają na rynku lokalnym, ewentualnie podejmują zlecenia większych firm i biorą tylko pośredni udział w handlu międzynarodowym, będąc częścią łańcucha dostaw. A największe możliwości dla sektora MŚP stwarzają właśnie rynki krajów trzecich. Dziś kluczowe jest, aby również mniejsze firmy wspierały globalny handel i nabrały odwagi do korzystania z niego pełnymi garściami. Zachęcam więc do międzynarodowej współpracy. Import i eksport to znakomita przestrzeń do samorealizacji także dla polskich małych i średnich przedsiębiorstw!

© KAMIL BROSZKO/BROSKO.COM



20 września

W Teatrze Wielkim w **Warszawie** odbył się koncert „Nasza Niepodległa 1918–2018”. Pieśni i piosenki z płyty o tym samym tytule wykonali: Andrzej Krzwy, Kayah, Maryla Rodowicz, Piotr Cugowski, Halina Mlynkova, Krzysztof Cugowski, Katarzyna Cerekwicka, Anna Wyszconi, Katarzyna Moś, Tomasz Szczepanik, Łukasz Zagrobelny oraz Opole Gospel Choir i Chór Studium Musicalowego Capitol. Dyrygował Piotr Zubek, autor wszystkich aranżacji. Fundacja „Teraz Polska” jest promotorem wydawnictwa.

© PZPS



30 września

W **Turynie** Biało-Czerwoni pokonali Brazylię 3:0 w finale XIX FIVB Mistrzostw Świata w Piłce Siatkowej Mężczyzn 2018, broniąc tym samym tytułu mistrzów świata. Przed czterema laty w Katowicach również pokonaliśmy Brazylię, zdobywając drugie w historii mistrzostwo świata; pierwsze zdobyła legendarna drużyna Huberta Wagnera w 1974 r. W 2018 r. do zwycięstwa doprowadził nas belgijski szkoleniowiec Vital Heynen.

© ANDRZEJ CZERNIEK



4 października

W ramach Wschodniego Kongresu Gospodarczego w **Białymstoku** zarząd Fundacji „Teraz Polska” przyznał tytuł Promotora Polskiej Gospodarki spółce AC SA, tworzącej STAG Autogas Systems, oraz firmie Dary Natury Mirosława Angielczyka. Tytuł Promotora Polski otrzymali: prof. dr hab. n. med. Grażyna Rydzewska, specjalista chorób wewnętrznych, gastroenterolog; Wojciech Strzałkowski, biznesmen, przewodniczący rady nadzorczej Jagiellonii Białostok; Dariusz Sapiński, prezes Spółdzielni Mlekovita. Promotorami Polski zostali także członkowie zespołu Argo Team – konstruktorzy łazików marsjańskich, studenci automatyki i robotyki oraz mechaniki i budowy maszyn z Wydziału Mechanicznego Politechniki Białostockiej.

© MICHAŁ LIPiŃSKI



5 października

W Ambasadzie RP w **Paryżu** wręczono nagrody w Konkursie „Wybitny Polak we Francji”, przyznawane przez Fundację „Teraz Polska”. Statuetki trafiły do Barbary Romanowicz (w kategorii Nauka), Marii Delaperrière (w kategorii Kultura), Marii Warunek (w kategorii Osobowość). Wyróżnienia odebrali: Barbara Żochowska-Despiney (w kategorii Nauka), Jacek Rewerski (w kategorii Osobowość) i Zofia Toriel (w kategorii Kultura). Nagrodę Specjalną Ambasadora RP we Francji otrzymał ks. Eugeniusz Plater-Syberg.

© SEJM RP



15 października

W **Sali Kolumnowej Sejmu RP** odbyła się konferencja „Zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy jednostek samorządu terytorialnego”, podczas której ogłoszono wyniki dorocznego Rankingu Zrównoważonego Rozwoju Jednostek Samorządu Terytorialnego. Współorganizatorem konferencji była Fundacja „Teraz Polska”. Tegorocznymi zwycięzcami zostały gminy: Kleszczów, Polkowice, Krynica Morska i Warszawa. W zestawieniu samorządów najdynamiczniej zwiększających liczbę osób pracujących w latach 2003–2017 triumfowały Koberzyce, Stryków, Złotów i Gliwice.



19 października

W Ambasadzie RP w **Dublinie** wręczono nagrody w Konkursie „Wybitny Polak w Irlandii”, przyznawane przez Fundację „Teraz Polska”. Statuetki trafiły do Dominiki Sikory (w kategorii Biznes), Ewy Kotuły (w kategorii Kultura), Piotra Macha (w kategorii Młody Polak) i Bartosza Zdrojewego (w kategorii Osobowość). Wyróżnienia otrzymały Anna Hurkowska i Sylwia Rusek.



22 października

W Muzeum Sportu i Turystyki w **Warszawie** odbył się jesienny Klub „Teraz Polska”. Spotkanie rozpoczęło się debatą, którą poprowadził Marek Magiera, zaś udział w niej wzięli: Jacek Sęk, wiceprezes PZPS, Ryszard Bosek, mistrz świata z 1974 r. i mistrz olimpijski z 1976 r., i Paweł Zagumny, mistrz świata z 2014 r. Następnie o roli sponsoringu w sporcie rozmawiali: Andrzej Person, senator RP i dziennikarz sportowy; Robert Korzeniowski, wielokrotny mistrz olimpijski, menedżer i przedsiębiorca; oraz Artur Popko, prezes Polskiej Ligi Siatkówki. Kulminacyjnym punktem spotkania było wręczenie laureatom Konkursu „Teraz Polska” certyfikatów uprawniających do posługiwania się Godłem.

24 października

W **Warszawie** odbył się finał VIII edycji Konkursu o Tytuł „Pracodawca Godny Zaufania”, współorganizowanego przez Fundację „Teraz Polska”. Celem jest wyróżnienie firm i instytucji, które dbają o rozwój zawodowy pracowników i ochronę ich praw. W tym roku wręczono dziewięć nagród, m.in. firmom Benefit System i Lux Med (laureatom Godła „Teraz Polska”). Gala konkursu została poprzedzona debatą pt. „Motywacja pracowników poprzez sport”, w której udział wzięli m.in. Andrzej Czernek, wiceprezes Fundacji.



16 listopada

W **Rzeszowie** zakończył się Kongres 590, objęty honorowym patronatem prezydenta RP Andrzeja Dudy. #Wybieram590 to nowy projekt realizowany przez organizatorów Kongresu, którym od samego początku przyświeca idea działania na rzecz rozwoju polskiej gospodarki i wspierania narodowej przedsiębiorczości.



23 listopada

W Teatrze Wielkim w **Warszawie** zakończył się Festiwal Krzysztofa Pendereckiego, zorganizowany z okazji 85. urodzin kompozytora. Koncert finałowy poprzedzony był uroczystym wykonaniem „Missa Brevis” w bazylice archikatedralnej św. Jana Chrzciciela. Krzysztof Penderecki jest laureatem tytułu „Wybitny Polak” (2013), przyznawanego przez Kapitułę Konkursu „Teraz Polska”.

100. ROCZNICA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI



KOLEKCYJNIJ ZNACZKI I KARTKI POCZTOWE W PROSTY I WYGODNY SPOŚÓBI
ZAMÓW ABONAMENT FILATELISTYCZNY W NAJBLIŻSZEJ PLACÓWCE POCZTOWEJ
BĄDŹ ZA POŚREDNICTWEM STRONY INTERNETOWEJ
WWW.FILATELISTYKA.POCZTA-POLSKA.PL